PROF. ZARADKIEWICZ: DLACZEGO USUNĄŁEM PORTRETY KOMUNISTYCZNYCH SĘDZIÓW

GDY WRÓCI NORMALNOŚĆ, POLSKA MOŻE MOCNO RUSZYĆ DO PRZODU

WYBORY W CZERWCU LUB LIPCU! KTO WYGRAŁ, KTO PRZEGRAŁ

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 20 (389) 2020
11–17 maja 2020

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

CZY NAPRAWDĘ TRZEBA BYŁO ZAMKNĄĆ POLSKĘ I ŚWIAT?!

DRAMATYCZNE PYTANIA

CORAZ CZĘŚCIEJ SŁYCHAĆ GŁOSY, ŻE CENA, JAKĄ PŁACIMY ZA WALKĘ Z EPIDEMIĄ, JEST ZBYT WYSOKA. SŁUSZNIE?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

CYFROWY POLSAT

NAJLEPSZE BAJKI, FILMY I SERIALE

Na start 3 miesiące TV bez opłat

Oglądaj, jak chcesz!

SAT TELEWIZJA SATELITARNA

IPTV TELEWIZJA KABLOWA

OTT TELEWIZJA INTERNETOWA

Promocje dla nowych Klientów przy umowach z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony, a w przypadku oferty telewizji kablowej IPTV i telewizji internetowej także opłat za internet. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. Oferta ważna na dzień 5.05.2020 r.

„Kontra: Sieć" © MGM Television Entertainment Inc. and Bluebush Productions, LLC. „Spider-Man" © 2019 Columbia Pictures Industries, Inc. All rights reserved. MARVEL and all related character names: © & ™ 2020 MARVEL. „Pewnego razu... w Hollywood" © 2019 Visiona Romantica, Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone.

epiasa.pl 2c36a7cad2

Jaki był sens tej awantury?

Jak to możliwe, że pół roku po zwycięskich wyborach, zakończonych odnowieniem mandatu do samodzielnego rządzenia, obóz dobrej zmiany stanął nad przepaścią i groziła mu utrata większości w Sejmie? Jak doszło do tego, że otarliśmy się o przedterminowe wybory, a być może także o przejęcie władzy przez opozycję? Dlaczego cała konstrukcja zadrżała w posadach, choć poparcie społeczne jest wręcz rekordowo wysokie? Czy to tylko echo zawsze obecnych w polityce osobistych ambicji, braku rozwagi, zbiegu okoliczności, czy też zapowiedź okresu, w którym tego typu kryzysy będą się powtarzały coraz częściej?

Tym razem, niemal w ostatniej chwili, udało się zawrócić ze złej drogi, zwyciężyła odpowiedzialność. Ale czy to kończy sprawę? Łatwość i śmiałość, z jaką Jarosław Gowin zdawał się zmieniać kurs, zdumiała wielu. Porozumienie przecież miało i ma bardzo poważny kawałek władzy, a także wpływ na kierunek całości. Wciągnięty na sztandary sprzeciw wobec majowych wyborów mógł jeszcze mieć pewien sens na początku pandemii, ale później, gdy stało się jasne, że nawet normalne wybory są do przeprowadzenia, był już tylko grą w interesie opozycji. Z kolei próba podjęcia negocjacji z Koalicją Obywatelską wykazała jedynie, jak chybiony był to pomysł. W sumie podjęta przez Gowina akcja, nominalnie propaństwowa, jedynie wpędziła państwo w jeszcze głębszy chaos, i to w tak gardłowym czasie. Czy były wicepremier, w końcu człowiek politycznie doświadczony, tego nie widział? Wyborcom Zjednoczonej Prawicy – dla wielu z nich były to ciężkie dni – należy się parę zdań poważnego wyjaśnienia. Nawet przy uznaniu, że zawarty kompromis i dla lidera Porozumienia nie był łatwy.

Każdy polityk ma oczywiście prawo do wyboru własnej drogi. Ponosi jednak także historyczną odpowiedzialność za swoje decyzje. Dziś w Polsce sytuacja jest jasna: zaproponowana w 2015 r. poważna korekta kursu państwa zyskała uznanie milionów wyborców. Nawet teraz, w warunkach epidemii, i nawet wówczas, gdy kryzys będzie narastał (miejmy nadzieję, że chwilowo), formacja Jarosława Kaczyńskiego może myśleć o reelekcji. Minimum tego, o co należy prosić, jest więc uczciwe potraktowanie sprawy przez każdego, kto ma inne plany. Tak uczciwe, by w razie kryzysu nie do przezwyciężenia zdecydował naród, a nie nowe „liczenie głosów" w gabinetach. Polacy – w sumie dzielnie opierający się presji ostatnich lat – nie zasługują na kolejne „nocne zmiany".

Ważną przyczyną napięcia w obozie rządzącym są, paradoksalnie, kłopoty opozycji. Małgorzata Kidawa-Błońska ciągnie Koalicję Obywatelską na dno. Pojawiają się nowe możliwości. O „nowym centrum", swego rodzaju kopii Platformy sprzed lat, zdaje się myśleć Władysław Kosiniak-Kamysz; wyraźnie rozgląda się za partnerami. Szymon Hołownia z pewnością spróbuje przekuć prawdopodobny sukces wyborczy na nową partię. Duże apetyty ma też Lewica. To wszystko wpływa także na Zjednoczoną Prawicę, w której nie brakuje przecież ludzi przekonanych, że powinni zajmować wyższą pozycję. Zawsze warto jednak pamiętać, że niszczy się łatwo, a buduje trudno. I że po stronie opozycyjnej też nie brakuje polityków bardzo ambitnych, którzy wezmą, nie skwitują, wykorzystają i wyrzucą.

W wyniku niezawinionego kryzysu Polska nie uniknie recesji. Jak jednak wynika z prognoz, spadek PKB może być u nas znacznie mniejszy niż u naszych sąsiadów, a odbicie szybkie i mocne. Możemy więc awansować w europejskiej hierarchii (pisze o tym ciekawie w tym numerze Marek Budzisz). Warunek jest jeden: polityczna stabilność i elementarna jednolitość władzy. To dlatego wybory prezydenckie powinny się odbyć jak najszybciej. Szkoda, że nie odbędą się w maju, ale czerwiec czy wczesny lipiec pozwalają jeszcze mieć nadzieję, że wszystko skończy się dobrze. Później może być różnie, bo potężne napięcia społeczne będą nie do uniknięcia i będą one miały swoje skutki. Opozycja zaś dalej będzie nakręcała chaos i grała na klęskę Polski. Skoro najpierw protestowała przeciwko wyborom w maju, a teraz krzyczy, że przesunięcie głosowania jest skandalem, to znaczy, że nie zawaha się przed żadną hucpą. Owszem, to sprawia, że staje się śmieszna, ale i śmieszne formacje potrafią być zaskakująco skuteczne. Zwłaszcza w niszczeniu.

Jacek Karnowski

Reklama | 9/0320/F

SIECI

spis treści

31 *Przyjaciele wrogowie*
Stanisław Janecki

50 Nowy wspaniały świat Xi Jinpinga
rozmowa Aleksandry Rybińskiej

58 Ostatni wielki wódz
Grzegorz Górny

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **DEBATA W WIOSCE SMERFÓW**
Krzysztof Feusette

9 **NA WOJNIE Z KOLORAMI**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **WOLA WALKI I ODWAGA KOMPROMISU**
Jan Pietrzak

13 **SYNDROM RENEGATA**
Bronisław Wildstein

14 **ZDJĘCIA Z PODRÓŻY JANUSZA ROSIKONIA**
Michał Korsun

15 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **DLA PRZYSZŁYCH MAM**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **LOCKDOWN POD OSKARŻENIEM**
Jan Rokita

24 **SZANSA DLA EUROPY ŚRODKOWEJ**
Marek Budzisz

KRAJ

28 **KAMPANIA+**
Marek Pyza, Marcin Wikło

31 **PRZYJACIELE WROGOWIE**
Stanisław Janecki

34 **DUDA PRZETRWAŁ NAWAŁNICĘ**
Michał Karnowski

36 **Z KAMILEM ZARADKIEWICZEM**
rozmawia Wojciech Biedroń

PANDEMIA KORONAWIRUSA

40 **ZATROSKANY SĄSIAD ZAKAŹNIKA**
Maja Narbutt

44 **Z DR. KRZYSZTOFEM TYBURCZY**
rozmawia Dorota Łosiewicz

47 **Z DR. MARCINEM KĘDZIERSKIM**
rozmawia Marcin Fijołek

50 **Z KAIEM STRITTMATTEREM**
rozmawia Aleksandra Rybińska

OPINIE

54 **INSTRUKCJA OBSŁUGI ROSJI**
Jakub Maciejewski

HISTORIA

58 **OSTATNI WIELKI WÓDZ**
Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

61 **BYŁA AURORĄ, BĘDZIE CARYCĄ**
Jolanta Gajda-Zadworna

63 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

64 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

66 **Z ROBERTEM KURASZKIEWICZEM**
rozmawia Anna Raciniewska

68 **„OSTRA NARRACJA" PANA MICHAŁA**
Piotr Filipczyk

KUCHNIA

72 **MOJE SMAKI: JEŻYCJADOWA UCZTA**
Jolanta Gajda-Zadworna

73 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

74 **PKO BP NA DRODZE DO CHMURY**
Maksymilian Wysocki

75 **WHO, WWO, WBO, CZYLI SPONSORZY OBSŁUGIWANI**
Maciej Pawlicki

76 **SFRUSTROWANA NADZWYCZAJNA KASTA**
Hanna Karp

78 **CHWALCIE ŁĄKI UMAJONE**
Alina Czerniakowska

79 **KRAJOBRAZ PO KORONAWIRUSIE**
Lech Makowiecki

80 **OSKARŻENIE I PRZESTROGA**
Jan Pospieszalski

81 **A TO LIRYKA...**
Leszek Długosz

82 **LECZENIE PRZYCZYNOWE**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 55/0420/F

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Sprawdzaj wiarygodne źródła: www.pfr.pl/tarcza

KPRM

Tarcza Finansowa PFR

Ponad miliard zł dziennie na utrzymanie miejsc pracy

W ciągu 6 dni od uruchomienia Tarczy Finansowej PFR z subwencji skorzystało już dziesiątki tysięcy polskich firm, które zatrudniają setki tysięcy pracowników (a to dopiero początek, bo po drodze była majówka). To wsparcie finansowe ratuje polskie miejsca pracy i pozwala przetrwać polskim przedsiębiorcom kryzys wywołany przez koronawirusa. Dziękujemy wszystkim osobom i instytucjom zaangażowanym w uruchomienie Tarczy Finansowej - programu zarządzanego przez Polski Fundusz Rozwoju.

Efekty (stan na 05.05.2020)

37 545 firm

zatrudniających od 1 do 249 pracowników otrzymało już środki na utrzymanie miejsc pracy i poprawę swojej sytuacji finansowej.

374 000 pracowników

zatrudniają firmy, które otrzymały już wypłatę subwencji z Tarczy Finansowej PFR. Środki te mogą być przeznaczone na wypłatę wynagrodzeń.

7 851 520 625 zł

otrzymały już polskie mikro, małe i średnie firmy, które wypełniły prawidłowo wniosek o subwencję, dostępny w kanałach bankowości elektronicznej.

38 godzin

średnio tyle czasu mija od wysłania prawidłowo wypełnionego wniosku do przelewu subwencji na konto pracodawcy.

5 minut

tyle zabiera czasu wypełnienie wniosku online, jeśli pracodawca ma wszystkie potrzebne dane pod ręką.

Proste i przyjazne zasady

75 mld zł dla firm
od 1 do 249 pracowników

Oprocentowanie 0%
Żadnych opłat i prowizji

Możliwość umorzenia
75% wartości subwencji

Na oświadczenie
Żadnej papierologii

Wniosek online
w Twoim banku

Spłata pierwszej raty
dopiero po roku

Więcej informacji na: **www.pfr.pl/tarcza** oraz na stronie internetowej Twojego banku.

KPRM PFR Polski Fundusz Rozwoju

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Sygnalista nadaje

Telewizja TVN24 ostatnie tygodnie poświęciła na walkę z wyborami w terminie konstytucyjnym. „PiS prze do wyborów mimo epidemii", „Polityczna batalia o wybory za wszelką cenę" – krzyczały tzw. żółte paski, uzupełniane dramatycznym pytaniem „Co dalej z wyborami?". Kiedy PiS porozumiało się z Jarosławem Gowinem i zapadła decyzja o przesunięciu wyborów na czerwiec lub lipiec, stacja z Wiertniczej uderzyła z drugiej flanki za pomocą hasła „Władza nie zorganizuje wyborów. Niebezpieczny precedens?". Ojcowie założyciele, także ci z lat 80., nie byliby zadowoleni. To zdecydowanie zbyt toporna propaganda.

Rozczarowanie TVN jest zrozumiałe. Wydawało się, że te dwa pędzące pociągi, czyli PiS i Porozumienie, nie unikną zderzenia. W ostatniej chwili obie strony wcisnęły jednak hamulec. I dobrze, bo brnięcie w ten konflikt służyło już wyłącznie opozycji. Pozostają dwa pytania: czy da się skleić Zjednoczoną Prawicę na dłużej niż kilka miesięcy i czy Gowin zdoła skleić Porozumienie, które przecież właściwie rozleciało mu się w rękach. I choć były wicepremier ma zgodę na utworzenie własnego klubu, to – jak się okazuje – realnie ma zbyt mało posłów. Dogrywka niewykluczona.

„Lewica będzie domagać się powołania niezależnej komisji śledczej, która zbada, dlaczego doszło do kryzysu państwa i nie mogły się odbyć wybory prezydenckie 10 maja" – poinformował kandydat Lewicy na prezydenta Robert Biedroń. Słusznie. Oczywista wydaje się także lista osób do przesłuchania: Małgorzata Kidawa-Błońska, Borys Budka, Donald Tusk, samorządowcy z PO, a także część mediów. To oni dali z siebie w tej sprawie najwięcej, dążąc do obalenia konstytucyjnego rytmu wyborów. I tak, powinni za to odpowiedzieć, choćby symbolicznie.

Z kolei ***Włodzimierz Czarzasty*** podsumował ostatnie tygodnie w taki oto sposób: „Ustawa miała zostać odrzucona dzięki Gowinowi. Nie została odrzucona. Miały być przesunięte o rok wybory, bo Gowin to obiecał. Nie zostały przesunięte. Miał być wprowadzony stan klęski żywiołowej. Nie został wprowadzony. Gowin miał być marszałkiem Sejmu. Nie został marszałkiem Sejmu. Gowin miał gwarantować rozwalenie rządu PiS. Nic się takiego nie stało. Tak kończą się rozmowy z Gowinem". Nie, to dużo prostsze: taki jest poziom politycznych umiejętności opozycji.

Nowe wybory oznaczają możliwość wymiany kandydata przez KO. Kto mógłby zastąpić Kidawę-Błońską: Tusk, Trzaskowski, Sikorski, Jaśkowiak? A może wróciłby Komorowski? Co prawda niedawno zadeklarował, że nie zamierza brać udziału „w wyborczej farsie, jaką będą wybory przeprowadzone w czasie epidemii i po niezgodnej z polskim prawem zmianie reguł wyborczych", ale może wizja rewanżu za porażkę sprzed pięciu lat okaże się kusząca? Mógłby walczyć na luzie: dziś już wszyscy wiedzą, że można mieć gorszą kampanię niż ta sprzed pięciu lat. Nie będzie stresu.

Prezydent Gdańska **Aleksandra Dulkiewicz** *uczciła Święto Trzeciego Maja złożeniem kwiatów pod pomnikiem króla Jana III Sobieskiego. Dlaczego właśnie tam? „W hołdzie tym, którzy tę konstytucję wywalczyli. Naszym obowiązkiem jest pielęgnowanie dziedzictwa trzeciomajowego święta. Szanujmy konstytucję!" – tłumaczyła Dulkiewicz. W tej logice równie dobrze mogłaby złożyć kwiaty pod pomnikiem Mieszka I. Ale w sumie cieszy, że opozycja zaczęła się interesować historią Polski, nawet jeśli początki są trudne.*

eprasa.pl 2c36a7c6d2

W ramach pokryzysowych rozliczeń Porozumienie cofnęło rekomendację wiceministrowi aktywów państwowych Zbigniewowi Gryglasowi. To odwet za wypowiedzi Gryglasa, w których popierał majowe wybory, argumentując tak: „Mamy do czynienia z kwestią fundamentalną dla państwa, musimy odrzucić nasze partykularne interesy, nawet interesy partyjne, musimy w tym momencie kierować się interesem Rzeczypospolitej". Przykra sprawa. Mamy nadzieję, że ludzie, którzy odrzucili gowinową herezję, nie zostaną na lodzie.

Szymon Hołownia wziął do ręki konstytucję i powiedział: „Wyobraźcie sobie, że Andrzej Duda zostaje prezydentem – co będziemy wtedy czuli? Na razie myślimy o sobie, o naszym poczuciu przyzwoitości, które nie pozwala nam wziąć w tej farsie udziału. A pomyśleliśmy o Polsce? Co się z nią stanie, jak my się od niej odwrócimy?". Potem zapłakał. Gimbazie, która to kupuje, można tylko zacytować fragment piosenki T. Love: „Jesteście nabrani, tak bardzo nabrani/Dzikie dzieciaki, jesteście zrąbani".

Grzegorz Braun z Konfederacji z trybuny sejmowej: „Szczęść Boże, dobry dzień. Pani marszałek, czcigodna Wysoka Izbo, wypuśćcie naród z kwarantanny. Czas najwyższy. Jeśli to teraz uczynicie, być może wykręcicie się jakoś sianem, być może nie wszyscy staną przed Trybunałem Stanu, być może pan minister Szumowski nie zostanie powieszony na latarni przy placu Trzech Krzyży przez lud Warszawy". Wszystko się zgadza, wszystko w normie, ale dlaczego Braun używa formy czeskiej „dobrý den" zamiast polskiego „dzień dobry"?

Wywód Brauna przerwała marszałek Sejmu Elżbieta Witek, która próbowała przywołać posła do porządku. Jednak konfederata kontynuował swój wywód. „Ja zważam na słowa. Odwołuję się do wydarzeń historycznych z roku 1794 i 1831. Być może ta historia jest obca pani marszałek, ale ja tą historią żyję i przestrzegam" – przekonywał. Piękne, ale jakim kluczem reakcjonista Braun doszedł do czczenia tradycji jakobińsko-patriotycznej, tego nie wiadomo.

Radosław Sikorski zakłócił konferencję prasową Krzysztofa Bosaka. Były minister rządu Donalda Tuska stwierdził, że pojawiła się okazja, aby skorygować błędy kolegów narodowców w sprawie przystąpienia Polski do UE. „Wprowadzacie w błąd opinię publiczną. Kłamiecie na temat Unii Europejskiej i jej działalności. Takie działania polityków doprowadziły do brexitu" – przekonywał Sikorski. Teoretycznie ten incydent pokazał, że obie strony dzieli wszystko. Teoretycznie, bo praktycznie są bardzo blisko siebie.

Prof. Kamil Zaradkiewicz, pełniący obowiązki pierwszy prezes Sądu Najwyższego, usunął portrety prezesów SN z czasów komunizmu z głównego holu siedziby tej instytucji. „W okresie władzy komunistycznej do 1990 r. nie funkcjonowało niezależne sądownictwo wolnego państwa polskiego, zaś osoby pełniące urząd sędziego były pozbawione podstawowych gwarancji niezawisłości" – argumentował w wydanym zarządzeniu. W sumie to naprawdę porażające, że 30 lat po transformacji „kasta" wciąż celebrowała ludzi, którzy klepali wyroki śmierci na akowców i Wyklętych.

III RP jest konstrukcją znacznie prostszą, niż wielu sądzi. Wychylisz się, wystąpisz przeciw grupie trzymającej władzę – musisz oberwać, i to mocno. To dlatego „Gazeta Wyborcza" nie pogardziła nawet brukowym towarem i zaatakowała prof. Zaradkiewicza historią sprzed siedmiu lat, gdy trafił do szpitala wprost sprzed ogrodzenia Trybunału Konstytucyjnego. Zaradkiewicza tym nie zniszczą, a smród będzie się za Czerską wlókł bardzo długo. Tą akcją napluli na własne sztandary, a to zawsze więcej niż błąd.

Włodzimierz Cimoszewicz ma propozycję: „Oglądałem ostatni film dokumentalny o historii Kuby i reżimie Batisy. O tym, jak został w pewnym momencie obalony, nie tylko przez Fidela Castro. Kilka lat wcześniej Batista został obalony przez spontaniczny bunt ludzi na ulicach. Kubańczycy 70 lat temu potrafili obalić takiego swojego Kaczyńskiego, bo mieli go serdecznie dosyć. A Polacy milczą". Czy to marzenie o wolności, czy jednak marzenie o wzięciu narodu za twarz, tak jak to zrobił Castro z Kubańczykami?

Jolanta Turczynowicz-Kieryłło, epizodyczna szefowa kampanii Andrzeja Dudy, skrytykowała konwencję programową prezydenta, określając ją jako „niewykorzystaną szansę": „Statyczne ponadgodzinne One Man Show. Trudno utrzymać uwagę przy tak długim monologu bez przerw, bez klipów, z niekorzystnym oświetleniem". Chwilę później zapytana, czy zagłosuje w wyborach na prezydenta Andrzeja Dudę, odpowiedziała: „Zastanawiam się". Przy kolejnych transferach ze słynnego już Milanówka też warto się porządnie zastanowić.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Debata w wiosce smerfów

Występują:
Mazgaj, Osiłek, Smerfetka, Ważniak, Laluś

Mazgaj [płacze]: Przepraszam, ale... [wydmuchuje nos w chusteczkę z napisem „Mazgaj 2020"] znowu... czytałem „Prawa i obowiązki w wiosce smerfów" [zanosi się spazmatycznym szlochem]. Ja... ja już nie mogę... Ja się kiedyś odwodnię przez tę wrażliwość... Utopię się we własnych łzach, jak... Jak...

Smerfetka: Jak nie przestaniesz płakać, Mazgaju. Przytuliłabym cię, gdybyś lepiej udawał. Jak chcesz zostać nowym Papą Smerfem, skoro bez przerwy histeryzujesz? Co zrobisz, jak przyjdzie Gargamel albo dopadnie nas jakaś zaraza? „Drogie smerfy, mamy problem..." i w płacz?

Osiłek: Ja apeluję. Ja wzywam do pojednania wszystkich ze wszystkimi. Już dawno powinniśmy wybrać spośród nas jednego kandydata, a teraz jest za późno, bo Mazgaj mnie wyprzedził...

Smerfetka: Nie możemy nikogo wybrać, bo w ogóle nie możemy startować. To znaczy, przepraszam, głosować. Ja osobiście przeszłam się po lesie i wezwałam moich wyborców, żeby na mnie nie głosowali. To znaczy, przepraszam, żeby w ogóle nie głosowali. Bo to nie będą wybory! Dlatego ja je bojkotuję. To znaczy startuję, ale nie głosuję...

KRZYSZTOF FEUSETTE

Osiłek: A ja będę się bił! Ja się nie poddam. Ani walkowerem, ani hipnozie, ani narkozie, ani sklerozie... Będę walczył jak prawdziwy chłop, do upadłego i do upadłej, za przeproszeniem, nędzy. Tylko trochę później. Na razie apeluję: postawcie na chłopską krzepę i obietnicę wielkiej walki...

Laluś: Osiłku, ja cię nie poznaję, choć jeszcze niedawno tworzyliśmy polityczny związek partnerski! Tu nie chodzi o krzepę, ale o wdzięk! Może wreszcie ktoś zauważy, jak ładnie się ubrałem? Czy widzicie ten piękny różowy kwiatek przy kapelusiku?

Ważniak: Z punktu widzenia wyborców ten kwiatek nie ma żadnego znaczenia.

Laluś: Lalusiofob.

Ważniak: To także nie ma związku. Po prostu mam przekonanie graniczące z pewnością, a nawet z pewnością tę pewność przekraczającą, że gdybym tylko miał więcej czasu antenowego, więcej pieniędzy na kampanię, więcej...

Laluś: ...wyborców. Najbardziej przydałoby ci się więcej wyborców, Ważniaku. Ale wracając do mojego pięknego różowego kwiatka...

Mazgaj [wybucha płaczem]: Przepraszam, to jest takie wzruszające... Popatrzcie w moje załzawione oczy... Te oczy marzą o wiosce, w której... [płacze coraz obficiej]... nie będzie ani Gargamela, ani Klakiera, ani żadnych złych rzeczy...

Smerfetka: Znowu histeryzujesz, Mazgaju.

Mazgaj [wpada w histerię]: Ja histeryzuję? Ja nie histeryzuję! To ty histeryzujesz! Wy wszyscy macie mnie za nic... [znowu chlipie] Ale jeszcze... jeszcze zobaczycie... [wybiega z płaczem].

Osiłek: Szybko poszło, jednego mniej.

Laluś: Od początku mi się nie podobał. Za ładny jakiś. Wykosił mi połowę wyborców, chociaż nie ma ani tak ślicznego kapelutka, ani kwiatka...

Ważniak: Z punktu widzenia osoby, której kompetencje do pełnienia urzędu Papy Smerfa nie budzą moich najmniejszych wątpliwości, czyli ergo – z punktu widzenia samego mnie proponuję posłuchać, co mam do powiedzenia na każdy temat...

Smerfetka: A ja proponuję zakończyć tę pseudodebatę przed pseudowyborami autentyczną deklaracją pseudobojkotu. To znaczy, przepraszam, prawdziwego. Przyjdzie kryzys, to sobie zrobimy prawdziwe wybory. Bo teraz to nie będzie demokracja, prawda?

Mazgaj [wraca, wydmuchuje nos]: Wszystko słyszałem. I wiecie, co wam powiem? Mógłbym się przyłączyć do bojkotu. Ale nie teraz, kiedy... [ponownie wybucha płaczem] kiedy mam rekordowe poparcie. Przecież ja mogę... nie mogę [szlocha na cały regulator] ja mogę wejść do drugiej tury...

Osiłek: Uspokój się, bo ci walnę. Już mnie denerwujesz z tymi sondażami.

Laluś: A co ja mam powiedzieć? Smerfy nie chcą już nawet rozmawiać ani o kapelutkach, ani o kwiatkach... Właśnie, czy ktoś ma może lusterko?

Ważniak: Ja mam. Ale nie pożyczę komuś o takiej reputacji. Poza tym sam potrzebuję.

Mazgaj [ponownie w histerii]: Przestańcie już o tych lusterkach! Ja nie mogę na siebie patrzeć! Mnie tak boli, że jestem jednym z was, że... [wybucha płaczem] ja już prawie nie mam... [chowa twarz w rękach, siorbie nosem] na kampanię...

Smerfetka: A kto ma? Jakbym miała program, tobym nie musiała bojkotować, co nie? No, już, nie maż się... Chodź, Smerfetka cię przytuli. A już Partia Smerfetki to na pewno. Poczekaj, tylko odbiorę telefon... Halo? No, cześć Maruda, co słychać? Jak to przenieśli? Super! Poczekaj, przekażę kolegom, He, he... Ale dlaczego? Jak to – Zgrywus wraca? Halo? Halo, Maruda?! [odkłada telefon]. Przepraszam, ale jestem zmuszona dokonać samobojkotu. Wybory w wakacje. Stop. Korespondencyjne. Stop. Wszystko odwrotnie. Stop. Głosuję, ale nie startuję. Stop.

Mazgaj: Ale dlaczego? Przecież tak nie można... [zaczyna płakać, tym razem szczerze].

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Na wojnie z kolorami

Czy będzie jeszcze można powiedzieć, że coś jest białe jak śnieg lub czarne jak smoła?

Brytyjskie Krajowe Centrum Bezpieczeństwa Cybernetycznego (NCSC), a dokładniej jego oddział Centrali Komunikacji Rządowej (GCHQ), idzie na wojnę z rasizmem. A może lepiej powiedzieć: z kolorami. Agencja zapowiedziała, że przestanie używać terminów „biała lista" i „czarna lista". Powodem zmian mają być związane z tymi określeniami stygmatyzacja i stereotypy rasowe. Zamiast tego NCSC będzie używać nazw „allow list" i „deny list" („dozwolone" i „odrzucone"). Wprowadzone zmiany mają pomóc w zwalczaniu rasizmu w bezpieczeństwie cybernetycznym.

Agencja tłumaczy, że decyzja o zaprzestaniu używania tych terminów zapadła po prośbie jednego z klientów NCSC. Poza tym już wcześniej w publikowanych czasopismach naukowych społeczność IT poruszała ten temat. Obawiano się, że dalsze korzystanie z takiej terminologii podtrzymuje stereotypy rasowe. Szefowa porad i wskazówek w NCSC tak tłumaczy decyzję agencji: „Dość często mówi się o białej liście i czarnej liście, aby opisać pożądane i niepożądane kwestie w cyberbezpieczeństwie. (...) Jednak istnieje problem z terminologią. Ma to sens tylko wtedy, gdy utożsamiamy biel z dobrym, dozwolonym, bezpiecznym, a czerń ze złym, niebezpiecznym, zabronionym. Są z tym pewne oczywiste problemy. W związku z tym, aby pomóc w walce z rasizmem w cyberbezpieczeństwie, w przyszłości unikniemy tego pejoratywnego sformułowania na naszej stronie internetowej".

To nie pierwszy raz, gdy Wielka Brytania walczy z rasizmem, zwalczając kolory. Kilka miesięcy temu Bideford, miejscowość w Wielkiej Brytanii, zapowiedziało wojnę z tablicami wjazdowymi, bo „Małe Białe Miasteczko" miało się kojarzyć z rasizmem. Chodzi o miasteczko, które po pierwsze, faktycznie jest małe, po drugie, dominuje w nim biały kolor zabudowy. Bideford to nadmorska miejscowość w hrabstwie Devon. Kilka miesięcy temu media informowały, że tablice ulegną zmianie. Wszystko przez przydomek, jaki miejscowość uzyskała, czyli właśnie „Małe Białe Miasteczko". Część radnych uznała nagle, że określenie „białe" może być interpretowane jako rasistowskie.

Zastanawiam się jednak, co będzie, gdy ta wojna z kolorami stanie się bardziej powszechna? Czy będzie jeszcze można powiedzieć, że coś jest białe jak śnieg lub czarne jak smoła? Choć nie ma tu żadnych konotacji rasowych, to jednak komuś może się skojarzyć i problemy gotowe. Albo co z czarnymi charakterami w filmach? Może znikną z dnia na dzień? Jednak czy ich eliminacja nie byłaby także rodzajem dyskryminacji? Bo gdy znikną czarne, zostaną tylko białe, no i mamy rasizm w czystej postaci. No i czy będzie jeszcze można powiedzieć „czarno to widzę", czy już raczej będzie należało użyć bardziej poprawnego politycznie sformułowania „przyszłość rysuje się w szarych barwach"? A co zrobić z szachami lub warcabami, które są biało-czarne i jakby jeszcze tego było mało – białe zawsze zaczynają? Trzeba zmienić kolory szachów i zlikwidować tę rażącą nierówność! A Zawisza Czarny? Jak to brzmi! Albo Leszek Biały, książę z dynastii Piastów? Zmienić przydomek na jakiś mniej rasistowski! Skoro jego ojciec mógł się nazywać Kazimierz II Sprawiedliwy, to na pewno i synowi znajdziemy coś bardziej poprawnego politycznie. Czarny humor? Szczyt nietolerancji! Czarny bez? Czarny łabędź? Czarna wdowa? Wybryki natury! Biała dama? Skandal! Biała kiełbasa? Wołają o pomstę do nieba! Biała księga, np. VAT? Szczyt szczytów! Wydaje się, że natura, przynajmniej w części globu, rozwiązała ostatnio problem „białych świąt", bo te są coraz częściej zielone.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że to właśnie rasistom wszystko kojarzy się z kolorem skóry, nawet tam gdzie tego odniesienia nie ma. A walka z kolorami nie ma nic wspólnego z szacunkiem, tolerancją czy równością. Jest po prostu zwykłym szaleństwem. Idąc tropem szaleńców od poprawności politycznej, należy dojść do konstatacji, iż czarny i biały powinny zniknąć z palety kolorów. Tylko co wówczas zrobić z żółtym i czerwonym? Na szczęście wciąż będzie można grać w zielone. No, chyba że Marsjanie poczują się urażeni...

Dorota Łosiewicz

Finlandia

Historyczne kłamstwo

Fot. Shutterstock

Komitet Śledczy Rosji rozpoczął dochodzenie w sprawie ludobójstwa, jakiego miały się dopuścić władze Finlandii na obywatelach ZSRR w sowieckiej republice Karelii w latach 1941–1944. Według Rosjan Finowie nie tylko najechali i okupowali to terytorium, lecz także utworzyli tam 14 obozów koncentracyjnych, w których zamordowano 8 tys. cywilów, w tym 2 tys. dzieci. 7 tys. jeńców wojennych miało być jakoby zakopanych żywcem, zagazowanych lub rozstrzelanych.

Finowie odrzucają te oskarżenia, uznając je za kłamstwo. Przypominają, że w listopadzie 1939 r. 170-milionowy Związek Sowiecki bez wypowiedzenia wojny najechał na 5-milionową Finlandię. Napadnięty kraj, mimo miażdżącej przewagi wroga, zdołał obronić swoją niepodległość. Utracił jednak Karelię, która w marcu 1940 r. została wcielona do ZSRR. Na ziemiach tych zaczęły się stalinowskie czystki.

W maju 1941 r. Hitler zaproponował Finom wspólne uderzenie na Związek Sowiecki, jednak ci zdecydowanie odmówili, zapowiadając, że nie przyłączą się do wojny. I rzeczywiście, kiedy 22 czerwca nastąpił niemiecki atak na ZSRR, rząd w Helsinkach ogłosił neutralność. Mimo to 25 czerwca wojska sowieckie niespodziewanie uderzyły na Finlandię – 263 bombowce przeprowadziły wiele nalotów na główne miasta fińskie, m.in. Helsinki i Turku. 29 czerwca Finowie przeszli więc do kontrnatarcia i do końca września zajęli cały teren Karelii, który rok wcześniej stracili. Nie posunęli się jednak dalej. Odrzucili też niemiecką propozycję, by wspólnie uderzyć na Leningrad. Po zakończeniu II wojny światowej nastąpił powrót do granic z 1940 r.

Fińscy historycy przyznają, że w latach 1941–1944 kilkadziesiąt tysięcy wziętych do niewoli czerwonoarmistów przebywało w obozach jenieckich, ale nie byli mordowani, a warunki mieli lepsze niż te, które panowały u Sowietów lub nazistów. W Helsinkach wszyscy wiedzą, że w Rosji Putina kłamstwo stało się elementem państwowej polityki historycznej i widać to w relacjach nie tylko z Polską, lecz także z Finlandią.

Grzegorz Górny

Wenezuela

Ciągle niedokończona rewolucja

Juan Guaidó jest przywódcą opozycji w Wenezuli i tymczasowym prezydentem tego kraju powołanym w styczniu 2019 r. przez parlament w trakcie rewolty wymierzonej w autorytarne rządy lewicowego populisty Nicolasa Maduro. Ma poparcie ponad połowy społeczeństwa, a jego wybór uznało 60 krajów. Mimo to nie rządzi, nadal nie może bowiem odsunąć od władzy Nicolasa Maduro, dysponującego wojskiem i policją. W rezultacie od ponad roku w Wenezueli panuje stan dwuwładzy z dwoma – wzajemnie nieuznającymi się – prezydentami.

Na początku roku Guaidó odbył 23-dniową podróż po świecie, w trakcie której odwiedził m.in. Kolumbię, kilka krajów europejskich, Stany Zjednoczone i Kanadę. Wszędzie zabiegał o wsparcie w swojej walce z reżimem Maduro. Gdy wrócił do kraju, zapewnił, że „zagraniczni sojusznicy z wolnego świata" pomogą Wenezueli odzyskać wolność i demokrację. „Wzywam, abyśmy wznowili walkę i mobilizację" – zaapelował po powrocie.

Okazuje się jednak, że Guaidó, oficjalnie uznany za prezydenta Wenezueli m.in. przez prezydenta Donalda Trumpa, wcale nie ma tak szerokiego poparcia w USA. Poparcie Trumpa sprawiło bowiem, że lewicowe kongresmenki Ilhan Omar i Alexandria Ocasio-Cortez uznały Guaidó za „skrajną prawicę", choć w rzeczywistości jest on politykiem socjalistycznym, a jego partia wchodzi w skład międzynarodówki socjalistycznej.

Problem jest jednak znacznie głębszy niż ignorancja oponentek Trumpa. Do niedawna obóz Guaidó miał nadzieję, że Ameryka mocniej wesprze jego walkę z reżimem Maduro. Jednak pandemia koronawirusa wszystko zmieniła. Wenezuela zeszła w Białym Domu na daleki plan, a walczący o reelekcję prezydent USA nie zamierza politycznie ryzykować, angażując się w jakiekolwiek poważniejsze akcje na rzecz opozycji wenezuelskiej. Wie o tym również Maduro. Wybory parlamentarne, które miały się odbyć w tym roku, zostaną prawdopodobnie przełożone z powodu pandemii. W marcu w niejasnych okolicznościach spłonął magazyn komisji wyborczej w Caracas. Ogień zniszczył 50 tys. maszyn do głosowania i prawie 600 komputerów.

Obecny stan dwuwładzy staje się groźny dla obydwu stron, bo społeczeństwo jest już zmęczone bałaganem. Jeszcze rok temu prawie 90 proc. Wenezuelczyków popierających Guaidó sądziło, że nie należy prowadzić pertraktacji z reżimem Maduro, ale dziś sondaże pokazują, że rośnie liczba osób, które uważają, że ich kraj w ogóle nie ma prezydenta. Maduro i przedstawiciele opozycji zostali więc zmuszeni do rozmów, ale choć Guaidó zaprzecza, że trwają negocjacje, sytuacja może go zmusić do układania się z reżimem.

Łukasz Adamski

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Serbia

Chińscy przyjaciele

Co to jest „koronadyplomacja"? To sytuacja, w której udzielanie pomocy humanitarnej innym państwom staje się sposobem na wzmocnienie wpływów politycznych.

Do takiej sytuacji doszło na Bałkanach, w tej części Europy, gdzie od dawna krzyżują się geopolityczne interesy światowych potęg. Ich głównym celem stała się ostatnio Serbia – państwo, od którego na Bałkanach zależy bardzo wiele i które od dłuższego już czasu balansuje pomiędzy Wschodem a Zachodem. Walka z pandemią koronawirusa stała się w Serbii polem ostrej rywalizacji Chin, Rosji i Unii Europejskiej.

Pierwszy transport medyczny dla Serbii przybył z Chin już 21 marca. Na lotnisku w Belgradzie prezydent Serbii Aleksandar Vučić przywitał samolot z pomocą i ucałował na znak szacunku chińską flagę. Sześć dni wcześniej Vučić wprowadził w kraju stan wyjątkowy i zarzucił Unii, że jego państwo nie może liczyć na pomoc Brukseli, która rozważała wtedy zakaz eksportu sprzętu medycznego poza granice Unii (z czego później zrezygnowano). „Solidarność europejska to mit" – powiedział Vučić i dodał, że w tej sytuacji Belgrad musi się zwrócić do swoich prawdziwych przyjaciół, tj. do Chin. Chińscy eksperci szybko stali się głównymi doradcami serbskiego sztabu kryzysowego do walki z koronawirusem i zaczęli wdrażać ostre środki podobne do tych, które wcześniej zastosowano w mieście Wuhan.

Wkrótce po Chinach swoją pomoc zaoferowała także Moskwa, która również wysłała do Belgradu samolot z materiałami medycznymi, a przybyłe z Rosji ekipy wspomogły akcję dezynfekcyjną. Media serbskie uważają jednak, że niezwykle trudno jest ocenić konkretną wartość pomocy dostarczonej z Pekinu i Moskwy. Znacznie łatwiej jest za to oszacować wsparcie, którego Serbii udzieliła w tym czasie Unia Europejska. Jak wynika z danych, Bruksela przekazała Belgradowi 15 mln euro na nagłe potrzeby oraz 79 mln dodatkowej pomocy na rzecz serbskiej gospodarki. Pomimo to opinia publiczna w Serbii słyszy wyłącznie o pomocy udzielonej przez „bratni naród rosyjski" i „starych chińskich przyjaciół".

Zirytowało to szefa unijnej dyplomacji Josepa Borella, który oskarżył rząd Serbii, że ciągle okazuje on wdzięczność Chinom, a zupełnie pomija wsparcie ze strony Brukseli. Jednak Serbia, będąca zresztą kandydatem na członka Unii, na razie nie zmienia swojej polityki. Czas pokaże, czy skończy się to jej trwałym odsunięciem od Zachodu.

Goran Andrijanić

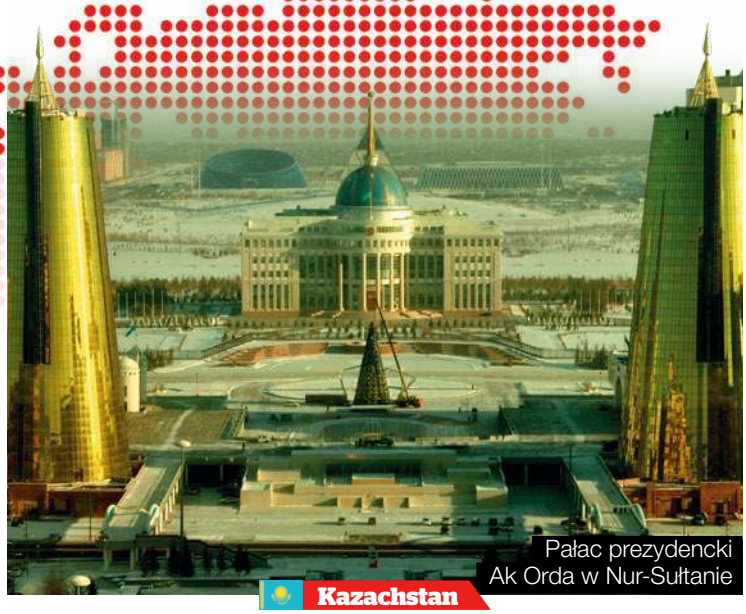

Fot. Shutterstock

Pałac prezydencki Ak Orda w Nur-Sułtanie

Kazachstan

Przewrót pałacowy?

2 maja na oficjalnej stronie prezydenta Kazachstanu Kasyma-Żomarta Tokajewa ukazał się lakoniczny komunikat o anulowaniu mandatu senatora Daridze Nazarbajewej, najstarszej córce byłego prezydenta Nursułtana Nazarbajewa. Jednocześnie Dariga przestała być marszałkiem izby wyższej tamtejszego parlamentu.

Interpretacja tego, co się wydarzyło, nie jest łatwa, ale komentatorzy zwracają uwagę na kilka intrygujących okoliczności tego posunięcia. Po pierwsze, doszło do niego w czasie, gdy w związku z pandemią obowiązuje w Kazachstanie stan wyjątkowy, co znacznie ułatwia działanie obecnemu prezydentowi. Po drugie, w momencie odejścia Nazarbajewa na polityczną „półemeryturę" w 2019 r. (bo nadal utrzymał on spore wpływy w państwie) mówiło się, że Dariga może zostać jego następczynią. Sprawowanie przez nią funkcji przewodniczącej Senatu czyniło tę hipotezę prawdopodobną, tym bardziej że obecny prezydent Tokajew również przeszedł na stanowisko głowy państwa bezpośrednio z funkcji szefa Senatu. Obserwatorzy zwracają też uwagę na to, że to właśnie przewodniczący Senatu pełnić będzie funkcję głowy państwa, gdyby urzędujący prezydent nie mógł sprawować swojej funkcji, co dodatkowo przydaje podjętej przez Tokajewa decyzji nowego wymiaru. Bo, pomijając ewentualne inne przyczyny, może tu chodzić o udaremnienie jakiejś formy pałacowego zamachu stanu.

15 kwietnia – na dwa tygodnie przed odwołaniem ze stanowiska – Dariga Nazarbajewa wystąpiła do sądu konstytucyjnego z prośbą o interpretację artykułu konstytucji dotyczącego ustawodawczych pełnomocnictw parlamentu. Jednak pytanie to zostało tak skonstruowane, że niektórzy odczytali je jako próbę podważenia uprawnień prezydenta do wydawania rozporządzeń z mocą ustawy, które otrzymał on w związku ze stanem wyjątkowym. Na potwierdzenie tego, że mamy do czynienia z kontratakiem ze strony Tokajewa może świadczyć również to, że na nowego przewodniczącego Senatu wyznaczył dotychczasowego zastępcę szefa swojej administracji, a więc człowieka z najbliższego otoczenia.

Niejasny jest przy tym geopolityczny kontekst tego, co się stało w Kazachstanie. Czy rewolucja na szczytach władzy będzie oznaczać zmianę kierunku polityki kraju? Komentatorzy zwracają uwagę na to, że Nursułtan Nazarbajew przebywał na początku marca z wizytą w Moskwie, co może wiele oznaczać w kontekście tego, co się stało. Ale może również nic nie znaczyć.

Marek Budzisz

eprasa.pl 2c36a7c6d2

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wola walki i odwaga kompromisu

Jan Pietrzak

Myślałem niedawno, przed atakiem koronawirusa, że po 60 latach występów w planie zawodowym mogę uważać się za człowieka spełnionego. Wypytywał mnie pewien wywiadowca, czy hasło „Żeby Polska była Polską" jest już zrealizowane. Było to po wyborach październikowych. Odpowiedziałem, że w zasadzie tak. Rządzą mądrzy i uczciwi ludzie, czego domagałem się od publiczności przez wiele lat, finalizując przedstawienia. Mówiłem: złodzieje i głupki z pewnością dobrej Polski nam nie urządzą. Ogłoszą, że „piniendzy ni ma", i zmyją się do rajów podatkowych. Ale po wyborach parlamentarnych 2015–2019 wyglądało na to, że sprawy idą we właściwym kierunku. Dobra zmiana będzie coraz lepsza dla szanownych rodaków, a ja zacznę pisać bajki dla dzieci i purnonsensowe głupotki do śmiechu.

Niespodziewany atak zarazy pokrzyżował te dobroduszne zamiary. Dramatyczna walka rządu z zagrożeniem życia i zdrowia narodu spowodowała, że opozycja zwietrzyła dla siebie okazję. Liczyli na to, że obarczając winą za epidemię rząd i PiS, zwiększą szansę opozycyjnych kandydatów w wyborach prezydenckich. Żwawo zabrali się do rzucania absurdalnych oskarżeń, które miały spowodować klęskę żywiołową.

Kiedy społeczeństwo się zorientowało, że prawdziwą klęską jest kandydatura Kidawy, sondażowe notowania prezydenta Dudy wzrosły do 60 proc. Senat Grodzkiego postanowił zbojkotować przygotowania wyborcze. W agenturalnych mediach i sieciach „soczyste buraki i zwiędłe kalafiory" preparowały skandaliczne fake newsy, dzikie napaści na prawych ludzi.

Zrobił się impas, i to nie tylko między partiami, również w rządzącej Zjednoczonej Prawicy. Przez kilka dni trwały narady, spotkania, konsultacje aż prezes Kaczyński z posłem Gowinem potrafili znaleźć formułę, która – nieco przesuwając termin elekcji – uspokoi wzburzone fale emocji. Ekstremalne napięcia w sprawie wyborów narazić nas mogą na groźną chorobę państwa polskiego. Marzenie pokoleń, by Polska była Polską, wymaga poza wolą walki odwagi kompromisu. A na marginesie, debata prezydencka, której uczestnicy nie wiedzieli, że jest jedynie przymiarką – to dosyć zabawny epizod historii.

Repetytorium z pilotem

Z Idą Nowakowską, aktorką, prezenterką TV, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Jan Bogacz / TVP

Kasztany zakwitają, więc czas na maturę. Pani też się do niej szykuje?

Ida Nowakowska: Dzięki temu, że z Olkiem Sikorą jesteśmy gospodarzami programu „Repetytorium maturzysty" (codziennie, od poniedziałku do piątku, od godz. 10.20 w TVP HD i na bis w TVP Rozrywka), czuję się trochę tak, jakbym sama przystępowała do egzaminów. Powtórki prowadzą najlepsi nauczyciele, w bardzo ciekawy i nowoczesny sposób. Z zainteresowaniem przysłuchujemy się im na nagraniach. Kiedy zdawałam maturę, nie było takich fajnych programów. Tylko kursy przygotowawcze, na które bardzo trudno było się dostać. A teraz pstryk pilotem i lekcje...

Jak wspomina pani swoją maturę?

Zdawałam dwie – polską i amerykańską, a właściwie trzy, ponieważ się okazało, że czeka mnie jeszcze dodatkowy egzamin w Ameryce. Wszystkie przedmioty budziły stres – byłam ambitna i zależało mi bardzo, by dostać się na wymarzone studia – ale każdy stres może być budujący i mobilizujący. Myślę, że takie poczucie powinno nam towarzyszyć przez całe życie.

Czas mamy wyjątkowy. Czego w nim życzyć maturzystom?

Kochani maturzyści, jesteśmy z wami i trzymamy za was kciuki. Pamiętajcie, że czas nauki to potencjał na całe wasze przyszłe życie. Każdy z was może wszystko. Wierzcie w siebie i się nie poddawajcie. Każdy z was jest zdolny. Najczęściej gorsze wyniki oznaczają, że na jakimś etapie mieliście zaległości, które po prostu trzeba nadrobić. „Repetytorium maturzysty" wam w tym pomoże.

eprasa.pl 2c36a7c6d2

BRONISŁAW WILDSTEIN

Syndrom renegata

Ludwik Dorn stwierdził, że głosowanie korespondencyjne „ma zapewnić Kaczyńskiemu, Prawu i Sprawiedliwości, możliwość sfałszowania wyborów". Oto przykład jaskrawej, niepopartej niczym insynuacji. Jednej z wielu, którymi posługuje się dziś opozycja, w tym jednak wypadku jej autorem jest były ważny polityk PiS. Powinien pamiętać tego typu pomówienia również pod swoim adresem w roku 2007, kiedy to startował z listy tego ugrupowania. Akurat nic nigdy nie sugerowało tego typu pomysłów ze strony partii Kaczyńskiego w przeciwieństwie do koalicji PO-PSL. W wyborach samorządowych 2014 r. ludowcy osiągnęli wynik zadziwiająco wysoki, radykalnie niezgodny z wszelkimi sondażami również exit polls, czyli przeprowadzonymi w dzień wyborów. Był on skorelowany z nieproporcjonalną liczbą głosów nieważnych tam, gdzie PSL triumfowało.

Dorn rozstał się z PiS w 2008 r. Może mieć pretensję do prezesa partii, zwłaszcza że wcześniej łączyła go z nim przyjaźń, który w tym momencie niepochlebnie wypowiedział się o jego życiu osobistym. Nawet jednak najbardziej uzasadnione zastrzeżenia do Kaczyńskiego nie usprawiedliwiają przytoczonej powyżej insynuacji, która niestety wpisuje się w obecną postawę tego polityka. Można uznać ją za syndrom renegata.

Renegat, czyli odstępca, ktoś, kto odrzuca swoje przekonania i przyłącza się do dotychczasowych wrogów. Czy pojęcie to ma sens w odniesieniu do demokratycznej polityki? Można przyjąć, że do jej klasycznej wersji zupełnie nie przystaje. Winston Churchill parę razy zmieniał przynależność partyjną i nikt go za to dziś nie potępia. Nie był on wyjątkiem. Ludzie ewoluują, rewidują poglądy, ugrupowania w praktyce politycznej sprawdzają się mniej lub bardziej i także przekształcają, zmiana barw partyjnych nie jest niczym strasznym.

III RP rządzi się jednak swoimi prawami i walczy z demokracją. W obronie swojej pozycji establishment rozpętał wściekłą nagonkę przeciw kontestatorom, odsądzając ich od czci i wiary. Określenie „populiści" jest najłagodniejszym, jakimi są obdarzani. PiS ma być złem gorszym od komunistów. Polityk, który pochodzi z jego szeregów, aby zostać zaakceptowany, musi dokonać rytualnego aktu potępienia swoich wcześniejszych towarzyszy. Radosław Sikorski kilka miesięcy po tym, gdy utracił tekę ministerialną PiS, kandydując z listy PO, nawoływał do „dorżnięcia [pisowskich] watah". Podobnie zachowują się inni: były premier Kazimierz Marcinkiewicz, Michał Kamiński czy Marek Migalski. Przypadek Romana Giertycha wydaje się nieco inny. W swoich działaniach zawsze charakteryzował się skrajnym cynizmem. Rafał Ziemkiewicz twierdzi, że polityczne uśmiercenie przez Kaczyńskiego przekształciło go w zombi, który powodowany jest wyłącznie żądzą zemsty. Poglądowa jest natomiast kariera Giertycha w opiniotwórczych ośrodkach III RP, które jeszcze niedawno straszyły nim dzieci. Cud przekształcenia „faszystowskiego szaleńca" w godnego szacunku mecenasa i komentatora jest zaiste wzorcowy.

Podobna transformacja dotyczy wszystkich odstępców. Pod warunkiem wszakże, aby licytowali się w potępieniach i insynuacjach pod adresem niedawnych towarzyszy broni z PiS. Robią to niezwykle zajadle, przy okazji zaprzeczając wszystkim swoim wcześniejszym ideom. Można odnieść wrażenie, że ich zaangażowanie jest wprost proporcjonalne do wypieranego w ten sposób poczucia winy. To zasada nietzscheańskiego resentymentu: osoby, które nie potrafią sprostać porządkowi wartości, odwracają go, wyzwalając jednocześnie u siebie nienawiść do niego i tych, którzy się go trzymają.

Rzecz nie dotyczy wyłącznie polityków. Ostatnio Wojciech Czuchnowski na łamach „Wyborczej" ujawnił homoseksualne skłonności Kamila Zaradkiewicza. Gdyby kto inny opublikował podobny materiał – czytalibyśmy w organie Michnika o podłości. Wobec przeciwników wszystko jest jednak usprawiedliwione. Szczególnie uderzające jest to w wypadku lustracji, czyli zła absolutnego w wydaniu „Wyborczej". Chyba że za jej pomocą można pomówić swojego przeciwnika. Czuchnowski pierwsze kroki stawiał w „Czasie Krakowskim", gdzie znany był ze swojego prawicowego radykalizmu, m.in. prolustracyjnego zaangażowania. Kiedy okazało się, że frukta są gdzie indziej i zaczepił się w „Wyborczej", na jej łamach zaczął udowodniać tezy przeciwne. Teraz w piśmie tym jest używany do najbardziej odrażających operacji przeciw przeciwnikom III RP. Podobną drogę gdzie indziej przybyli Cezary Michalski czy Eliza Michalik.

Moje uwagi nie odnoszą się do ludzi, którzy zmienili poglądy czy zniechęcili się np. do Kaczyńskiego. Opisuję szczególną, charakterystyczną dla III RP postawę i jej reprezentantów, a całe zjawisko dużo mówi nam o funkcjonowaniu tego historycznego fenomenu.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2c36a7c6d2

ZDJĘCIA Z PODRÓŻY *Janusza Rosikonia* PRZED KORONAWIRUSEM

Oblicze Boga

W każdej kochającej rodzinie jest potrzeba chronienia historii rodzinnej. Są domy, w których przechowuje się pamiątki z kilkunastu pokoleń. Idąc tym tropem, doszliśmy wspólnie z Grzegorzem Górnym do wniosku, że to niemożliwe, aby apostołowie po zmartwychwstaniu Jezusa nie zachowali pamiątek o Nim. Wiedzieliśmy o Całunie Turyńskim czy o relikwiach Krzyża Świętego, ale nie mieliśmy pojęcia o wielu innych przedmiotach, które – jak się później okazało – zostały przebadane przez zespoły naukowców. Ta wiedza budziła w nas niedosyt, dlatego postanowiliśmy ruszyć śladami relikwii Chrystusowych. Byliśmy m.in. w Manoppello, gdzie przechowywana jest chusta z wizerunkiem Jezusa. Badacze nie są w stanie odpowiedzieć na pytanie, jak powstał ów wizerunek, ponieważ widnieje na tkaninie utkanej z bisioru, a na takim materiale nie da się niczego namalować. Jest to po prostu niemożliwe, ponieważ farba po nim spływa.

Niestety chusty nie da się dokładnie zbadać, ponieważ znajduje się pomiędzy dwiema taflami szkła ołowiowego, które utrudniają wykonanie badań. Wyciągnięcie jej z kolei wydaje się bardzo ryzykowne: naukowcy boją się, że mogłaby wtedy ulec nieodwracalnemu zniszczeniu. O doświadczeniach i obserwacjach z tych podróży opowiada nasza książka „Świadkowie Tajemnicy".

Wiara Indian

Niezwykły był też dla mnie pobyt w Mexico City. Byłem tam dwukrotnie, gdy pracowałem nad książką „Sekrety Guadalupe. Rozszyfrowanie ukrytego kodu". Miałem możliwość fotografowania wizerunku Matki Bożej w bardzo komfortowych warunkach, w pustej bazylice w Guadalupe przez ponad półtorej godziny. Największe wrażenie zrobiła na mnie jednak prosta i żarliwa wiara meksykańskiego ludu. Gdy pierwszy raz stanąłem przed bazyliką, zapytałem naszą przewodniczkę, Kolumbijkę Beatriz, czy jest tu dzisiaj jakieś święto, ponieważ widzę nieprzebrane tłumy. Ona odpowiedziała mi, że to normalny dzień i tak tu jest zawsze, a kiedy przychodzi święto, to wtedy dopiero robi się ciasno i nie da się przecisnąć przez tłum. Widziałem dziesiątki matek, świeżo po połogu, z niemowlętami na rękach, jak wchodzą po schodach na górę, by ofiarować swe dziecko Maryi. Widać, że kobiety są słabe, kilka dni po porodzie, góra jest wysoka, ale wspinają się. Nie chcą oddać niemowląt swoim mężom, którzy idą obok, bo czują, że muszą same zanieść Maryi i złożyć u stóp swoje dzieci. Widziałem dziesiątki indiańskich pielgrzymek w ludowych strojach reprezentujących różne plemiona, które modliły się na placu przed bazyliką. A ponieważ Indianie modlą się tańcem, każde plemię tańczyło dla Maryi zupełnie inaczej. To zupełnie inna pobożność maryjna niż u nas, ale czuć za tym prostą i szczerą wiarę.

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Madonna w Moskwie

W ogóle wiele moich podróży po świecie związanych było z książkami. Na początku robiłem je dla innych wydawnictw. Pod koniec komunizmu przygotowałem album „Madonny Polskie", ale nikt go nie chciał wydać. Tłumaczono, że jest to książka o kulcie, a nie o sztuce. Wtedy nasz przyjaciel Wojtek Kryński doradził mi i żonie, żebyśmy wspólnie założyli wydawnictwo. Tak też zrobiliśmy. Po wydaniu „Madonn Polskich" zaprosili nas z żoną do sanktuarium w La Salette księża saletyni. Podczas dwutygodniowego pobytu zauważyliśmy, że pomimo trudnej lokalizacji, wysoko w Alpach, na modlitwy przybywało codziennie wielu pielgrzymów. Było dla nas zaskoczeniem, że w zsekularyzowanej Francji istniał silny kult maryjny. Zadaliśmy sobie pytanie: a jak to wygląda w innych krajach Europy? Tak narodził się pomysł nowej pozycji: „Madonn Europy". Realizując go, trafiłem m.in. do Fatimy. Kiedy robiłem tam zdjęcia, dowiedziałem się, że żona prezydenta Wałęsy właśnie odwiedza sanktuarium i wraca do kraju samolotem prezydenckim. Szczęśliwie udało mi się zdobyć miejsce na pokładzie i do Polski wróciłem (sic!) z Matką Bożą Fatimską, której figura odbywała tournée po Europie. Na lotnisku w Warszawie była przepięknie witana, co uwieczniłem na kliszach (jeszcze były wtedy klisze). Potem figura poleciała dalej, do Rosji, a ja postanowiłem polecieć razem z nią. W Moskwie zamieszkałem u franciszkanów, których namówiłem, żeby pójść z Matką Bożą na plac Czerwony. Pojechaliśmy samochodem, zaparkowaliśmy niedaleko i z figurą poszliśmy pod Kreml. Ojcowie trzymali figurę w rękach, a ja robiłem zdjęcia. Sytuacja była stresująca, bo łatwo można było zostać aresztowanym. Szybko wróciliśmy do samochodu, ale już siedząc w środku, pomyślałem, że „Matka Boska musi jednak stanąć na placu Czerwonym". Nieżyjący już dziś o. Grzegorz Cioroch zgodził się pójść po raz drugi. Zanieśliśmy Matkę Bożą na plac i postawiliśmy na bruku. Ludzie rozpierzchli się. Zrobiłem zdjęcia. Zegar nad bramą Kremla wskazywał kilka minut przed trzecią, czyli przed Godziną Miłosierdzia. Czułem się wyróżniony, że Matka Boża wybrała i mnie, żeby tam stanąć. To zdjęcie obiegło później cały świat, a ja opowiedziałem tę historię w książce „Tajemnice Fatimy".

Wysłuchał i spisał ***Michał Korsun***

Fot. archiwum prywatne Janusz Rosikoń

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Bez zaskoczeń

Dominik Zdort

Czytam tekst w pewnym polskim dzienniku nieukrywającym swoich partyjnych afiliacji. Jest krótki, zilustrowany niewielkim zdjęciem. Informuje, że prywatny teren między dwoma zamkami w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej został ogrodzony i turyści nie mogą tamtędy spacerować. Takie klasyczne medialne płacze nad tym, że ktoś kupił, stał się właścicielem i nie chce się dzielić swoim dobytkiem z innymi. Tyle że tym razem ów obrzydliwy biznesmen jest równocześnie – jak informuje gazeta – politykiem, co, jak rozumiem, zobowiązuje do większej społecznej wrażliwości. Ale z tekstu nie dowiemy się, z jakiej pochodzi partii...

Parę dni wcześniej inny tekst w innym dzienniku szczycącym się od zawsze obiektywizmem. Na czołówce materiał z działu prawnego, eksperci wypowiadają się na temat wyborów korespondencyjnych. Mamy opinię m.in. samorządowca, prezydenta jednego z miast, a także doświadczonego prawnika, byłego bardzo ważnego prokuratora. Mówią jednym głosem: są oburzeni, przerażeni, zdenerwowani. Nie wolno, nie należy, nie da się. Ale gazeta zapomniała napisać, z jakiej partii jest ów cytowany prezydent miasta, a także do jakiej partii należał ów prokurator i kto go kiedyś na ważne stanowisko powołał...

Jak się łatwo domyślić, zarówno wspomniani w pierwszym piśmie polityk, senator, jak i cytowani „eksperci" są związani z jedynie słusznymi (w opinii opisujących ich gazet) ugrupowaniami politycznymi. W pierwszym przypadku tę afiliację ukryto, aby nie obciążać zaprzyjaźnionej partii. W drugim, aby ukryć to, że w rzeczywistości są nieobiektywni, że wygłaszają poglądy wygodne dla bliskich im stronnictw.

Ktoś może powiedzieć: w czasach, gdy media stały się narzędziami politycznymi poszczególnych partii, gdy potrafią wprost kłamać i bezwstydnie manipulować faktami, to niewielkie nadużycie. Jestem skłonny się z tym zgodzić, tym bardziej że społeczna szkodliwość takich metod jest niewielka, bo każdy bardziej dociekliwy czytelnik w epoce Google'a od razu może sprawdzić, czy i w jaki sposób się go nabiera.

Jednak żałuję tego, że media z góry dziś wiedzą, jaka jest prawda i kogo zapytać, aby to potwierdził. Że przestały zaskakiwać. Ten, kto chce poznać argumenty wszystkich stron, musi sięgać do kilku źródeł, bo każde z osobna jest ślepe na któreś oko. Wiem, że to dla wszystkich jest oczywiste. Ale boli.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 2c36a7c6d2

OGNIEM NA WPROST

Tramwajem na Kijów

Opozycyjna propaganda weszła już w fazę humorystyczną, czym zasłużyła sobie, by trafić na łamy tej rubryki. Tym razem narracja stacji TVN przeszła samą siebie. Do oficjalnego ogłoszenia komunikatu o wyniku rozmów na szczycie dwóch Jarosławów na paskach w programach informacyjnych stacji dzień w dzień pojawiały się takie komunikaty: „PiS prze do wyborów", „Polityczna batalia o wybory za wszelką cenę", „Co dalej z wyborami". Aż nagle 7 maja od samego rana – jakby ktoś dotknął czarodziejską różdżką albo przestawił zwrotnicę – dominuje komunikat: „Władza nie zorganizuje wyborów. Niebezpieczny precedens?". Pogubiła się w narracji również Czerska. Wiadomo tylko, że „»Gazeta Wyborcza« niezmiennie będzie bronić konstytucji i wartości demokratycznych". Wierna tej deklaracji posłanka KO Kamila Gasiuk-Pihowicz stwierdziła po raz 1564., że razem z odrzuceniem przez Sejm weta Senatu w Polsce... „skończyła się demokracja". Widać, że cios wibrującej pięści zadany przez prezesa w konsekwencji negocjacji z liderem Porozumienia trafił opozycję i jej media w splot słoneczny. Znów stanęły przed oczami komunikaty Ministerstwa Prawdy George'a Orwella oraz jakże znane powiedzenie Marszałka, które wygłosił 11 listopada 1918 r., po przyjeździe z Magdeburga do Warszawy, do współpracowników z rządu Ignacego Daszyńskiego, który powołano kilka dni wcześniej. Z małą przeróbką: „Wam kota prezesa (w oryginale – „kury") szczać prowadzać, a nie politykę robić".

Tymczasem w Niemczech oprócz wirusa szaleją „uchodźcy". W Berlinie pełna mobilizacja sił porządkowych, a nawet śmigłowiec w powietrzu. Ruch w sporej części dzielnicy Berlina Schöneberg na kilka godzin został wstrzymany. Powód? Pogrzeb matki szefa (capo di tutti capi) arabskiego klanu-gangu Remmo. Wokół meczetu policjantów było dwa razy więcej niż uczestników pogrzebu, gdyż wzięło w nim udział ponad 100 żałobników. Ostentacyjne łamanie przepisów epidemiologicznych wpisuje się w model działania klanów arabskich w Niemczech. Arabscy gangsterzy zajmują się handlem narkotykami, napadami rabunkowymi oraz praniem brudnych pieniędzy. Rodzina Remmo na swoim koncie ma głośny napad na bank, z którego udało się ukraść 10 mln euro. Szacuje się, że gang ten liczy co najmniej 500 osób, choć w Niemczech działają i takie, do których należy 10 tys. członków. A więc więcej niż niegdyś chciała przyjąć do naszego kraju premier Ewa Kopacz wraz ze swoją partyjną koleżanką Małgorzatą Kidawą-Błońską. Rzecznik ówczesnego rządu Cezary Tomczyk nadrobił zaraz wstrzemięźliwość obu pań i publicznie oświadczył, że Polska jest w stanie przyjąć każdą liczbę „uchodźców". Nie zapominajmy o tym.

A w Gdańsku znowu się można było pośmiać z prezydent Aleksandry Dulkiewicz. Znana ze swoich historycznych pasji – jak dziś się mówi – „włodarka" grodu nad Motławą złożyła kwiaty z okazji obchodów 219. rocznicy Konstytucji 3 maja pod pomnikiem Jana III Sobieskiego. Wygłosiła przy tym pamiętne słowa: „Złożyliśmy dziś kwiaty pod pomnikiem króla Jana III Sobieskiego. W hołdzie tym, którzy tę konstytucję wywalczyli". Wynika z nich, że to nie kto inny, a właśnie Jan III Sobieski walczył w obronie Ustawy Rządowej. Przecież wszyscy w Gdańsku wiedzą, o czym Polska milczy, wszak to Sobieski pokonał pod Zieleńcami Rosjan, tak jak Neptun ze słynnej fontanny dowodził obroną Westerplatte.

7 maja minęła 100. rocznica wkroczenia Wojska Polskiego do Kijowa. A właściwie naszej kawalerii. Wyprawa na Ukrainę miała przede wszystkim cel polityczny. Zdobycie Kijowa wyszło niejako przez przypadek, choć często porównywane jest do osiągnięć Bolesława Chrobrego. Zajęcie stolicy Ukrainy miało być wisienką na torcie znacznie szerzej zakrojonej operacji. Jej głównym celem było utrzymanie niezależnego państwa ukraińskiego związanego z Polską. W zasadzie Polacy dosłownie wjechali do Kijowa dwa dni wcześniej... tramwajem. 5 maja pluton ze składu 1 Pułku Szwoleżerów z ppor. Olszewskim na czele „zdobył po krótkiej strzelaninie" tramwaj idący z Puszczy Wodzica – zalesionych przedmieść miasta. Podpor. Olszewski obsadził kilku szwoleżerami wagon, uzbroił go w jeden karabin maszynowy, każąc motorniczemu jechać do Kijowa. Dojechali w ten sposób przez nikogo nie zatrzymani aż na Kreszczatik (samo centrum), gdzie zabrali z ulicy siedmiu jeńców i wrócili na miejsce. Ale dopiero dwa dni później około 10.15 przybyła reszta pułku szwoleżerów [...], wśród morza głów ludzkich, kwiatów i owacyjnych okrzyków ludności. Całowano buty i strzemiona szwoleżerskie, a rotmistrzowi Głogowskiemu wręczono klucze od miasta na ratuszu. A wszystko to proszę państwa „ku chwale kawalerii". I oczywiście Rzeczypospolitej.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Dla przyszłych mam

Marta Kaczyńska-Zielińska

Projekt nowelizacji ustawy o świadczeniach opieki zdrowotnej, który w ostatnich dniach ponownie trafił do Sejmu, ustanawia prawo do otrzymywania bezpłatnych leków przez kobiety w okresie ciąży. Program ma być finansowany z budżetu państwa. W tym roku państwo ma przeznaczyć na jego realizację 11 mln zł, w 2021 r. – 24,2 mln zł, a w kolejnych latach o 10 proc. więcej, by w 2029 r. przekazać aż 51,2 mln zł. Według szacunków autorów nowych przepisów w ciągu roku beneficjentkami programu Ciąża+ ma być nawet 400 tys. ciężarnych. Zwolnienie z opłat za leki ma zacząć obowiązywać jeszcze jesienią tego roku.

Dostęp do bezpłatnych farmaceutyków ma przysługiwać wszystkim kobietom od momentu stwierdzenia ciąży przez ginekologa-położnika lub lekarza w trakcie odbywania tej specjalizacji, jak również położną podstawowej opieki zdrowotnej czy położną z poradni położniczo-ginekologicznej. Z pomocy będą mogły skorzystać także te przyszłe matki, które nie są objęte ubezpieczeniem. Z obowiązku zapłaty zostaną zwolnione w szczególności te leki, które pacjentka przyjmowała przewlekle, zanim zaszła w ciążę. Powstanie lista farmaceutyków refundowanych. Katalog leków zostanie opracowany we współpracy z lekarzami specjalistami z dziedziny ginekologii, perinatologii i położnictwa zarówno z uwzględnieniem najpowszechniejszych potrzeb przyszłych matek, jak i w trosce o zapewnienie bezpieczeństwa ich stosowania zarówno dla ciężarnych, jak i ich dzieci. Wiadomo, że dostępne bezpłatnie mają stać się m.in. leki, których przyjmowanie jest potrzebne dla podtrzymania ciąży. W trakcie prac nad projektem nowelizacji w senackich komisjach pojawił się postulat objęcia programem także kobiet w połogu. Zważywszy na komplikacje, które zdarzają się zarówno w okresie ciąży, jak i w szczególności w trakcie porodu, oraz troskę o jak najlepszą kondycję młodych matek, udostępnienie bezpłatnych leków na receptę także w okresie ośmiu tygodni po urodzeniu dziecka stanowiłoby dla nich realne i ważne wsparcie.

Program Ciąża+ kieruje strumień dodatkowego finansowania na rzecz rodziny. Warto pamiętać, że prawo do bezpłatnych leków na receptę w okresie ciąży i być może w czasie połogu stanowi uzupełnienie katalogu uprawnień przysługujących ciężarnym Polkom i ich niepełnoletnim dzieciom niezależnie od tego, czy są objęte powszechnym ubezpieczeniem zdrowotnym, czy nie. Pacjenci, którzy nie posiadają uprawnień wynikających z ubezpieczenia, otrzymują świadczenia gwarantowane w takim samym wymiarze jak osoby ubezpieczone. Kobieta w okresie ciąży ma ponadto prawo do dodatkowych świadczeń stomatologicznych. Podczas udzielania świadczeń medycznych, a przede wszystkim w trakcie porodu, ciężarna ma prawo do obecności osoby bliskiej. Od kilku lat kobiecie i dziecku po porodzie przysługuje prawo do co najmniej dwugodzinnego, nieprzerwanego kontaktu „skóra do skóry".

Przez cztery lata rządów PiS wprowadzono programy mające na celu udzielanie długotrwałego i nieprzerwanego wsparcia rodzinie. Najbardziej znanym programem jest Rodzina 500+ obejmujący wszystkie dzieci, ale w ramach instrumentów skierowanych dla rodzin znajduje się również wyprawka szkolna (program Dobry Start), emerytury dla matek, które urodziły co najmniej czworo dzieci (Mama 4+), program bezpłatnych leków dla seniorów czy 13. emerytura w ramach programu Emerytura+. Rząd Zjednoczonej Prawicy z powodzeniem realizuje także program Maluch+, z roku na rok zwiększając pulę środków przekazywanych przez wojewodów na rzecz placówek sprawujących opiekę nad dziećmi do trzeciego r.ż. Od listopada br. państwo roztoczy dodatkową opiekę nad kobietami, które zdecydowały się urodzić dzieci. Polskie rodziny nigdy wcześniej nie mogły liczyć na tak szeroko zakrojone wsparcie państwa.

Z wielkim żalem przyjąłem wiadomość

o śmierci

STEFANA HAMBURY

wybitnego adwokata, działacza społecznego i publicysty
wytrwale broniącego prawdy historycznej i sprawiedliwości,
niezłomnego działacza na rzecz równych praw Polonii w Niemczech.

Rodzinie i Bliskim
składam wyrazy głębokiego współczucia

Adam Glapiński
Prezes Narodowego Banku Polskiego

1/0520/F

eprasa.pl 2c36a7c6d2

RZECZY POSPOLITE

Odeszła Wielkość

Tomasz Łysiak

Śmierć marszałka Józefa Piłsudskiego 12 maja 1935 r. pogrążyła w żałobie cały kraj. Przejazd trumny pociągiem, kondukt żałobny, który ciągnął się kilometrami, tysiące ludzi we łzach. Płakała cała Polska. Każdy czuł, że kończy się epoka, że znika z polityczno-dziejowego firmamentu najjaśniejsza gwiazda. Że odszedł do lepszego świata nie tylko mąż opatrznościowy, twórca odrodzonego Wojska Polskiego, główny architekt czynu, który wyprowadził Rzeczpospolitą ku niepodległości, ale także swoisty dar dla Polski od Boga.

Że póki on był, to i Polska była, którą bagnetem i szablą w bojach legionowych zdobył, a potem wespół z innymi dźwigał z popiołów. Najjaśniejsza istniała i mogła stawić czoła największym zagrożeniom, jak to bolszewickie w roku 1920. W tej mierze także dla Europy stał się Piłsudski, a za nim polski żołnierz i polski obywatel, tarczą, o którą rozbiły się oddziały Tuchaczewskiego.

W życiu politycznym II Rzeczypospolitej był Marszałek atakowany zajadle przez różnej maści przeciwników politycznych – od endeków po komunistów – robiono z niego potwora i ukazywano jako dyktatora. Ale miał przecież wielkie grono wielbicieli, czczących go nie jak Naczelnika Państwa, nie jak Marszałka, ale jak Króla. I nie chodzi tu tylko o jego obóz polityczny, grupy piłsudczyków, legionistów etc., a o zwykłych ludzi, którzy obdarzali go miłością. Ta miłość kazała im słać życzenia na Maderę, gdy miał imieniny. Ta miłość powodowała, iż rzewnie płakali na pogrzebie. A ze smutkiem wiązał się podświadomy lęk – tak jakby z jego śmiercią zamykał się jakiś dobry okres Polski odrodzonej (mimo jej problemów i konfliktów), a zawisło nad nami jakieś ponure fatum. Jakby odchodził ten, którego duch sprawował nad Polską swego rodzaju nadprzyrodzoną opiekę, której zabrakło w chwili, gdy zamknęły się jego powieki.

Dla mnie opowieść o Marszałku zaczęła się w dzieciństwie, gdy Ojciec dał mi do czytania przedwojenną książeczkę „Mały Piłsudczyk" – z Dziadkiem wpisanym w orła na okładce. Dlatego, gdy patrzę na zdjęcia z jego pogrzebu, wzruszam się, jakbym patrzył na fotografie pogrzebowe własnego pradziadka.

Moje gdybanie

Piotr Cywiński

Jak wyglądałaby dziś Polska, gdyby podczas nocnego puczu w 1992 r. Kongres Liberalno-Demokratyczny Donalda Tuska, vel „panowie, policzmy głosy", stanął po stronie premiera Jana Olszewskiego? Jaki byłby obraz naszego kraju, gdyby w 2005 r., po klęsce w wyborach parlamentarnych i prezydenckich Platformy Obywatelskiej i Donalda Tuska, oddelegowany do pozorowanych negocjacji Jan Maria Rokita nie wykonał jego polecenia i zgodnie z życzeniem polskiego społeczeństwa doszłoby do powstania koalicyjnego rządu PO z Prawem i Sprawiedliwością? Co by było, gdyby nie doszło do smoleńskiej tragedii w 2010 r., a miejsca prezydenta Lecha Kaczyńskiego nie zajął marszałek Bronisław Komorowski, vel „przyjdą wybory prezydenckie albo prezydent gdzieś poleci i to się wszystko zmieni" – cytat z jego wywiadu udzielonego rok wcześniej dla RMF...? Jak wyglądałaby dziś sytuacja polityczna, gospodarcza i finansowa kraju, gdyby nie tzw. taśmy prawdy od Sowy & Przyjaciół? Co by było, gdyby Donald Tusk, vel „nie wybieram się do Brukseli z jakimiś własnymi ambicjami zawodowymi, mam poczucie, że dużo roboty jeszcze przede mną w kraju" – z konferencji prasowej na kilka miesięcy przed pozostawieniem na lodzie rządu, partii, własnych wyborców, kraju i wszystkich obywateli na rzecz objęcia dwuipółletniej kadencji w roli przewodniczącego Rady Europejskiej? Jak przedstawiałby się rozwój Polski i byt obywateli, gdyby w 2015 r. PO i prezydent Bronisław Komorowski, vel „czasami musimy walić przeciwnika dechą w łeb, żeby upomnieć się o swoje" (z wystąpienia w Poznaniu), nie przegrali wyborów parlamentarnych i prezydenckich? Co by było, gdyby w 2016 r. szefem PO nie został Grzegorz Schetyna, vel „będziemy opozycją totalną, naszą aktywnością będzie ulica i zagranica, musimy strząsnąć pisowską szarańczę, złożymy wniosek o odwołanie Mateusza Morawieckiego z funkcji prezesa Rady Ministrów"...? Co by było, gdyby w styczniu 2020 r. tej funkcji nie objął Borys Budka, vel „buta, łgarstwo, agresja, serwilizm, zarozumiałość, cynizm, zadufanie, arogancja, konfetti", jak literował nazwisko ministra spraw wewnętrznych w debacie nad wnioskiem PO o jego odwołanie? Jak wyglądałaby nasz kraj przed prezydenckimi wyborami i nasz zbiorowy wizerunek poza granicami, gdyby w partii kochających Polskę inaczej znaleźli się jednak ludzie o szerszych horyzontach, którzy tzw. totalsów ze świecznika odesłaliby do diabła?

Bez sensu, już samo to moje spekulowanie – co by było, gdyby... – brzmi w tym przypadku jak oksymoron o burdelu dziewic.

eprasa.pl 2c36a7c6d2

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: SHUTTERSTOCK, ANDRZEJ WIKTOR

nasz sondaż

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Czy opinia Donalda Tuska na temat korespondencyjnych wyborów prezydenckich ma wpływ na to, czy weźmie Pani/Pan udział w tych wyborach?

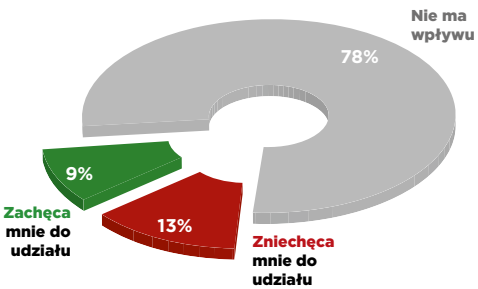

Czy wzięłaby Pani/wziąłby Pan udział w korespondencyjnych wyborach prezydenckich, gdyby odbywały się w najbliższą niedzielę?

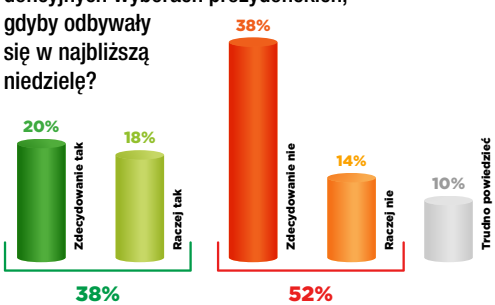

Gdyby w najbliższą niedzielę odbywały się korespondencyjne wybory na Prezydenta RP, na kogo oddałaby Pani/oddałby Pan głos? (bez niezdecydowanych)

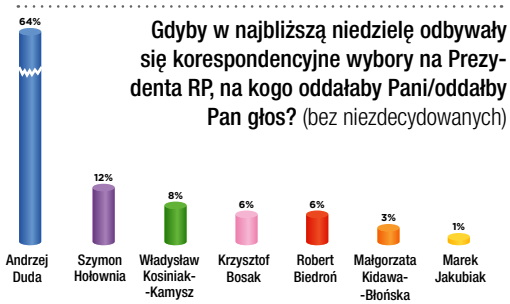

Jak ocenia Pani/Pan działania polskiego rządu w sprawie koronawirusa (COVID-19)?

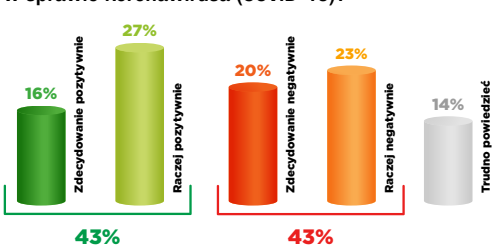

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1073.

Zakres czasowy badania 1–2 maja 2020 r.

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Lockdown pod oskarżeniem

„Pozwólcie nam pracować!", „Nie możecie zamknąć Ameryki!" – pod takimi hasłami odbywają się w USA protesty obywateli, którzy nie zgadzają się na restrykcje związane z pandemią

Czy można było inaczej? To pytanie wywołuje już teraz namiętne starcia na portalach społecznościowych i coraz żywszą debatę na łamach światowej prasy. A przynajmniej w niektórych krajach zaczyna również napędzać konflikt polityczny, destabilizując obecne rządy

JAN ROKITA

Odkąd minęło początkowe powszechne przerażenie apokaliptyczną wizją zarazy, rośnie fala krytyki radykalnego lockdownu, jaki w marcu i kwietniu zaordynowały nam demokratyczne rządy niemal na całym świecie. Dla wszystkich jest już jasne, że to bynajmniej nie sam panoszący się wirus, ale polityczna decyzja podjęta przez rządy odpowiada za sparaliżowanie na kilka tygodni życia gospodarczego, społecznego, religijnego. I choć jak na razie sondaże w większości demokratycznych krajów pokazują mocne, sięgające 70–80 proc., poparcie społeczne dla podjętych restrykcji, to owa mniejszość, zarzucająca politykom działanie przesadne, pod wpływem impulsu albo i nawet w złej wierze, wraz z upływem czasu staje się coraz głośniejsza. Początkowy efekt moralnego „zamknięcia ust" krytykom lockdownu stracił bowiem swoją siłę. Być może dlatego, że wszyscy zauważamy pewną niekonsekwencję rządów, które przynajmniej w niektórych krajach (np. w Polsce) „mroziły" wszystko wtedy, gdy dzienna liczba zarażonych i umierających była niższa aniżeli teraz, gdy zaczęły „odmrażać".

FALA PROTESTÓW

We Włoszech – europejskiej „ojczyźnie" koronawirusa – spór o lockdown zdominował bieżące życie polityczne.

Fot. MattGush / Shutterstock

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Lewicowemu rządowi Giuseppe Contego w każdej chwili grozi utrata większości, po tym jak jego sojusznik – były premier Matteo Renzi wraz ze swoją niewielką grupką renegatów z Partii Demokratycznej – wszczął ostrą kampanię przeciw dekretom rządowym wydłużającym czas obowiązywania restrykcji sanitarnych. „Wolność nie jest mniej warta niż zdrowie" – mówi Renzi w wywiadzie dla gazety „La Repubblica", domagając się m.in. natychmiastowego wznowienia meczów włoskiej ligi piłkarskiej. Kłopot jednak w tym, że podobnie jak w Polsce, gdzie prawicowa władza trzymała się dotąd na małym i chybotliwym kółku gowinowców, tak i w Italii rządy lewicy zawalą się bez wsparcia coraz bardziej spiskującej przeciw gabinetowi Contego grupki zwanej nad Tybrem „renziani".

Co ciekawe, były lider lewicy (którym Renzi był w przeszłości) stał się w kwestii lockdownu sojusznikiem Matteo Salviniego, który o ile na przełomie stycznia i lutego żądał natychmiastowego zamknięcia granic państwa w obronie przed zarazą (i zdaje się, że wtedy miał rację), o tyle gdzieś od kwietnia równie stanowczo domaga się rychłego powrotu do normalności. Dla wyrażenia protestu wobec nadal restrykcyjnej polityki sanitarnej gabinetu Salvini i kilkudziesięciu senatorów Ligi okupowało w ostatnich dniach kwietnia dzień i noc salę obrad Senatu w Palazzo Madama, zapowiadając, iż nie ustąpią, aż „rząd nie powie kupcom, pracownikom i rodzicom, kiedy mogą otworzyć swój biznes, wrócić do pracy, posłać dzieci do szkoły".

W Ameryce ci, którzy wszczęli protesty przeciw lockdownowi, zasłużyli sobie na poparcie ze strony prezydenta. „Widziałem ludzi, widziałem wywiady z ludźmi – to wspaniali ludzie" – pisał z emfazą Donald Trump na Twitterze. I tak wyjaśniał motywy manifestantów: „Oni chcą odzyskać swoje życie. Ci ludzie kochają nasz kraj, chcą wrócić do pracy". Prezydentowi szło o niezbyt liczne, ale hałaśliwe i spektakularne protesty w kilku stanach, skierowane przeciwko lokalnym gubernatorom, zazwyczaj z Partii Demokratycznej, którzy w federalnym modelu ustrojowym USA firmują restrykcyjne zarządzenia sanitarne. Sporym echem odbiły się zwłaszcza protesty w Denver, pod Kapitolem stanu Kolorado, gdyż rozkrzyczani manifestanci nadziali się tam na blokadę... pielęgniarzy, w maskach i ubraniach ochronnych przeciw koronawirusowi. Portal zwolenników posiadania broni cytuje wielce charakterystyczną odezwę jednej z manifestantek z Denver: „Sklepy z marihuaną są otwarte, kliniki aborcyjne są otwarte, a mój kościół jest zamknięty. Przecież śmierć jest częścią życia i czas znów zacząć żyć". Parę dni później media obiegły zdjęcia z posiedzenia Kongresu stanu Michigan, na których widać sporą grupę mężczyzn z długą bronią, którzy wdarli się na galerię, aby w ten dobitny sposób powiadomić swoich reprezentantów, co myślą o ich zarządzeniach w sprawie lockdownu. Nieopodal stanowej stolicy Lansing ich koledzy zastrzelili ochroniarza, który zgodnie z prawem wyrzucił ze sklepu kobietę bez maski na twarzy. Nie dziwota, że wobec takiej determinacji radykalnych obrońców wolności Trump od początku zarazy lawiruje pomiędzy doradcami sanitarnymi a własnym elektoratem.

> Przypadek Szwecji służy w Europie do podawania w wątpliwość całej polityki lockdownu, która zrujnuje wyniki gospodarcze większości krajów. Tyle tylko, że przykład szwedzki może się okazać zwodniczy

WIDMO BEZROBOCIA I GŁODU

Jeszcze ciekawiej rzeczy się mają w Brazylii, gdzie prezydent Jair Bolsonaro zdymisjonował ministra zdrowia, który stał się twarzą wprowadzanych restrykcji sanitarnych. Teraz wygląda na to, że wyrzucony z rządu Luiz Mandetta – działacz Partii Liberalnej – stanie się liderem antyprezydenckiej opozycji i kontrkandydatem w wyborach prezydenckich. W ten sposób spór o lockdown ma wszelkie szanse, aby na długo spolaryzować brazylijską scenę polityczną. Nowy minister zdrowia lekarz Nelson Teich zaczął swoje urzędowanie od deklaracji o potrzebie inwestowania publicznych funduszy w „leczenie młodzieńców zamiast starców", co nie bez racji przeciwnicy rządu potraktowali jako wyraz zgody na praktyki eugeniczne. Niby w sumie nic nowego, skoro tak właśnie postępowali humanitarni lekarze w Mediolanie i Bergamo, działający skądinąd w zgodzie z wytycznymi włoskiego samorządu medycznego. Ale Teicha tak zakrzyczano, że musiał się wkrótce potem zarzekać, iż nie uchyli żadnych restrykcji, których brak mógłby narazić starców i biedaków z faweli na zwiększone niebezpieczeństwo infekcji.

Tyle tylko, że restrykcje otwarcie kwestionuje sam prezydent państwa. Bolsonaro argumentuje: „Przecież dobrze widzimy, że wszystkie wysiłki spłaszczenia krzywej zachorowań okazują się praktycznie bezużyteczne. A co będzie ich efektem? Tylko bezrobocie". W kraju milionów nędzarzy, dla których utrata pracy oznacza widmo głodu, to, co mówi Bolsonaro, musi być bardziej przekonujące niźli lekarskie groźby śmierci za sprawą koronawirusa.

Samo sedno problemu tkwi w tym właśnie, czy Bolsonaro ma rację. I tego w gruncie rzeczy dotyczy ciekawa debata rozpoczęta w Wielkiej Brytanii. Nie dziwota, że właśnie tam. Bo to przecież nie kto inny, jak premier Boris Johnson najpierw intuicyjnie odrzucił lockdown jako metodę walki z zarazą. Po czym pod presją, wystraszony katastroficzną ekspertyzą doktorów z Imperial College, rysującą wizję 40 mln śmiertelnych ofiar wirusa COVID-19 na świecie, w tym 400 tys. na Wyspach, zrównał szereg i z niejakim

eprasa.pl 2c36a7c6d2

opóźnieniem dołączył do grona inicjatorów restrykcji. To właśnie owa upubliczniona przez media sławna ekspertyza, firmowana przez zespół prof. Neila Fergusona z londyńskiej uczelni, znalazła się teraz w centrum sporu.

Na łamach „Spectatora" jego redaktor naczelny, znany konserwatywny publicysta Nelson Fraser, kwestionuje wartość przyjętego w niej modelu epidemii, wedle którego tzw. liczba R (czyli wskaźnik pokazujący, ilu ludzi zaraża statystycznie jeden chory) miała w Szwecji u początków maja 2020 r. wynosić ponad trzy, co dawałoby efekt około 40 tys. zgonów. W realiach tymczasem ów wskaźnik wyniósł w Szwecji w tym czasie mniej niż jeden (a więc odrobinę gorzej niż w Wielkiej Brytanii i nawet ciut lepiej niż w Polsce), zaś na skutek zarazy zmarło tam do początku maja ok. 2,7 tys. osób. Jak wiadomo, Szwecja oraz Białoruś to jedyne kraje europejskie, które nie wprowadziły dotąd u siebie reżimu lockdownu. A Fraser nie jest jedynym, który publicznie wątpi w metodologię ekspertyzy, na podstawie której Londyn dokonał radykalnego zwrotu strategii wobec zarazy.

ETYKA NAD GOSPODARKĄ

Przypadek Szwecji służy w Europie do podawania w wątpliwość całej polityki lockdownu, która zapewne zrujnuje (przynajmniej na jakiś czas) wyniki gospodarcze większości krajów i poczucie ekonomicznego bezpieczeństwa ludzi. Tyle tylko, że przykład szwedzki może się okazać zwodniczy. Albowiem jeśli choćby oglądać w sieci zdjęcia i filmy ze Sztokholmu, trudno nie zauważyć, że osiągnięto tam w gruncie rzeczy podobny co gdzie indziej poziom izolacji społecznej, tyle że nie środkami nakazowo-karnymi, ale perswazją i odwołaniem się przez władze do poczucia dyscypliny społecznej. Tę ideę oddaje właśnie termin „Folkvett" wylansowany przez rządzącego dziś de facto w Szwecji głównego epidemiologa dr. Andersa Tegnella, którego podobizny (ponoć) niektórzy Szwedzi każą sobie tatuować na ramieniu. Jest jasne, że ów efekt uzyskany w zdyscyplinowanym społeczeństwie szwedzkim byłby w żaden sposób nieosiągalny nie tylko w anarchicznej z gruntu Italii, lecz także w Anglii, Francji, Polsce czy nawet we współczesnych bałaganiarskich Niemczech.

Z tego punktu widzenia ciekawszym i poważniejszym wyzwaniem mógłby się okazać przypadek... Białorusi, gdzie tamtejsza władza przeciwstawia się lock-downowi w imię zdrowego ekonomicznego rozsądku, instynkt obywatelskiej dyscypliny zaś zapewne nie jest wysoki. Jeśli w takich warunkach również baćce Łukaszence udałoby się utrzymać trwale wskaźnik R na poziomie mniej więcej równym jeden, to mógłby to być znacznie poważniejszy cios, jaki polityczna empiria zadałaby uniwersyteckim modelom zarazy, za którymi podążyli en gros politycy.

Tymczasem jednak warto pamiętać o etycznych fundamentach ryzykownej decyzji o lockdownie. Wszyscy ci, którzy (jak choćby ów nowy brazylijski minister) próbują mu się przeciwstawić, wcześniej czy później muszą dochodzić do pogodzenia się z ryzykiem biernej akceptacji eugenicznego ostrza panoszącego się koronawirusa. Ten wątek charakterystycznej dla nich logiki był obecny w europejskiej debacie o metodach walki z zarazą od jej samego początku. Jeszcze nim Emmanuel Macron z ociąganiem oraz pod wpływem licznych krytyk i apeli lekarzy zdecydował się na zarządzenie lockdownu, mer Nicei skrócił tamtejszy wesoły karnawał, argumentując, iż „zdrowie jest ważniejsze od gospodarki". Ostro zareagowała wtedy intelektualistka i wydawczyni świetnego skądinąd magazynu „Causeur" Élisabeth Lévy. „Nawet jeśli w naszych krajach cena życia ludzkiego jest najwyższa, to nie jest nieograniczona" – pisała. „Mówiąc jasno, nie będziemy ryzykować kryzysu gospodarczego, by uratować kilka tuzinów ludzi". Logika Lévy, której tylko błędnie się zdawało, iż stawką będzie tu raptem życie „paru tuzinów" francuskich starców, została jednak przez państwa europejskie odrzucona.

W ten właśnie sposób tak wyraźnie objawiła się w tym kryzysie moralna wartość naszych państw, na przekór wszystkim tak dobrze znanym ich słabościom. Nasze państwa postanowiły wtedy po prostu, że bez walki nie oddadzą zarazie naszych starców, słabych i chorych. Nawet więc gdyby za jakiś czas miało się okazać, że politycy podejmowali decyzje w oparciu o błędne modele zrobione przez epidemiologów, to i tak moralna wartość tamtych decyzji pozostaje ich wystarczającą racją i obroną.

Przeciwko zamrożeniu gospodarki demonstrowano także w ubiegłym tygodniu w Warszawie

Fot. Andrzej Wiktor

Reklama | 59/0420/F

eprasa.pl 2c36a7c6d2

TANIE TANKOWANIE

Reszta należy do Ciebie

ORLEN

Szansa dla Europy Środkowej

Poczucie sukcesu w walce z pandemią pozwoli z jednej strony zerwać z mentalnością kolonialną i ślepym naśladownictwem wzorców z Zachodu. Jeżeli wygramy tę bitwę, to gospodarcze przyspieszenie państw środkowoeuropejskich, w tym Polski, może po epidemii zasadniczo zmienić układ sił na Starym Kontynencie

MAREK BUDZISZ

Neil Ferguson, profesor w Imperial College i jeden z głównych doradców brytyjskiego rządu w walce z pandemią, ustąpił na początku maja ze swej funkcji po tym, jak jeden z dzienników ujawnił, że przynajmniej dwukrotnie w ostatnim czasie odwiedziła go zamężna kobieta, z którą utrzymuje intymne relacje. Jednak dymisja głównego orędownika wprowadzenia w Wielkiej Brytanii lockdownu nie jest związana z obyczajową stroną sprawy, ale z tym, że Ferguson złamał w ten sposób restrykcje, których sam był orędownikiem.

Dymisja jest ostatnim akordem fali krytyki, jaka przetoczyła się nad nim w brytyjskich mediach. Jej głównym przesłaniem było to, że kolportując panikarskie raporty oparte na przesadzonych i wątpliwych założeniach, Ferguson wieścił setki tysięcy zgonów w wyniku COVID-19, w wyniku czego doprowadził do przesadnej reakcji brytyjskiego rządu, który zarządził zbyt ostre restrykcje. Złośliwi są zdania, że głównym powodem tej krytyki jest uniemożliwienie mieszkańcom Wysp Brytyjskich odwiedzania pubów, jednak przeciwnicy tej opinii zwracają uwagę, że wiele spośród ponad 48 tys. zamkniętych dziś lokali (pesymiści twierdzą, że potrwa to nawet do Bożego Narodzenia) może po prostu nie przetrwać, podobnie zresztą jak inne sektory gospodarki. Celowe jest zatem stawianie pytania, czy społeczne i gospodarcze koszty wprowadzonych ograniczeń były warte poniesienia. Doświadczenia Szwecji, kraju, który na początku pandemii był w Europie powszechnie krytykowany za to, że w sposób bardzo ograniczony wprowadzał restrykcje, są obecnie

eprasa.pl 2c36a7c6d2

inaczej oceniane niźli jeszcze kilka tygodni temu. Brytyjski konserwatywny tygodnik „Spectator" napisał, że w tym kraju udało się osiągnąć wskaźnik rozprzestrzeniania się wirusa (oznacza on, ile osób statystycznie zaraża jeden chory) na poziomie 0,85 bez konieczności uciekania się do takich restrykcji jak nad Tamizą. Ta dyskusja w przypadku Wielkiej Brytanii, która niedługo znajdzie się na pierwszym miejscu, jeśli idzie o statystyki zgonów związanych z pandemią, może budzić zdziwienie. Oddaje jednak podstawową prawdę, w myśl której o tym, czy dany kraj poradził sobie w walce z zarazą, możemy mówić tylko w odniesieniu do celów, jakie postawiły sobie jego władze, oraz świata wartości, którym kieruje się jego społeczeństwo.

GŁĘBOKIE CZY PŁYTKIE ZAMROŻENIE

Trwająca w krajach Zachodu debata na temat najlepszej polityki w kwestii walki z COVID-19 nie ogranicza się tylko do Wielkiej Brytanii. Francuski Senat opowiedział się niedawno przeciw propozycjom rządu, który chce szybko, bo już w maju, znosić kolejne ograniczenia. Głosowanie to ma charakter głównie symboliczny, ale opozycja przeciw zbyt wczesnemu „odmrożeniu" życia społecznego, w tym uruchomieniu edukacji podstawowej, jest też silna w samorządach. W Niemczech wielu pyta, czy czasem władze federalne nie są nadmiernie ostrożne. Stefan Homburg, profesor finansów publicznych na Uniwersytecie Leibniza w Hanowerze, zastosowane przez rząd ograniczenia określa mianem „szaleństwa" i argumentuje, że już 23 marca w świetle powszechnie dostępnych danych statystycznych, czyli właśnie w dniu, kiedy w Niemczech wprowadzano największe restrykcje, wskaźnik obrazujący rozprzestrzenianie się wirusa spadł poniżej 1 i od tej pory nie wzrósł, a to oznacza, że jeden chory zaraża statystycznie mniej niż jedną osobę.

Homburg, który mówi o „szaleństwie lockdownu", argumentuje też, że rozpowszechniane przez władze niemieckie na początku pandemii szacunki, prognozujące od 300 tys. do nawet 1,5 mln zgonów, jeśli nie zostaną podjęte natychmiastowe działania, okazały się w jawny sposób przesadzone. Oczywiście dziś trudno jest dyskutować z tak stawianą kwestią, bo łatwo sformułować kontrargument, że liczba ta jest niższa właśnie dlatego, że podjęto stanowcze i szeroko zakrojone działania.

Trwająca na Zachodzie debata na temat tempa wychodzenia z ograniczeń unaocznia jeszcze jedną kwestię. O tym, jak kraje poradziły sobie w walce z COVID-19, będzie można powiedzieć dopiero po zestawieniu danych z dwóch faz walki z pandemią. Z jednej strony biorąc pod uwagę, do jakiego stopnia udało się uniknąć zagrożeń życia i zdrowia, i z drugiej, jak szybko społeczeństwa będą w stanie odbudować pozycję swych gospodarek w światowym podziale pracy, a państwa w układzie sił.

Te dzisiaj pojawiające się wątpliwości w państwach Europy Zachodniej, od których wolna jest choćby nasza debata publiczna, czy restrykcje nie były zbyt głębokie, są też – jak można przypuszczać – świadectwem narastających obaw. Ich istotą jest pytanie, czy społeczeństwa i gospodarki państw Zachodu, ale również aparat urzędniczy, który nie popisał się skutecznością, eufemistycznie sprawę nazywając, będą w stanie zmierzyć się z nowymi wyzwaniami. Głównie gospodarczej natury. Związanymi z kształtowaniem się nowych łańcuchów wymiany towarowej, nowych więzi kooperacyjnych i nowej hierarchii sił w Europie i na świecie.

> Małe państwa naszego regionu wykazały na początku pandemii więcej pokory, determinacji w zdobywaniu niezbędnych informacji i gotowości korzystania z doświadczeń sprawdzonych w innych regionach świata niźli przekonani o swej nieomylności „rozgrywający" na europejskiej szachownicy

WIĘCEJ POKORY, SZYBSZE DECYZJE

Zdaniem większości wypowiadających się analityków, zarówno z Europy, jak i ze Stanów Zjednoczonych czy Rosji, pandemia nie tworzy nowej jakości w świecie, ale raczej przyspiesza już wcześniej rysujące się trendy, obnaża skrywane wcześniej słabości i pokazuje, gdzie znajdują się ośrodki siły, społecznej dynamiki i przyszłego rozwoju. Innymi słowy wskazuje regiony i państwa, które w nadchodzących latach będą szły w górę, a które podążą w przeciwnym kierunku.

Jeżeli tak podejdzie się do tej kwestii, to pierwsze obserwacje można już poczynić. Generalnie panuje pogląd, że Chiny, ale w jeszcze większym stopniu mniejsze państwa azjatyckie, zarówno położone na Półwyspie Indochińskim, jak i Korea Południowa czy znacznie większa Japonia, wyszły z tego kryzysu obronną ręką. Przypadek Japonii jest w tym kontekście szczególnie ciekawy, bo w społeczeństwie odsetek ludzi bardzo zaawansowanych wiekiem jest tam znacznie większy niźli we Włoszech czy Francji, a jednak kataklizmu udało się uniknąć.

A w Europie? Tu zdecydowanie trzeba mówić o sukcesie Europy Środkowej czy Środkowo-Wschodniej. Nawet najbardziej dotknięte przez pandemię kraje, takie jak Austria, gdzie liczba ofiar śmiertelnych wynosi 67 na milion mieszkańców, mają kilkanaście razy niższe wskaźniki w tym względzie niźli Wielka Brytania (433), Hiszpania (548) czy Francja (391). Nie mówiąc już o państwach takich jak Węgry (39 zgonów na milion mieszkańców), Czechy – 24, Polska – 19 czy Słowacja – 5. Krajach, co warto zauważyć, uboższych, o niższych budżetach przeznaczonych na służbę zdrowia i przez lata drenowanych

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Japonii, mimo że w tym społeczeństwie odsetek ludzi bardzo zaawansowanych wiekiem jest znacznie większy niźli we Włoszech czy Francji, udało się uniknąć pandemicznego kataklizmu

Fot. Andrzej Skwarczyński

przez bogatszy Zachód z wykwalifikowanych kadr, głównie lekarzy, ale też pielęgniarek.

W zgodnym poglądzie specjalistów o sukcesie państw naszego regionu zadecydowała szybkość reakcji na zagrożenie. Można powiedzieć, że znając własne ograniczenia i to, że z wyzwaniem trzeba będzie się mierzyć, mając w ręku słabsze karty niźli państwa zamożniejszego Zachodu, rządy w naszej części Europy zareagowały szybko i stanowczo. George Pagoulatos, grecki ekonomista, opisując w mediach strategię tamtejszego rządu, który też odpowiednio wcześnie podjął działania i uchronił kraj przed wybuchem pandemii na skalę włoską czy francuską, mimo gorszej sytuacji, bo przecież na greckich wyspach i kontynencie znajdują się liczne obozy dla uchodźców, w których trudniej niźli gdzie indziej stosować zasady dystansowania się społecznego, mówi: „Tak jak kraje Europy Środkowej i Wschodniej Grecja miała poczucie kruchości swego systemu ochrony zdrowia" i dlatego nie mogła sobie pozwolić na luksus czekania.

Przykłady Izraela i Korei Południowej, ale też Tajwanu i Singapuru pokazują, że tempo reakcji jest jedną z podstawowych przesłanek osiągnięcia powodzenia w tłumieniu rozprzestrzeniania się pandemii. Co ciekawe, ten relatywny sukces państw naszego regionu nie jest dostrzegany na Zachodzie. Ben Stanley, specjalista w zakresie nauk politycznych, pracujący na Uniwersytecie SWPS (warszawskiej prywatnej uczelni), powiedział dziennikowi „The Guardian", że jest to w istocie efekt „kolonialnej mentalności" zachodnich elit wobec naszego regionu. Lata pouczania, zalecania uprawiania polityki sprowadzającej się do kopiowania rozwiązań, które sprawdziły się w państwach Europy Zachodniej, wytworzyły przekonanie o tym, że „wiemy lepiej".

Czytając dziś prasę zachodnią, trudno się oprzeć też wrażeniu, że taka narracja w dużej części budowana jest przez część środkowoeuropejskich elit, które wzorem czasów kolonialnych swą pozycję budują na bliskości relacji z ośrodkami władzy i dystrybucji statusu zlokalizowanymi w Berlinie, Paryżu czy Brukseli. Zresztą tamtejszym elitom jest bardzo na rękę koncentrowanie uwagi opinii publicznej na rzekomych naruszeniach demokracji na Węgrzech czy niedemokratycznym charakterze wyborów prezydenckich w Polsce, które się jeszcze nie odbyły, niźli na błędach, lekceważeniu zagrożenia, nieudolności i arogancji własnych rządów.

Antonella Mei-Pochtler doradczyni kanclerza Austrii Sebastiana Kurza, powiedziała dziennikowi „Financial Times", że małe państwa naszego regionu wykazały na początku pandemii więcej pokory, determinacji w zdobywaniu niezbędnych informacji i gotowości korzystania z doświadczeń sprawdzonych w innych regionach świata niźli przekonani o swej nieomylności „rozgrywający" na europejskiej szachownicy. „Małe państwa uczą się szybko od siebie – mówi Mei-Pochtler – jesteśmy znacznie bardziej otwarci", a dodatkowo najczęściej, jak dodaje, „pozbawieni arogancji wielkich". Ponadto społeczeństwa w małych państwach mają zazwyczaj większe zaufanie do działań rządu, który nie wydaje im się tak odległy.

W przypadku Austrii, która przecież graniczy z północnymi Włochami, tak mocno dotkniętymi przez pandemię, o szybkości reakcji zadecydowało działanie stworzonego przez nią zespołu. Mei-Pochtler, nie jest urzędnikiem państwowym, a współpracę z austriackim rządem, zaproszona przez premiera Kurza, rozpoczęła, przechodząc z biznesu konsultingowego. Jej zadaniem jeszcze przed wybuchem pandemii było budowanie alternatywnych propozycji wobec ministerialnych pomysłów. Będąc czymś w rodzaju alter ego szefów resortów, budowała, korzystając zresztą

eprasa.pl 2c36a7c6d2

z odmiennych niźli rządowe źródeł informacji i kanałów ich pozyskiwania, alternatywne scenariusze. Ta umiejętność niezwykle przydała się po wybuchu pandemii. Nie czekając na oficjalne komunikaty, ona i jej współpracownicy, wykorzystując biznesowe relacje, na samym początku epidemii zorganizowali serię telekonferencji z lekarzami z północnowłoskich szpitali. To dało im niezbędną wiedzę, jak walka z epidemią wygląda w Lombardii. Ale informacje zbierano nie tylko tam. Członkowie jej niewielkiego zespołu dzwonili po całym świecie, przeszukiwali sieci społecznościowe i ściągali zewsząd potrzebne materiały. Jak mówi, pomogła im pokora, świadomość, że jeśli się czegoś nie wie, to trzeba sporo wysiłku, aby się nauczyć. Taka postawa, jak zauważa, często jest nieobecna w wielkich państwach, których urzędnicy przyzwyczajeni są do tego, że wiedzą lepiej, a ich kanały pozyskiwania informacji są niezawodne.

SZANSA NA SUKCES

Nasza część Europy jak na razie lepiej poradziła sobie z COVID-19, wcześniej będzie w stanie znieść gospodarcze ograniczenia i lepiej, najprawdopodobniej, przetrwa czas kryzysu gospodarczego. Położenie geograficzne Europy Środkowej i Wschodniej, przez wieki będące przekleństwem, teraz może się stać atutem. Po prostu z tego względu, że bez udziału państw regionu nie jest możliwa komunikacja, a co za tym idzie – współpraca gospodarcza „starej" Unii z Chinami. To oczywiście będzie miało znaczenie, jeśli świat wróci do starych kolein globalizacji i międzynarodowej współpracy. Gdy wydarzenia potoczą się w stronę wieszczonego przez wielu scenariusza zaostrzenia rywalizacji między, umownie rzecz biorąc, „blokiem atlantyckim" a „blokiem chińskim", to – będąc w stanie przesądzić regionalny układ sił – winniśmy się stać przedmiotem wzrostu zainteresowania głównych graczy. A za tym tak czy owak muszą pójść inwestycje, bo sojuszy nie buduje się w oparciu o piękne słowa i deklaracje o podzielanych wartościach. Ale pamięć o tym, jak mieliśmy uczestniczyć w odbudowie Iraku, powinna znakomicie studzić przedwczesne deklaracje na ten temat naszych władz.

Paradoksalnie nadchodzi czas Europy Wschodniej, również w wymiarze gospodarczym i szybkiego gonienia poziomu życia umownego Zachodu. Całe pokolenie do tej pory musiało się godzić na bycie w Europie obywatelami „drugiej kategorii", dla której zarezerwowane są posady gorzej płatne, tymczasowe albo takie, których nie chcą obejmować Francuzi czy Holendrzy. Teraz jest szansa, aby przezwyciężyć wieloletnie zaniedbania. Poczucie sukcesu w walce z pandemią pozwoli z jednej strony zerwać z mentalnością kolonialną i ślepym naśladownictwem wzorców z Zachodu. Teraz trudniej będzie przekonać ludzi w Bratysławie, Lublanie czy Warszawie, że „ex Occidente lex" i że rozwiązania sprawdzone we Francji czy Włoszech warto aplikować u siebie, nie pytając o to, jak sprawdziły się one w krajach macierzystych.

Dyskusja na temat przyszłego statusu europejskich rajów podatkowych, takich jak Holandia, Irlandia czy Luksemburg, zainicjowana przez polskiego premiera, a podchwycona ostatnio przez rząd Danii będzie musiała znaleźć swój finał w postaci przyjęcia rozwiązań wychodzących naprzeciw oczekiwaniom państw, które były do tej pory ofiarami nie do końca uczciwej konkurencji podatkowej.

W Unii Europejskiej, wraz ze zmianami potencjałów gospodarczych jej członków, będzie musiała się przewartościować też pozycja niektórych państw. Trudno oczekiwać, aby Włochy, których dochód na głowę mieszkańca, licząc według parytetu siły nabywczej, miał według obliczeń Międzynarodowego Funduszu Walutowego jeszcze sprzed czasów pandemii spaść w 2022 r. poniżej dochodu w Czechach czy Słowenii, a za kolejnych kilka lat zrównać się ze słowackim i polskim, utrzymały w dłuższej perspektywie swoją pozycję. Co z tego, że wchodzą w skład grupy G-20, kiedy lata rozrzutnej i lekkomyślnej polityki kolejnych rządów doprowadziły do sytuacji, że aby przetrwać, Italia będzie się musiała najprawdopodobniej zgodzić na międzynarodowy program pomocowy i obniżenie poziomu życia. Inni członkowie G-20, tacy jak Argentyna czy RPA, stoją dziś wręcz w obliczu ogłoszenia niewypłacalności.

Jest tylko kwestią czasu, kiedy pracowitość, przedsiębiorczość, szacunek dla tradycyjnych wartości oraz odzyskana pewność siebie elit krajów regionu doprowadzą do tego, że z większą energią będą zabiegały o należne im miejsce. A to dotyczy również Polski.

Drogiej Koleżance

Marzenie Grabowicz

oraz całej Jej Rodzinie

najszczersze kondolencje,

wyrazy żalu i współczucia

z powodu śmierci

MĘŻA

składają koleżanki i koledzy z Apelli i Fratrii

Przekazujemy Wam słowa wsparcia
i zapewniamy o naszej pamięci w trudnych chwilach

6/0520/F

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Z tą kampanią wyborczą jest jak z przygotowaniami do startu w igrzyskach olimpijskich. Każdy sztab szykował szczyt formy swojego kandydata na maj, ale koronawirus zarządził dwumiesięczną dogrywkę. Dla kogo to dar z nieba, a dla kogo spore ryzyko?

Fot. Andrzej Wiktor

Kampania+

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Kampania miała być błyskawiczna i potrwać zaledwie 95 dni. 5 lutego marszałek Sejmu Elżbieta Witek ogłosiła, że wybory prezydenckie odbędą się 10 maja. Ta informacja pojawiła się w czasie, gdy Andrzej Duda leciał do Świdnika, by odwiedzić zakłady lotnicze. Później miał zaplanowane spotkanie z mieszkańcami Lubartowa. Jego współpracownicy się zastanawiali, czy szef dzisiaj oficjalnie potwierdzi swój start. Ostatecznie to pytanie padło od ludzi zgromadzonych w hali sportowej. „Tak, proszę państwa, oczywiście będę kandydował w wyborach prezydenckich. [...] I będę państwa prosił o głosy z pełną pokorą" – mówił, wzbudzając niemały aplauz.

Wydawało się wówczas oczywiste, że droga po reelekcję wyglądać będzie właśnie tak – Duda znów ruszy w Polskę. Jak w szczęśliwej kampanii 2015 r., gdy dudabusem wyjeździł sobie zwycięstwo. I jeszcze jedno dobre skojarzenie, wtedy pierwsza tura wyborów też odbyła się 10 maja.

KAMPANIA W STRZĘPACH

Na cztery dni przed planowanym finałem batalii prezydenckiej Jarosław Gowin i Jarosław Kaczyński publikują wspólne oświadczenie. „Po upływie terminu 10 maja 2020 r. oraz przewidywanym stwierdzeniu przez Sąd Najwyższy nieważności wyborów, wobec ich nieodbycia, Marszałek Sejmu RP ogłosi nowe wybory prezydenckie w pierwszym możliwym terminie" – czytamy w dokumencie upublicznionym tuż po debacie w TVP. Andrzej Duda, jadąc na nią, był po spotkaniu z premierem Mateuszem Morawieckim, który poinformował go o umowie liderów PiS i Porozumienia. Ostatecznego kształtu porozumienia prezydent jednak nie znał, bo jeszcze go nie było. „W trakcie debaty cały czas toczyły się negocjacje. Wyrażam bardzo dużą satysfakcję, że zostało ono osiągnięte" – komentował dzień później.

A więc wybory nie odbędą się w maju, co automatycznie zmienia scenariusz i tak pokiereszowanej kampanii wy-

eprasa.pl 2c36a7c6d2

borczej. Nie pierwszy zresztą raz. Po raz ostatni prezydent był na otwartym spotkaniu z Polakami 7 marca w Nysie. Dzień później na ulicach Warszawy rozdawał jeszcze kobietom kwiaty z okazji ich święta, ale już 9 maja na wiec do Radomska nie pojechał. „Zdecydowałem, że ze względu na bezpieczeństwo obywateli nie będę organizował dużych spotkań związanych z kampanią prezydencką. Ryzyko rozprzestrzeniania się koronawirusa jest zbyt duże" – napisał na Twitterze. To samo zrobili także inni kandydaci, ale najbardziej z tego powodu rozpaczała Małgorzata Kidawa-Błońska. Mimo że jej spotkania ani energią, ani liczebnością wizytom prezydenckim nie dorównywały.

Spotkania wyborcze Andrzeja Dudy to setki osób i uściśniętych rąk. Zawsze było też tak, że ktoś zostaje na zewnątrz, bo dbający o bezpieczeństwo wszystkich wpuścić nie mogą. Kandydat Zjednoczonej Prawicy ani jego sztab jeszcze wtedy nie wiedzieli, jak będzie wyglądał ciąg dalszy tego marszu do Pałacu Prezydenckiego, tym bardziej że rozwijająca się zaraza nakazywała zadawać pytania o możliwość przeprowadzenia nie tylko kampanii, lecz i samych wyborów. Epidemia przykryła wszystkie kwestie, z których opozycja i sprzyjające jej media próbowały zrobić punkty zwrotne wyborczego wyścigu, jak choćby „palec Lichockiej" rzekomo pokazany chorym na raka. Zupełnie nieistotna okazała się też konsekwentnie budowana na pomyśle marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego fałszywa alternatywa, że Duda, podpisując ustawę o rekompensacie abonamentowej, dał prawie 2 mld zł na media publiczne zamiast na onkologię. W szumie informacyjnym niestety utonęły też rzeczy realnie ważne, jak powstanie Funduszu Medycznego (w wysokości 3 mld zł), który docelowo ma wspomóc właśnie onkologię i leczenie chorób rzadkich u dzieci.

PAŃSTWO NA SERIO

Gdy koronawirus już na poważnie zawładnął naszą wyobraźnią, a Polacy w panice ruszyli do sklepów, by wykupywać żywność i środki higieny osobistej, opozycja wyczuła w tym dla siebie szansę. Ogłoszono, że Duda „lansuje się na epidemii", choć wtedy na pierwszy plan jego agendy wysunęły się obowiązki głowy państwa. „Gdyby prezydent tego nie robił, byłby zapewne krytykowany, że się schował i w dobie kryzysu zdrowotnego go nie ma" – mówił Błażej Spychalski, rzecznik prasowy i minister w kancelarii prezydenta, odpierając ataki niektórych mediów, choćby za wizytę na granicy w Kołbaskowie albo w zakładach Orlenu w Jedliczach, gdzie produkowany jest płyn dezynfekujący.

W totalny amok „Gazeta Wyborcza" i TVN wpadły po wizycie Andrzeja Dudy w stacji pogotowia ratunkowego w Garwolinie. „Bardzo dobrze, że prezydent interesuje się również tym, co dzieje się poza wielkimi miastami, w placówkach takich jak nasza" – mówił Krzysztof Żochowski, dyrektor SPZOZ w Garwolinie. Wraz z ratownikami opowiedzieli głowie państwa o dobrej akcji informacyjnej rządu na temat koronawirusa, ale także o „brakach w kwestii środków ochrony osobistej". Burzę rozpętała posłanka KO Iwona Hartwich, pisząc o Dudzie, który „rzekomo spotkał się z ratownikami" i że „za ratownika przebrał się dyrektor szpitala, radny PiS". Wystarczyło to do zmasowanego ataku w „Wyborczej", choć Żochowski nie „przebrał się", a od lat jest ratownikiem. Ten fake news w mediach niechętnych obozowi rządzącemu żył przez kilka dni, co w dzisiejszych realiach jest imponującym wynikiem.

Teraz drobne zdarzenia, które tak rozdymano, przestają mieć znaczenie. Kampania w zasadzie zaczyna się na nowo. Nadciągający kryzys gospodarczy może przesuwać sympatię wyborców w kierunku kandydatów opozycji. Dla nich więc jakiekolwiek odsunięcie wyborów to zysk, dla Andrzeja Dudy – oczywista strata.

REANIMACJA MARSZAŁEK?

Pierwsze reakcje opozycji (i tej politycznej, i medialnej) na decyzję o przesunięciu wyborów na przełom czerwca i lipca były kuriozalne. Nagle się okazało, że chce ona rozliczać obóz władzy za niezorganizowanie wyborów w terminie – udając, że sama nie domagała się ich przełożenia. Że mając większość w Senacie, do maksimum wykorzystała proceduralne możliwości obstrukcji, byle tylko uniemożliwić przeprowadzenie głosowania w konstytucyjnym terminie, i straszyła Polaków śmiertelnym niebezpieczeństwem, jakie rzekomo miałoby im grozić niezależnie od formuły elekcji.

Robert Biedroń rozpędził się tak bardzo, że postulował nawet powołanie komisji śledczej, która miałaby zbadać, dlaczego nie doszło do wyborów. Tyle że głównymi świadkami przed takim ciałem musieliby być jego towarzysze z opozycyjnych ław.

Po pierwszym szoku, że Zjednoczonej Prawicy jednak udało się wyjść z pułapki oponentów i wybory w perspektywie kilku tygodni są jednak nieuniknione, może jednak przyjdzie otrzeźwienie i kandydaci na poważnie zabiorą się do walki o urząd prezydencki.

Wydaje się, że najwięcej może na tym zyskać Małgorzata Kidawa-Błońska. Dla jej sztabu to szansa reanimacji tej kandydatury. Przynajmniej do poziomu, którego nie będzie musiała się wstydzić. Co prawda ciężko wskazać sposób na skuteczne przeprowadzenie tej operacji, bo skala jej autokompromitacji – czy to poprzez pustosłowie, czy lapsusy językowe, czy wreszcie wielokrotnie ujawnianą niekompetencję – pobiła sporo rekordów. Ale jest i budująca wiadomość – do dogrywki wicemarszałek startuje z tak niskiego pułapu, że teraz może być już tylko lepiej. Na dobry początek mogłaby zacząć od stanowczej deklaracji, czy w ogóle w tych wyborach kandyduje. Kandydatka KO unika jednoznacznej odpowiedzi. Obiecują to za nią rzecznik sztabu Dariusz Joński oraz szef Platformy Borys Budka.

Być może Kidawa-Błońska liczyła na to, że nie będzie już musiała dłużej udawać, iż dobrze się czuje w tej kampanii. Każdy jej występ publiczny jest przecież drogą przez mękę, niezależnie, czy ma przed sobą prompter, czy zapodzianą w kieszeni kartkę z cytatem z „pana Korfantego", a nerwy okazywane przy trudniejszych pytaniach zjadają ją coraz bardziej.

CELEBRYTA NA FALI

O tym, że elementy normalnej kampanii mogą zostać zachowane nawet w czasie epidemii, przekonaliśmy się w ubiegłym tygodniu w czasie debaty prezydenckiej w TVP. Okazało się, że da się zorganizo-

eprasa.pl 2c36a7c6d2

wać spotkanie wszystkich kandydatów, w czasie którego rozmawiają oni nie tylko o koronawirusie i kryzysie gospodarczym, lecz także polityce społecznej, międzynarodowej czy podatkach.

Andrzej Duda jako jedyny mógł na tej debacie stracić. Ryzykował trudne starcie z dziewięcioma kandydatami, z których niemal każdy (może z wyjątkiem Marka Jakubiaka) szykował się na wbijanie szpil. I tak też się stało. Prezydent dużo zyskał już tym, że w debacie na tym etapie uczestniczył – inaczej niż urzędujący prezydenci walczący o reelekcję – Bronisław Komorowski w 2015 r. czy Aleksander Kwaśniewski w 2000 r.

Powtarzane przez kilka tygodni zaklęcia, iż prowadzenie kampanii jest niemożliwe, a Polaków nie interesuje nic innego poza ich zdrowiem i ekonomiczną przyszłością, zupełnie się rozsypały.

Najciekawiej zapowiada się przestawienie kampanii Szymona Hołowni na dogrywkowe tory. Były gwiazdor TVN to od początku do końca produkt PR-owy. Jedyny taki w całej stawce. O ile pozostali są politykami, których można próbować nauczyć lepszego prezentowania się, mowy ciała, radzenia sobie w publicznych starciach z argumentami rywali, o tyle on jest ukształtowany w odwrotnym kierunku: zrobienia z celebryty polityka. Cała jego kandydatura oparta jest na kosztownych badaniach fokusowych, które wskazały, jaki powinien być kandydat, by osiągnąć sukces – co mówić, jak mówić, które poglądy eksponować, a które powinny ewoluować, by nie zrazić zbyt wielu wyborców. Kreacja posunięta została do takiego poziomu, że Hołowni udało się nawet rozpłakać przed kamerą w trosce o polską konstytucję. Można z tego drwić, można mu zarzucać nieautentyczność, ale nie można mu odmówić skuteczności. Jego sztab perfekcyjnie zaplanował kampanię, dociął ją co do milimetra, by najwyższe notowania osiągnąć w ostatnim tygodniu przed wyborami. Dzięki temu dziś Hołownia jest numerem dwa w stawce.

Ale czy utrzyma tę pozycję? Czy pozostaną przy nim wyborcy Kidawy-Błońskiej, jeśli w tę wstąpią nowe (aż chciałoby się dodać: nadludzkie) siły i zacznie odbudowywać swoją pozycję? To dziś niewiadoma. Jednak pamiętać trzeba, że

Fot. Jakub Szymczuk/KPRP

„projekt Hołownia" obliczony jest na coś więcej niż wybory prezydenckie. Teraz dostaje zatem szansę na dalszą budowę struktur (zwanych tu biurami regionalnymi), najpewniej pod nową formację polityczną.

OBSESJA KOSINIAKA-KAMYSZA

Nie mniej wątpliwości dotyczy Władysława Kosiniaka-Kamysza, który w ostatnich dniach musiał oddać Hołowni pałeczkę lidera grupy ścigającej Dudę. Sam prezes PSL dzięki tytanicznej pracy i sojuszowi z Pawłem Kukizem mógł zerwać z dotychczasowym wizerunkiem swoim i całej formacji ludowców. Gdy pozostawił w tyle Kidawę-Błońską, jego otoczenie zacierało ręce na myśl o tym, że teraz czeka go już tylko nadgryzanie prezydenta Dudy i liczenie na wejście do drugiej tury, w której przecież wszystko może się zdarzyć. Dowiodła też tego debata, w której Kosiniak-Kamysz aż nadto odwoływał się do głowy państwa, sprawiając wrażenie niemal obsesyjnej potrzeby odróżniania się od najgroźniejszego rywala.

Dodatkowe kilka tygodni to również szansa dla Krzysztofa Bosaka, który nieźle wykorzystuje okazje do prezentowania swoich poglądów i jest przygotowany do toczenia publicznych bojów z każdym oponentem. To wciąż polityk przyszłości, który wie, że zbudowanie wizerunku lidera jest długofalowym procesem, w którym nie można się obrażać ani na niskie notowania, ani na szyderstwa z emploi młodego chłopaka.

Najtrudniej przewidzieć, czy jakikolwiek plan ma Lewica. Jej kandydat, pretendujący do funkcji zwierzchnika Sił Zbrojnych, jest tak daleko od rzeczywistości, że – jak pokazała debata – nawet nie wie, kto jest aktualnie ministrem obrony.

Należy pamiętać, że porozumienie Kaczyńskiego z Gowinem funduje nam zupełnie nowe wybory, wiadomo, że będą korespondencyjne, ale dopiero uzgodniona nowelizacja da nam odpowiedź na pytania o zasady dodatkowe. Nieoficjalnie mówi się o wpisaniu do ustawy tzw. praw nabytych, czyli kandydaci, którzy zebrali 100 tys. podpisów, nie będą musieli robić tego ponownie. To kluczowe dla tych „mniejszych". Ale jeśli mowa o nowych wyborach, to będzie też możliwość zgłoszenia nowych kandydatów, co uchyla jednak furtkę Koalicji Obywatelskiej do podmiany Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na kogoś innego. Wtedy pani marszałek musiałaby się wycofać, ale nowy kandydat pewnie nie miałby problemu z zebraniem wymaganej liczby podpisów nawet mimo epidemii. Karkołomna konstrukcja, ale do wykonania. Czy koalicja rządząca ma tego świadomość? Czy upojona świeżo odnowioną jednością już widzi Andrzeja Dudę ponownie w pałacu?

Przesunięcie wyborów, nawet najdrobniejsze, to w istocie podanie opozycji tlenu, doliczenie ekstraminut do meczu, który przegrywają. Można powalczyć, a można ten czas zmarnować na narzekanie.

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Przyjaciele wrogowie

Po wyborach 10 maja, których nie było, choć były, walka między opozycyjnymi kandydatami tylko się zaostrzy

STANISŁAW JANECKI

Kiedyś była dziwna wojna (na życzenie), teraz są dziwne wybory. Ale wybory są dziwne nie tylko z powodu czyjejś złej woli, lecz przede wszystkim wskutek pandemii. I wskutek obstrukcji opozycji w Senacie. Formalnie wybory odbyły się 10 maja, tyle że ich nie było. Ale nie każdy mógł iść głosować, gdyż nie było gdzie tego zrobić. 6 maja 2020 r. wieczorem w TVP odbyła się nawet debata dziesięciu kandydatów na prezydenta. Problemem jest to, że w trakcie debaty zapadła polityczna decyzja, by odbyły się nowe wybory, co teraz Sejm musi rozpisać na szczegóły, skoro te 10 maja były, ale ich nie było. To wszystko może dziwnie brzmieć, ale jest faktem. Tak jak faktem jest to, że wciąż w grze są dotychczasowi kandydaci, mimo że jest już po wyborach. Ale też jesteśmy przed nowymi wyborami i znanym już kandydatom mogą przybyć konkurenci. Istnieje też możliwość dokonania podmiany, choć na razie otwarcie się o tym nie mówi. Dlatego w najbliższych tygodniach nadal aktualne i interesujące będą relacje między Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, Szymonem Hołownią, Robertem Biedroniem i Krzysztofem Bosakiem. Małgorzata Kidawa-Błońska jest tu bytem odrębnym, ale o tym później.

NIEISTNIEJĄCA KIDAWA-BŁOŃSKA

Kosiniak-Kamysz, Hołownia i Biedroń formalnie są kolegami, a Bosak jest samotną wyspą. Kandydaci na prezydenta Koalicji Polskiej, Lewicy i „obywatelski" wolą reprezentanta Konfederacji nie dostrzegać, gdyż wobec niego nie mogą używać tego paternalistycznego tonu, jakim się raczą we własnym gronie. Relacje trzech wciąż aktualnych opozycyjnych kandydatów są grzeczne na powierzchni, ale już trochę głębiej utopiliby się w łyżce wody.

Hołownia jest ideowym i establishmentowym rywalem Kosiniaka-Kamysza, a poza tym obaj chcieliby tworzyć jakąś partię centrum, a dla dwóch takich formacji nie ma miejsca. Biedroń także jest establishmentowym i ideowym rywalem Hołowni, ale ideowym mniej, mimo że deklaratywnie więcej ich dzieli. A to dlatego, że nowy projekt Hołowni byłby w dużym stopniu tym, czym była Wiosna, kiedy startowała. W relacjach z Hołownią Kosiniak-Kamysz występuje jako ten mądrzejszy brat (choć młodszy). Mądrzejszy, bardziej doświadczony i prawdziwy, bo bez wielu lat bycia celebrytą. Dla Biedronia Kosiniak-Kamysz jest dziewicą udającą, że nie miała romansu z lewicą, ale w gruncie rzeczy

eprasa.pl 2c36a7c6d2

potencjalnym sojusznikiem w koalicyjnych układankach. Dla prezesa PSL lider Wiosny jest chwilowo nietykalny, bo nie pasuje do jego planu budowania chadecji i przypomina o dawnych sojuszach z lewicą. Już 5 lipca 2019 r. Biedroń zaczepiał „przyjaciela": „Dziwię się, że dziś Władysław Kosiniak-Kamysz tak boi się Wiosny. Był przecież w koalicji z SLD, był ostatnio w koalicji z Barbarą Nowacką. Władku, nie lękaj się!".

Dla Hołowni, Kosiniaka-Kamysza i Biedronia najlepiej, żeby Bosak był niewidzialny, gdyż wchodzenie z nim w jakiekolwiek interakcje uznali za korzystne dla niego, ale nie dla nich. Kidawę-Błońską już kilka tygodni przed 10 maja jej rywale zgodnie zaczęli uważać za kogoś, kto nie istnieje. A z kimś nieistniejącym nie trzeba prowadzić żadnego dialogu, nie trzeba się do niego odnosić. Teraz za nieistniejącą mogą uznać Kidawę-Błońską także jej polityczny promotorzy, bo nadarza się okazja w związku z nowymi wyborami.

Ignorowanie Kidawy-Błońskiej i jej decyzji o bojkocie wyborów (niejasnej dla niej samej) doprowadzało do szewskiej pasji nie tylko najbliższe zaplecze kandydatki Koalicji Obywatelskiej, ale też partyjnych ideologów. Dlatego publicysta „Newsweeka" Cezary Michalski dostał szału: „Władysław Kosiniak-Kamysz i Robert Biedroń dezerterują na całej linii, zgadzając się brać udział (w takim wymiarze, w jakim pozwala im na to Kaczyński, czyli prawie w żadnym) w PiS-owskiej farsie pocztowej. A Platforma Obywatelska i Małgorzata Kidawa-Błońska walczą naprawdę, decydując się na jej bojkot". „Farsy pocztowej" nie będzie, ale problemy pozostaną. Gdyby więc kandydatki PO nie wymieniono po 10 maja 2020 r., nadal mogłoby chodzić „wyłącznie o to, aby także Platformę Obywatelską i także Małgorzatę Kidawę-Błońską unurzać w PiS-owskim błotku, w którym z taką swobodą taplają się Władysław Kosiniak-Kamysz i Robert Biedroń". Front opozycyjnej zdrady jest zresztą szerszy, bo obejmuje także Włodzimierza Czarzastego i Adriana Zandberga. Takie demonstracje gniewu nie poprawiły pozycji Kidawy-Błońskiej: jeśli raz można ją było uznać za nieistniejącą, nie ma żadnego powodu, żeby ją wskrzesić i zwrócić jej to poparcie, które już przejęli konkurenci, zwłaszcza Hołownia. Jeszcze przed 10 maja Kosiniak-Kamysz, Hołownia i Biedroń przestali się odnosić do Kidawy-Błońskiej, a Bosak uznał to za stratę czasu i osłabianie pozycji w hierarchii.

AKTYWISTA KONTRA MESJASZ

Przed 10 maja 2020 r. najbardziej iskrzyło w relacjach kandydata Lewicy i Hołowni. Kandydat „obywatelski" obraził się na porównywanie go „przez [Tomasza, szefa sztabu Biedronia] Trelę czy [Krzysztofa] Gawkowskiego do Stanisława Tymińskiego [kandydata w wyborach prezydenckich w 1990 i 2005 r.]". Policzkiem było też to, „co zrobili na Facebooku, czyli wzięcie naszej kampanijnej identyfikacji graficznej, wzięcie moich starych cytatów antyaborcyjnych i wykupienie reklamy w mediach społecznościowych, by wyświetlała się jako moja" (mówił Hołownia 6 maja 2020 r. w Polsat News). Hołownia najlepiej się czuje jako ofiara wszystkich: „Będę bity z prawej i lewej strony, bo pojawiła się nowa jakość i energia". Wtedy może mówić o swojej niezależności i politycznej samodzielności. Takie stanowisko wykpił Biedroń (5 maja w Onet Rano): „W każdych wyborach pojawia się jakiś mesjasz. Sam to przeżywałem, ale ważne jest, co ze sobą niesiesz". A Hołownia ma nieść sztuczność i udawanie: „Mogłeś się przyglądać przez 20 lat polskiej polityce i nic nie robić, będąc celebrytą, dostając niezłe wynagrodzenie, a mogłeś np. walczyć przeciwko eksmisjom, chodzić na marsze równości i walczyć o prawa kobiet".

Biedroń zarzucił Hołowni, że wybrał „ciepełko, w którym sobie opowiada jakieś ładne bon moty, robi sobie czaty i tak naprawdę nie załatwia żadnej sprawy, bo boi się, że jak zadeklaruje poparcie w jakiejś sprawie, to straci poparcie polityczne. Nie po to jest się w polityce". Jeszcze ostrzej Hołownię potraktowała pisarka Manuela Gretkowska, w poglądach bliska Biedroniowi: „Sztab Hołowni zastanawiał się, co podbije słupki oglądalności. (...) Popłacz se Szymon nad Konstytucją, tego nie było. Najpierw podamy, ile ludzie dali na twoją kampanię, potem się wzruszysz. Kasa i łzy. To działa, emocje, jak w TVN-owskim show. Płakał

Fot. Andrzej Wiktor x3

eprasa.pl 2c36a7c6d2

idealnie, co do mililitra. Dwoma palcami, nie jednym, przetarł oczy dla wiarygodności. Przeszarżował tylko chwaleniem się codziennym czytaniem Konstytucji. Codziennie czytał Katechizm. Ale jedno i drugie na K". Biedroń wyzwał nawet Hołownię na pojedynek: „Słyszałem, że chcesz się spotkać na wspólnym live. Spotkajmy się zatem. Jestem gotów do tego, by rozmawiać o Polsce, o prezydenturze, o Polsce równych szans dla wszystkich". Odpowiedzi nie było. Hołowni swoje postanowił też dołożyć Bosak, który 4 maja 2020 r. napisał: „Kandydat na prezydenta powinien być człowiekiem stabilnym emocjonalnie. Jeśli ktoś codziennych komentarzy udziela w stanie silnego wzburzenia, a refleksja nad obecną, niezbyt doskonałą Konstytucją, doprowadza go do płaczu, to jest to poważny sygnał, że nie nadaje się do polityki".

CORAZ WIĘCEJ PRZEBIERAŃCÓW

Już 4 lutego 2019 r. Hołownia, jeszcze jako celebryta z TVN i świecki rekolekcjonista, atakował lidera Wiosny: „A więc to nie Robert Biedroń jest liderem, na którego czekałem. (...) Owszem, połączy najbardziej niecierpliwie wyczekującą zmiany część lewej strony przekonaniowej mapy, ale to nie jest ktoś mający pomysł na to, jak na nowo polepić rozjeżdżającą się Polskę. (...) Nie wiem, czy Robert będzie premierem, wiem, że na pewno nie będzie prezydentem. (...) Narodził nam się kolejny skrzydłowy, ale nie kapitan. Gdzie jest kapitan? Jeszcze go nie ma". Po roku kapitan się narodził, czyli sam Hołownia. I wtedy został zaatakowany przez Biedronia, czego Hołownia nie mógł puścić płazem (2 marca 2020 r.), szczególnie że represje były straszne: „Smutna wiadomość tej kampanii. Przemek Staroń, mój doradca ds. edukacji, został wyrzucony ze znajomych przez Roberta Biedronia i Krzysztofa Śmiszka oraz zaatakowany ad personam przez drugiego z nich. Po zapytaniu przez Piotra Kuczyńskiego [doradcę ekonomicznego] Robert Biedroń zablokował go na Twitterze".

Utarczki między „przyjaciółmi" wyglądały jak psucie sobie babek w piaskownicy przez kilkulatków, ale wynika to z generalnej strategii, by spory między Hołownią, Kosiniakiem-Kamyszem i Biedroniem mitygować. Dlatego 3 maja 2020 r. Biedroń mówił: „Dzisiaj, na tej ostatniej prostej, kiedy poróżniła nas chęć udziału lub nieudziału w tych wyborach, nie dajmy się podzielić". W praktyce to się nie udało, bo już 5 maja Biedroń pytał prowokująco: „Czy Kosiniak-Kamysz zgodziłby się na referendum ws. swojego małżeństwa? Nie. Jako prezydent Słupska udzieliłem wielu ślubów i wiem, że to ważne dla zakochanych. Państwo nie może reglamentować miłości". A jeszcze w marcu 2020 r. było sielankowo: „Jestem po rozmowie z Kosiniakiem-Kamyszem. Dziękuję za nią!". Prezes PSL odpowiedział w podobnym duchu: „Dzięki Robert Biedroń za dobrą rozmowę".

> Kidawę-Błońską już kilka tygodni przed 10 maja jej opozycyjni rywale zgodnie zaczęli uważać za kogoś, kto nie istnieje. A z kimś nieistniejącym nie trzeba prowadzić żadnego dialogu

Rozmowy rozmowami, a rywalizować trzeba, szczególnie gdy wchodzi się na teren uznany za zdobyty. Dlatego już 12 lutego 2020 r. Kosiniak-Kamysz (w radiu RMF FM) kwestionował autentyczność Hołowni: „Przypomina Ryszarda Petru, który też był skrojony na określone potrzeby wyborcze. Szymon Hołownia to produkt marketingu politycznego. Coraz więcej przebierańców, coraz trudniej o oryginał". Hołownia uderzył mocniej (1 kwietnia 2020 r.): „Chciałem Cię prosić (...), żebyś powiedział, kto finansuje Twoją kampanię? 8,3 mln zł z budżetu państwa, naszych podatków na PSL, a my robimy obywatelski ruch i prowadzimy obywatelską zbiórkę. Mi partia nie da. Więc, proszę, nie opowiadaj mi tutaj o szlachetności. Bo my tutaj przez zrzutki obywatelskie robimy autentycznie obywatelski ruch. Nie partyjny. Nie wywodzący się z tej całej zepsutej klasy politycznej". Kosiniak-Kamysz odpowiedział, ale zszedł z linii ciosu: „Szymon, być może ktoś w ramach żartu primaaprilisowego coś Ci linkował, ale to nie byłem ja. Mój apel dotyczył wpłat na mój komitet, nie Twój. Każdy niech robi, jak uważa, najlepiej bez zbędnych złośliwości. Serdecznie Cię pozdrawiam".

NOWY RYWAL?

Po tym, jak 10 maja 2020 r. odbyły się wybory, których nie było, Władysław Kosiniak-Kamysz, Szymon Hołownia, Robert Biedroń i Krzysztof Bosak zorientowali się, że przyjaźń trzech pierwszych będzie jeszcze bardziej szorstka niż wcześniej, oddzielność kandydata Konfederacji zaś jeszcze większa. Tym bardziej że nowe wybory dają nadzieję na wyrównanie stawki, skoro siły rywali są rozpoznane, a różnice między nimi niewielkie. Są skazani na walkę między sobą, gdyż chodzi nie tylko o wybory, lecz również o podział sceny politycznej po wyborach prezydenckich. I tu Koalicja Obywatelska, Koalicja Polska, Lewica oraz Konfederacja muszą się rozpychać i ogrywać, także przy pomocy swoich kandydatów na prezydenta. Wprawdzie mocno obita lewica oraz mająca mocne poczucie ograniа, a z nią mający przed 10 maja marne notowania Robert Biedroń, 7 maja rozpaczliwie apelowali do opozycji, aby coś zrobiła, żeby wspólnymi siłami przeciwstawić się Zjednoczonej Prawicy i jej kandydatowi, lecz obecnie żadna opozycyjna siła nie ma interesu w organizowaniu wielkiej koalicji. Nie ma więc także mowy o wycofaniu któregoś z kandydatów przed nowymi wyborami.

To może zrobić jedynie Koalicja Obywatelska i wtedy pojawiłby się rywal, którego nie można by uznać za nieistniejącego. A to jeszcze bardziej skomplikowałoby relacje między opozycyjnymi kandydatami i zaostrzyło walkę między nimi, bo do podziału tortu włączyłaby się jeszcze jedna osoba.

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Duda przetrwał nawałnicę

A prócz tego agresywny Kosiniak, Hołownia słabiej, niż potrafi, Kidawa tragicznie, przygotowany Bosak, lewicowy Biedroń, świeży Jakubiak

MICHAŁ KARNOWSKI

Za co kochamy debaty prezydenckie? Dlaczego są tak ważne? Amerykańscy eksperci wskazują na nieprzewidywalność widowiska, wymuszaną przez formę drapieżność kandydatów i prawdę, którą niosą te spektakle o kandydatach na chwilę pozostawionych na scenie bez doradców. Alan Schroeder, autor bardzo dogłębnej książki na ten temat pt. „Debaty prezydenckie", stwierdza: „Budują one bardzo osobistą relację pomiędzy kandydatami a wyborcami, a mówiąc inaczej, pomiędzy gwiazdami tych spektakli a publicznością. Debaty są bardzo ludzkimi dramatami: oczywistym dramatem pomiędzy uczestnikami, ale także dużo bardziej subtelnym i skomplikowanym dramatem rozwijającym się między konkurentami i obywatelami wydającymi werdykt". Zdaniem autora wielka oglądalność plus emocje i wysoka stawka pozwalają widzom odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: kto nadaje się na prezydenta, kto ma odpowiedni do tego format. I jak podkreśla, „nie jest to pytanie techniczne, ale sprawa głębokich emocji". Innymi słowy – wnioskuje Schroeder – tym się debaty różnią od przemówień i wieców, że są walką, wojną, czymś dużo bardziej autentycznym. I dlatego ludzie uważają je za ważne, uznają ich wyniki za istotne.

Debata zorganizowana przez Telewizję Polską potwierdziła tę prawdę. Bo dziwny to czas, nietypowa kampania, duża niepewność nawet co do terminu głosownia – a jednak dla osób zainteresowanych polityką było to ciekawe i ważne widowisko. Duże uznanie należy się prowadzącemu spotkanie redaktorowi Michałowi Adamczykowi. Był zdecydowany, przezroczysty, precyzyjny – taki, jak powinien być dziennikarz w tym miejscu. Dobry był też dobór pytań – właściwa mieszanka koniecznych ogólnych spraw z dociśnięciem o konkrety, jak teoretyczne ustawy o tzw. małżeństwach homoseksualnych oraz o ewentualnym podwyższeniu wieku emerytalnego.

A kandydaci? Po pierwsze, prezydent **Andrzej Duda** skutecznie przetrwał nawałnicę. Potwierdza się, jak silnym jest kandydatem, jak zdecydowanym liderem tej kampanii. Naliczyłem aż 25 ataków na niego, a prym wiedli Władysław Kosiniak-Kamysz oraz, co zaskakujące, Krzysztof Bosak i Mirosław Piotrowski (kiedyś europoseł wybrany z rekomendacji PiS). Prezydentowi udała się w tych warunkach sztuka niesamowita – umiał się –potocznie mówiąc – odwinąć, ale jednocześnie zachował powagę, postawę prezydencką. Zdecydował się też na ton spokojnego optymizmu co do wyjścia Polski z wywołanych epidemią turbulencji, woli walki o ten cel, na podkreślanie korzyści płynących ze współpracy głównych ośrodków władzy politycznej. Na końcu skutecznie przypomniał zabójczy dla opozycji prorodzinny i społeczny dorobek tych rządów.

Po drugie, przekonaliśmy się po raz kolejny, że na populistę zawsze znajdzie się większy populista. Krzyki **Pawła Tanajny** i jego konsekwen-

Fot. Fratria

eprasa.pl 2c36a7c6d2

tna linia licytowania straszliwymi słowami o świadomej rzekomo eksterminacji polskich przedsiębiorców przez rząd bardzo utrudniły robotę trzem kandydatom opozycji, którzy idą podobną drogą, ale nie umieją/nie chcą aż takich słów używać: Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi, Szymonowi Hołowni i Robertowi Biedroniowi.

Po trzecie, ten ostatni (**Robert Biedroń**) nie zdołał zmazać wrażenia, iż średnio mu się w ogóle chce w to wszystko bawić. Był raczej znudzony i zniesmaczony, że musi w tym uczestniczyć, niż pełen wiary w możliwość zmiany świata. Zmarnował też w tej debacie wiele szans, by punktować różnice między sobą a pozostałymi, ale z jednej skorzystał: jako jedyny zaprezentował się jako konsekwentnie lewicowy polityk, popierający tzw. małżeństwa homoseksualne, wołający o rzekomym „piekle kobiet", zapewniający, iż „nie będzie klękał przed biskupami". Przy okazji dał kilka prztyczków Kidawie-Błońskiej, sugerując, że ona boi się powiedzieć, co myśli.

Po czwarte, kandydatka Platformy Obywatelskiej **Małgorzata Kidawa-Błońska** nie zdołała odwrócić fatalnego dla niej przebiegu kampanii wyborczej. Wyborcy nie dowiedzieli się, czy mają iść na nią głosować, czy też wymaga od nich, by bojkotowali wybory. Apele Hołowni do jej wyborców, by poparli jego, bo on startuje, a ona nie, pozostały bez odpowiedzi – to fundamentalny błąd! Co więcej, zamiast drapieżności, zdecydowania, które były towarem deficytowym w jej kampanii, Kidawa-Błońska zdecydowała się na powtarzanie banałów o konieczności „dialogu", „zaufania", „rozmowy z Polakami". To są ważne przekazy, ale one nie mogą być odpowiedzią na każde pytanie, od polityki zagranicznej po sprawy społeczne i epidemię!

Po piąte, wyciągam wniosek, że **Krzysztof Bosak** zdecydował się na obronę podstawowego stanu posiadania, stąd zestaw jego odpowiedzi był jak przepisany z programu Konfederacji – nie tylko w treści, co normalne i oczywiste, lecz i w formie. Żadna wypowiedź nie zaskoczyła, nie była wyjściem poza schemat. Ale dużym plusem w kontekście przyszłości tego polityka jest to, że każda wypowiedź była przygotowana i dość sprawnie, choć zbyt seminaryjnym tonem, wygłoszona.

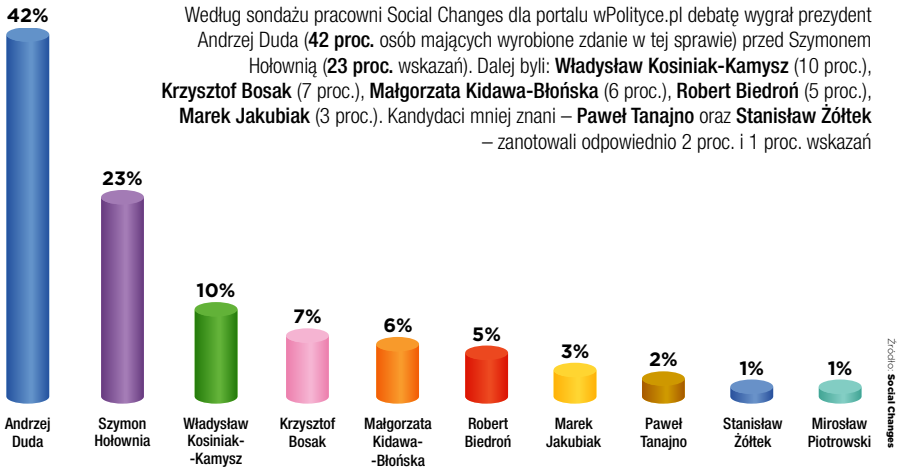

Według sondażu pracowni Social Changes dla portalu wPolityce.pl debatę wygrał prezydent Andrzej Duda (**42 proc.** osób mających wyrobione zdanie w tej sprawie) przed Szymonem Hołownią (**23 proc.** wskazań). Dalej byli: **Władysław Kosiniak-Kamysz** (10 proc.), **Krzysztof Bosak** (7 proc.), **Małgorzata Kidawa-Błońska** (6 proc.), **Robert Biedroń** (5 proc.), **Marek Jakubiak** (3 proc.). Kandydaci mniej znani – **Paweł Tanajno** oraz **Stanisław Żółtek** – zanotowali odpowiednio 2 proc. i 1 proc. wskazań

Po szóste, **Władysław Kosiniak-Kamysz** chyba czuje się zagrożony przez radykalnego Hołownię, bo zdecydował się na frontalny atak na prezydenta Dudę i PiS. Podkreślił to jeszcze gadżetem, wielkim długopisem przypominającym ten Wałęsy z 1980 r., ale z wizerunkiem nie Jana Pawła II, lecz prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Miał być to chyba w zamierzeniu cios osinowym kołkiem, ale wyszło niezręcznie, żenująco. Sam Kosiniak-Kamysz chyba to wyczuł, bo długopis szybko schował, za to atakował słowami o „latach rozwalania wspólnoty narodowej przez Andrzeja Dudę, przez ferajnę z Nowogrodzkiej". Widać, że nie ma już wielkich marzeń o drugiej turze, została rywalizacja na radykalizm po stronie opozycji. Moim zdaniem błąd – nie tu była jego siła. Zmniejsza to szanse na przyciągnięcie do siebie wyborców konserwatywnych, a lewicowi mają lepszych kandydatów.

Po siódme, najlepszym momentem **Szymona Hołowni** był ten już wspomniany – gdy zaapelował do wyborców Kidawy-Błońskiej, by głosowali na niego, bo on startuje i na dodatek ma badania, które dają mu szansę na drugą turę. Kilkakrotnie pokazał niezły refleks. Ujawniła się jednak w tej debacie główna słabość tego kandydata – niezdolność do poważnej rozmowy o poważnych sprawach. Umie – jak to się potocznie mówi – „łapać gimbazę", umie mówić do tych wyborców, których przyciągał do swoich ludycznych show w TVN. Ale zapytany o politykę zagraniczną, służbę zdrowia, gospodarkę mówi z tym samym uśmieszkiem cwanego nastolatka, który odbiera mu powagę. I ta nieznośna maniera uciekania w tuskowe okrągłe równania, jak to, że „nie ma wyboru między Unią a Polską, możemy mieć i Polskę, i Unię".

Po ósme, zaskoczył pozytywnie **Marek Jakubiak**. Mówił ciekawie i przekonująco. Nie wszedł w kanał licytacji antypisowskiej, co zrobił w złym stylu Mirosław Piotrowski, kilkakrotnie w PiS uderzył, ale i zareagował, gdy padł nieprawdziwy zarzut, iż ten rząd armię osłabił – jest dokładnie odwrotnie. W sumie wrażenie świeżości, choć nieco skiszone ostatnim zdaniem, iż „jako człowiek spełniony chce teraz podarować Polakom Marka Jakubiaka". Chyba miał to być żart, ale nie wybrzmiał.

Debata nie zmieni zasadniczo biegu kampanii, ale pokazała, że wybór stojący przed Polakami jest realny, każdy głos mocno słychać. Sądziłem, że będzie się ona mocniej toczyła w cieniu epidemii koronawirusa, ale tu paradoks – chyba tylko prezydent Andrzej Duda zrozumiał, jak wielkie wyzwania stoją przed Polską w tym czasie. I jako jedyny pilnował, by przekonanie, iż ma plan, jak przez to przejść, wybrzmiewało w jego wypowiedziach. Pozostali zaprezentowali w tej sprawie albo nieświadomość wyzwania, albo taki populizm, że aż zęby bolą.

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Niektórzy pierwsi prezesi Sądu Najwyższego zasługują na potępienie

To, co napisała „Gazeta Wyborcza", odbieram jako próbę odwrócenia mojej uwagi, koncentracji na realizacji zadań powierzonych mi ustawowo jako wykonującemu obowiązki pierwszego prezesa Sądu Najwyższego. Zapewniam, że żadna taka próba się nie powiedzie

Z prof. Kamilem Zaradkiewiczem, pełniącym obowiązki pierwszym prezesem Sądu Najwyższego, rozmawia Wojciech Biedroń

Co pan czuł, wchodząc po raz pierwszy do gabinetu, który jeszcze kilka dni wcześniej zajmowała była pierwsza prezes Sądu Najwyższego?

Kamil Zaradkiewicz: Nie zastanawiałem się nad tym, jak się czuję, lecz nad tym, czym mam się zająć, w jaki sposób zorganizować bieżącą pracę SN i bezpiecznie zwołać Zgromadzenie Ogólne Sędziów SN oraz ustalić wiele innych spraw, szczególnie tych pilnych. Na tym chcę się też koncentrować.

W mediach trwała dyskusja, również wzniecana przez niektórych sędziów, że sędziowie Izby Dyscyplinarnej oraz Skargi Nadzwyczajnej Spraw Publicznych nie powinni uczestniczyć w wyborze nowego pierwszego prezesa SN. Autorzy tych tez nie przyjmują do wiadomości, że sędziowie ci zostali legalnie powołani na swoje urzędy przez prezydenta RP.

Uważam, że dyskusja nad legitymacją sędziów jest zamknięta i taka powinna pozostać. Po pierwsze, przypominam, że w ostatnim czasie zapadły dwa orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego, które rozwiały w tym zakresie wszelkie wątpliwości. Po drugie, jeśliby nawet hipotetycznie rozważać zagadnienie dopuszczalności kwestionowania statusu sędziów, gdyż zostali oni wskazani przez nowy skład KRS, to należy pamiętać, że aktualnie jedyną podstawą do zakwestionowania, w sensie prawnym, statusu jakiejkolwiek grupy sędziów z uwagi na sposób ich nominacji, jest wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 20 czerwca 2017 r. Jednoznacznie w nim stwierdzono, że nie obecny skład KRS, lecz składy w latach 2000–2018 były niezgodne z konstytucją. W pierwszym rzędzie zatem problem legitymacji należałoby wówczas rozważać w przypadku sędziów powołanych w tym okresie.

Moje pytanie nie jest przypadkowe. To przecież pierwsza prezes SN

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2c36a7c6d2

prof. Małgorzata Gersdorf „zamroziła" Izbę Dyscyplinarną, opierając się na decyzji Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej o tymczasowym zawieszeniu tej Izby.

Zarządzenie pierwszej prezes dotyczące wykonania zabezpieczenia wskazanego przez Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej wymagało rewizji. Przypominam, że TSUE objął zabezpieczeniem wyłącznie postępowania w sprawie spraw dyscyplinarnych sędziów. Natomiast pierwsza prezes SN w swoim poprzednim zarządzeniu tak naprawdę „zamroziła" całą Izbę Dyscyplinarną i wszelkie kategorie spraw, które są w niej rozpoznawane. Tymczasem tego rodzaju nakaz nie wynika z treści zabezpieczenia TSUE. Ponadto zabezpieczające postanowienia TSUE powinny być wykonane przez każdy właściwy organ władzy państwa członkowskiego Unii Europejskiej w ramach jego zadań i kompetencji. Z tej perspektywy podstawowym adresatem postanowienia TSUE nie jest ani pierwszy prezes SN, ani nawet prezes kierujący Izbą Dyscyplinarną, ale składy SN rozpoznające poszczególne sprawy, gdyż postanowienie TSUE dotyczy w pierwszej kolejności postępowań, które są lub mogą być prowadzone w SN. Zatem postanowienie TSUE w tym zakresie wkracza w sferę orzeczniczą. Tymczasem żaden organ władzy publicznej w Polsce nie może, w zamian składu orzekającego, podejmować decyzji co do tego, jakie ewentualne działania podjąć w ramach toczących się postępowań. Ta kwestia należy do niezależnego sądu i niezawisłych sędziów. Tym bardziej zatem ani rząd RP, ani Sejm nie powinny dokonywać zmian ustawowych, które ingerowałyby w czynności podejmowane przez Sąd Najwyższy. Natomiast to sędziowie orzekający powinni w ramach poszczególnych spraw decydować, czy są podstawy do uwzględnienia postanowienia TSUE.

Nie ma więc mowy o podważaniu przez pana konstytucyjnego umocowania sędziów? Pytam dlatego, że właśnie w ten sposób działała pana poprzedniczka, prof. Małgorzata Gersdorf.

Nie mam żadnych podstaw, by kwestionować status jakiegokolwiek sędziego w Rzeczpospolitej Polskiej.

Widzimy coraz mocniejszą doktrynę, prezentowaną przez część środowisk sędziowskich oraz politycznych, że orzeczenia TSUE i prawo unijne stoją wyżej w hierarchii prawnej od polskiej konstytucji i ustaw.

Musimy pamiętać, że zagadnienie relacji wewnętrznego ustawodawstwa państw członkowskich UE i prawa europejskiego oraz orzeczeń TSUE nie jest wyłącznie przedmiotem dyskusji w Polsce. Ta debata trwa od wielu lat, na wielu płaszczyznach w całej Unii Europejskiej. Stanowiska w tej sprawie zależą w dużej mierze od perspektywy oceniającego. Z pewnością instytucje Unii Europejskiej mają naturalną skłonność do tego, by akcentować swoją rolę w kształtowaniu całego systemu prawnego UE i jego wpływu na poszczególne systemy państw członkowskich, co m.in. wiąże się z dążeniem do pewnego ujednolicenia czy standaryzacji prawa. W moim przekonaniu mamy do czynienia z dwoma (w pewnym uproszczeniu) porządkami równoległymi: unijnym i krajowym, które współistnieją obok siebie. Celem wspólnym powinno być to, by owe porządki prawne funkcjonowały bezkolizyjnie. Jednak jest oczywiste, że mogą się zdarzać i zdarzają sytuacje, w których dochodzi do zderzenia norm czy zakresu aktywności orzeczniczej poszczególnych organów unijnych z jednej i państw członkowskich z drugiej strony. Wówczas powstaje pytanie o to, któremu porządkowi przyznać prymat. Z perspektywy prawodawstwa obowiązującego w Polsce i w świetle orzecznictwa Trybunału Konstytucyjnego nie budzi żadnych wątpliwości, że najwyższym prawem Rzeczpospolitej Polskiej, a zatem regulacją rozstrzygającą kwestie tych kolizji, jest konstytucja RP.

> Uważam, że dyskusja nad legitymacją sędziów jest zamknięta i taka powinna pozostać. Przypominam, że w ostatnim czasie zapadły dwa orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego, które rozwiały w tym zakresie wszelkie wątpliwości

Jak więc wyjść z tej kolizji i zderzenia systemów?

W ramach dialogu między państwami członkowskimi a organami unijnymi, w tym TSUE, należy przede wszystkim respektować zakres kompetencji poszczególnych instytucji. I dotyczy to przede wszystkim samych tych instytucji, które każdorazowo powinny dokonywać swoistej autoweryfikacji z uwzględnieniem potencjalnych konsekwencji przekroczenia przyznanych im kompetencji. Wykroczenie poza ramy regulacji traktatowych może bowiem skutkować zagrożeniem powstania nieusuwalnej sprzeczności między tymi porządkami prawnymi. Jeśli nie da się usunąć sprzeczności, to należy ocenić, o ile jest to możliwe w ramach kompetencji organów władzy sądowniczej państwa członkowskiego – w przypadku Polski w pewnym zakresie dotyczy to Trybunału Konstytucyjnego – czy wykładnia zawarta w orzeczeniu TSUE i kompetencje pozostają zgodne z traktatami. Gospodarzami traktatów bowiem nie są ani TSUE, ani inne organy Unii, lecz państwa członkowskie. Stanowisko to potwierdził zresztą w ostatnich dniach niemiecki Federalny Sąd Konstytucyjny. Jednak w pierwszym rzędzie konieczne jest, by wszyscy uczestnicy dialogu europejskiego działali w ramach niebudzących wątpliwości

eprasa.pl 2c36a7c6d2

kompetencji w taki sposób, by nie doprowadzić do sytuacji kolizyjnych.

Jedną z pierwszych pana decyzji, którą wielu komentatorów uważa za historyczną, było usunięcie portretów pierwszych prezesów SN z lat 1945–1990. Mówi się o symbolicznym, ale jednak początku dekomunizacji w Sądzie Najwyższym.

Moje najwyższe zdumienie od wielu lat budziło to, że w holu gmachu głównego Sądu Najwyższego znajdują się portrety pierwszych prezesów SN z czasów komunistycznych. Dlatego, że w tamtym okresie ani wymiar sprawiedliwości nie był niezależny, ani prawodawstwo PRL nie zawierało nawet elementarnych instrumentów gwarancji niezawisłości sędziów. Przykładowo, praktycznie w każdym czasie można było odwołać sędziego ze stanowiska, co jest nie do pomyślenia w demokratycznym państwie prawa respektującym zasadę sędziowskiej niezawisłości. Ponadto osoby kierujące Sądem Najwyższym nie tylko były wprost politycznie zaangażowanymi funkcjonariuszami partyjnymi, nie sprzeciwiały się temu, że nie istnieją tego typu gwarancje, ale z tego, co ustalili historycy, przynajmniej niektórzy świadomie zgadzali się z represjami sądowymi wymierzonymi w polityczną i niepodległościową aktywność obywateli. Dlatego nie wyobrażam sobie, by można było w dalszym ciągu upamiętniać i honorować te osoby obok pierwszych prezesów SN pełniących swoje funkcje w niepodległej Polsce, w tym po 1990 r., i to w tak eksponowanym miejscu. Prezesi z lat 1945–1990 nie zasługują na takie wyróżnienie. W moim przekonaniu są tacy, którzy z uwagi na swoją działalność publiczną zasługują wręcz na potępienie.

Wcześniej ujawnił pan listę sędziów Sądu Najwyższego, którzy zostali powołani jeszcze przez Radę Państwa PRL.

Konieczne jest wskazanie dwóch płaszczyzn tego zagadnienia. W świetle wyroku TSUE z 19 listopada 2019 r. okoliczności i sposób nominacji sędziowskiej „mogą" mieć znaczenie w rozpoznawanej przez sąd sprawie i wówczas podlegać ocenie, czy wpływa na ocenę niezależności, w tym zachowania bezstronności, w tej konkretnej sprawie. Tak ukształtowany standard ma charakter uniwersalny. Nie dotyczy zatem jedynie powołania sędziego w konkretnym okresie, na podstawie określonych przepisów, np. tylko od 2018 r., ale każdego sędziego, zresztą nie tylko polskiego, i możliwości oceny wpływu okoliczności jego powołania na niezależność w określonej sprawie. Aby to ustalić, opinia publiczna o tak istotnych faktach z życiorysu zawodowego sędziego jak sposób jego nominowania na kolejne stanowiska powinna wiedzieć. To są okoliczności dotyczące bezpośrednio zawodowego życia sędziego i nie ma w demokratycznym państwie żadnych podstaw do ich utajniania. Także strony postępowań, aby móc poddać kontroli sądowej wpływ nominacji na orzekanie w danej sprawie, muszą mieć swobodny i bezpośredni dostęp do takiej informacji. Wskazanie konieczności ujawnienia przez ustawodawcę, gdyż tak się później stało, określonej informacji dotyczącej powołania sędziów, oceniam jako konieczne i minimalne dochowanie wspomnianego standardu wynikającego z orzeczenia TSUE.

> Gdyby istniały jakiekolwiek okoliczności wskazujące na nieprawidłowość, nieważność mojego powołania, to nigdy nie zgodziłbym się na realizację tego ustawowego zadania

Panu też się zarzuca, że nie powinien pan pełnić obowiązków pierwszego prezesa Sądu Najwyższego z uwagi na rzekomą współpracę z politykami i brak niezależności.

Gdyby istniały jakiekolwiek okoliczności wskazujące na nieprawidłowość, nieważność mojego powołania, to nigdy nie zgodziłbym się na realizację tego ustawowego zadania. Podstawowy zarzut, który się wobec mnie wysuwa w przestrzeni publicznej, jest taki, że konstytucja nie przewiduje funkcji osoby wykonującej obowiązki pierwszego prezesa SN. Proszę jednak zwrócić uwagę, że ustawa zasadnicza nie przewiduje żadnego instytucjonalnego rozwiązania w przypadku, gdyby – jak to się dzieje obecnie – doszło do zakończenia kadencji pierwszego prezesa SN i niewyłonienia nowego. Nie jest to więc kwestia, która została wprost rozstrzygnięta w konstytucji.

W konsekwencji choćby dla zachowania ciągłości funkcjonowania Sądu Najwyższego konieczne jest wprowadzenie odpowiedniego rozwiązania ustawowego na okres przejściowy. Tu zaś ustawodawca ma pewien zakres swobody w kształtowaniu mechanizmu wyznaczania szefa Sądu Najwyższego, który tymczasowo pełnić będzie tę funkcję do czasu powołania przez prezydenta nowego pierwszego prezesa SN. Obecnie tę funkcję realizuję.

Stał się pan obiektem ataku medialnego „Gazety Wyborczej", która atakuje dziś koncepcję pana wyboru na osobę, która kieruje Sądem Najwyższym.

To jest klasyczna publikacja, na którą każda reakcja z mojej strony byłaby tłumaczeniem w stylu „dlaczego przestałem już bić żonę". W jakikolwiek sposób odniósłbym się do tego materiału, musiałbym się tłumaczyć ze swojego życia prywatnego, a nawet intymnego. Przypominam, że kilka tygodni temu publiczne oburzenie części środowisk sędziowskich i mediów wywoływała konieczność publikacji oświadczeń sędziów o ich przynależności do zrzeszeń oraz – w przeszłości – do partii politycznych [także do PZPR w czasach PRL – red.]. Wówczas właśnie podnoszono zarzut, że ujawnienie tych informacji wkracza w niedopuszczalnym zakresie w życie prywatne sędziów, w ich chronioną

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Moje najwyższe zdumienie od wielu lat budziło to, że w holu gmachu głównego Sądu Najwyższego znajdują się portrety pierwszych prezesów SN z czasów komunistycznych

Fot. Andrzej Wiktor

konstytucyjnie sferę prywatności. Proszę więc w tym kontekście zestawić, jak głęboko wkracza w życie prywatne publikowanie informacji o przynależności sędziów do stowarzyszeń czy partii politycznych, a jak to wygląda w przypadku informacji o szczegółach odnoszących się do życia osobistego sędziego bez żadnego związku z wykonywaniem funkcji sędziowskich, dotyczących ich zdrowia i życia osobistego. Mogę tylko wyrazić zażenowanie i smutek z tego powodu, że są dziennikarze, którzy posługują się tego typu metodami. Jednak jestem również głęboko oburzony, że prezesem Trybunału Konstytucyjnego mogła być osoba, która swojego podwładnego w tamtym czasie recenzuje w taki sposób, i to długo po zakończeniu współpracy w TK. Tym bardziej że w tamtym okresie prof. Andrzej Rzepliński oceniał mnie publicznie, także w parlamencie, jednoznacznie pozytywnie. Warto przypomnieć, że to prezes TK jako pracodawca odpowiadał za prawidłowe funkcjonowanie Trybunału Konstytucyjnego i to na nim spoczywała ewentualna odpowiedzialność za niepodjęcie działań w razie stwierdzenia jakichkolwiek nieprawidłowości. To daje podstawę do zadania pytania, jakie motywy kierują taką osobą dziś. Należy przypomnieć, że to pracodawca, a w tym wypadku był to prof. Rzepliński, w pełni odpowiada za zapobieganie zjawisku mobbingu i reagowanie na wszelkie zarzuty tego rodzaju. W sprawie opisanej przez „Gazetę Wyborczą" prezes Rzepliński miał pełne rozeznanie okoliczności – nie tylko zarzutów, lecz także wyjaśnień, które złożyłem w związku z nimi, a o których nie ma choćby wzmianki w tej publikacji. Co znamienne, ówczesny prezes TK nie podjął żadnego postępowania wobec mnie, co świadczy o tym, iż po złożeniu przeze mnie wyjaśnień w sprawie rzekomego mobbingu nie dostrzegł on podstaw do wszczęcia takiej procedury. Podnoszenie zatem tej kwestii dzisiaj uważam, delikatnie rzecz ujmując, za nieporozumienie. To raczej pan Rzepliński powinien wyjaśnić, czy i jakie działania podjął w tamtym czasie. To, co napisała „Gazeta Wyborcza", odbieram jako próbę odwrócenia mojej uwagi, koncentracji na realizacji zadań powierzonych mi ustawowo jako wykonującemu obowiązki pierwszego prezesa Sądu Najwyższego. Zapewniam, że żadna taka próba się nie powiedzie, ponieważ zadania te, tak jak już zapewniałem, będę wykonywał z najwyższą starannością i niezależnością. Zastanawiam się tylko, jak można – niezależnie od oceny prawdziwości podanych informacji – formułować tezę o rzekomym ryzyku szantażu, jednocześnie informując, że są to informacje powszechnie znane w środowisku stołecznych prawników. To prowadzi wprost do pytania, czy na pewno podawane przez autorów publikacji intencje są rzeczywiste. W mojej ocenie odpowiedź jest oczywista.

Jak pan zamierza zareagować na tę publikację „Wyborczej"?

Całkowicie skoncentruję się teraz na pracy w Sądzie Najwyższym i powierzonych mi zadaniach, a co do zarzutów i informacji zawartych w tekście „Gazety Wyborczej" i mojej decyzji dotyczącej ewentualnego podjęcia kroków prawnych, będę się tym zajmował w późniejszym czasie. Nie mam zamiaru brać udziału w dyskusji na tym poziomie. Ponadto sędzia powinien pamiętać, że każda reakcja na krytykę, w tym także formułowanie nieprawdziwych zarzutów, może mieć daleko idące skutki, np. umożliwiające w przyszłości temu, kto sędziego krytykuje, składanie wniosków o wyłączenie ze składów orzekających. Gdyby zatem sędzia miał się wdawać w spory w takich sytuacjach, to dawałby zainteresowanym narzędzie do wpływania na orzekanie.

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Zatroskany sąsiad zakaźnika

Najpierw bili brawo lekarzom, a teraz ich prześladują. Taka narracja zaczyna zwyciężać w polskich mediach. Nie zawsze pokrywa się jednak z rzeczywistością

MAJA NARBUTT

Te doniesienia zbulwersowały opinię publiczną: nieznany sprawca zniszczył samochód pielęgniarki w Gliwicach, zdewastowano też auto lekarki z Wrocławia. Trochę wcześniej w Poznaniu piekarnia wywiesiła kartkę, prosząc lekarzy, by „powstrzymali się od zakupów".

Jednak tak naprawdę nie ma jeszcze podstaw, by wyciągać daleko idące wnioski.

– Nic nie wskazuje na to, że samochód pani doktor upatrzył sobie ktoś, komu nie podoba się, że pracuje ona w szpitalu zakaźnym. Ten samochód nawet nie został potraktowany z jakimś szczególnym wandalizmem, nie jest poobijany ani zniszczony. Przez wybitą szybę wyciągnięto GPS i jakieś przedmioty, które tam zostawiła, a także usiłowano wyrwać akumulator. Okazja czyni złodzieja – tłumaczy mi policjant z Komendy Miejskiej Policji we Wrocławiu.

Podobnie mówiła wrocławska policja innym dziennikarzom. Ale i tak ukazała się seria artykułów, opisujących zniszczenie samochodu jako atak na personel medyczny walczący z COVID-19, a głównym źródłem informacji były emocjonalne wpisy rodziny lekarki w mediach społecznościowych.

Bardziej skomplikowany jest przypadek pielęgniarki z Gliwic, której samochód potraktowano farbą w spreju. Z pewnością nie jest jednoznaczny.

– Gliwice nie są bardzo dużym miastem. Jednak co miesiąc zdarza się siedem–osiem podobnych incydentów. Przyczyną jest deficyt miejsc parkingowych i sąsiedzkie niesnaski. Nie uważamy jednak, że jeśli pomaże się samochód piekarza, jak zdarzyło się ostatnio, to mamy do czynienia z hejtem wymierzonym w piekarzy – mówi oficer komendy w Gliwicach.

Pielęgniarka, której samochód zdewastowano, pracuje w administracji i nie styka się z chorymi. Samochód był wyleasingowany przez firmę męża. Na razie inne auto do dyspozycji przekazała jej BMW Polska, dostała też ofertę bezpłatnej renowacji zniszczonego samochodu.

Być może się okaże, że wandal rzeczywiście kierował się niechęcią wobec personelu medycznego. Jednak jest to tylko jedna z hipotez i prawda może się okazać bardziej banalna.

– Nie znam przypadków, żeby sprawcy motywowani nienawiścią w związku ze stanem epidemii atakowali pracowników ochrony zdrowia lub niszczyli ich mienie – zapewnia mnie insp. Mariusz Ciarka, rzecznik prasowy Komendanta Głównego Policji.

Jednak z punktu widzenia lekarzy sprawa nie wygląda tak niewinnie. Bo chociaż nie ma bezpośrednich fizycznych ataków na lekarzy, nie zawsze czują się oni komfortowo.

– Jeśli umęczony lekarz wraca z pracy w szpitalu i zastaje przy drzwiach mieszkania kartkę z sugestią, by na czas pandemii wyprowadził się z budynku, bo rozsiewa zarazę, czuje się kompletnie bezradny i wszystkiego mu się odechciewa – mówi mi dr Grzegorz Krzyżanowski, rzecznik praw lekarza.

Szczególnie przykre wrażenie zrobiła na nim sytuacja, która udowadnia, że dobro nie zawsze wraca. Pewna lekarka na samym początku epidemii rozdawała sąsiadom maseczki i rękawiczki. Niektórzy nie mieli wtedy pojęcia, że jest lekarką i właśnie w ten sposób się o tym dowiedzieli. Ale szybko się okazało, że lekarski coming out nie przysłużył się pani doktor. Bo sąsiedzi doszli do wniosku, że wcale nie chcą, by mieszkała w ich budynku, gdyż naraża ich na zakażenie.

ZABÓJCZY DŁUGOPIS

– Długopis, którego używamy na poczcie, zostaje natychmiast przez panią z okienka wyrzucony. Śmiejemy się z tego, opowiadamy jak dowcip, bo

eprasa.pl 2c36a7c6d2

tak się składa, że nasi pracownicy, którzy załatwiają różne sprawy na mieście, nie mają do czynienia z pacjentami. No, ale w różnych instytucjach wiedzą, że są z naszego oddziału – opowiada mi dr Lidia Stopyra, specjalistka chorób zakaźnych, szefowa Oddziału Chorób Infekcyjnych i Pediatrii Szpitala im. Żeromskiego w Krakowie.

Pracuje na pierwszej linii frontu walki z COVID-19, co oczywiście wymaga dużej odporności psychicznej. Może stąd bierze się dystans wobec nieprzyjemnych reakcji otoczenia.

Ale, jak podkreśla dr Stopyra, jej samej nigdy nie spotkał hejt. Wręcz przeciwnie, dostała mnóstwo wyrazów wsparcia, płynęły nawet od ludzi, z którymi zetknęła się jako lekarz wiele temu.

– I oczywiście od samego początku pandemii zgłaszali się ci, którzy chcieli nam pomóc. Firmy oferowały, że kupią respiratory, wszyscy byli wstrząśnięci doniesieniami z Włoch. Głupio byłoby powiedzieć, że problem może być nie z respiratorami, ale brakiem personelu do ich obsługi. Kosmetyczki oddawały nam swoje zapasy maseczek ochronnych, restauratorzy oferowali posiłki, choć przecież ich branża pogrążała się w kryzysie. To naprawdę wzruszające – mówi dr Stopyra.

Nie znaczy to, że nie zna przypadków, w których innych lekarzy dotknęła ludzka niechęć. Coraz częściej się zdarza, że z dziećmi personelu medycznego nie chcą się bawić rówieśnicy. Zostali pouczeni przez swoich rodziców, że tak można przywlec zarazę. Bywa też, że żłobki czy przedszkola nie bardzo chcą przyjmować dzieci lekarzy.

Nie ulega jednak wątpliwości, że lęk przed chorobami zakaźnymi panował jeszcze przed pandemią koronawirusa.

– Przyzwyczailiśmy się, że kiedy przyjmujemy pacjenta na oddział, odbieramy telefony od osób podszywających się pod sanepid. Najczęściej są to przerażeni sąsiedzi lub rodzice innych dzieci z przedszkola, którzy chcą się dowiedzieć, co konkretnie mu dolega. Na ich nieszczęście panie z sanepidu rozpoznajemy po głosie, inny jest też oczywiście sposób zadawania pytań – mówi dr Lidia Stopyra.

„Zakaźnicy", jak o sobie mówią lekarze chorób zakaźnych, zawsze spotykali się z pewnym ostracyzmem.

– Zapach odkażającej chloroaminy, który można było poczuć od lekarza w tramwaju, sprawiał, że robiło się wokół niego pusto. Niektórzy wystrzegali się też podawania ręki lekarzowi, o którym wiedzieli, że ma pacjentów z HIV – wspomina prof. Andrzej Gładysz, pionier walki z HIV/AIDS w Polsce.

30 lat temu nieznana wówczas choroba budziła zabobonny lęk. Kiedy się z nią oswojono, zaczęto ją wręcz bagatelizować, zwłaszcza w grupie szczególnego ryzyka, co skutkuje teraz dramatycznym wzrostem zachorowań.

Czy podobnie będzie z koronawirusem? I kiedy spowszednieje, też się z nim oswoimy?

Jednym z bardziej zaskakujących aspektów pandemii jest to, że również w niektórych lekarzach budzi przekraczający racjonalne granice lęk. Z jednej strony są zahartowani w bojach zakaźnicy, z drugiej – lekarze innych specjalności, którzy często

eprasa.pl 2c36a7c6d2

wręcz nie chcą przekroczyć progu szpitala jednoimiennego, by udzielić konsultacji. O tym nie mówi się głośno, bo to trochę wstydliwa tajemnica środowiska. Jednak z różnych źródeł słyszałam historie dotyczące oporu lekarzy przed przebadaniem pacjenta, np. radiologicznie, choć zakaźnicy zapewniali im wszelkie środki zabezpieczenia oraz rzucali na szalę swój autorytet, gwarantując, że nie ma niebezpieczeństwa zakażenia.

A skoro tak zachowują się lekarze, to łatwiej można zrozumieć, dlaczego przeciętny Kowalski na myśl o koronawirusie wpada w panikę i zaczyna się zachowywać nieracjonalnie.

Panika może więc wyjaśnić pewne zachowania, ale w żaden sposób nie usprawiedliwia szykanowania lekarzy i personelu medycznego.

SĄSIAD Z KOMITETU LOKATORSKIEGO

Przypadki, że ludzie boją się mieszkać obok lekarza pracującego w szpitalu, na pewno nie są rzadkie. Problem polega na tym, czy i jak to okazują.

Fotokopie kartek podpisanych „zatroskani sąsiedzi", „komitet lokatorski", w których niedwuznacznie daje się do zrozumienia lekarzowi, że powinien się wyprowadzić, krążą już nawet w sieci. Napisane są różnym językiem, niektóre chłodne i powściągliwe, inne zjadliwe i agresywne, wręcz wulgarne.

– Takie rzeczy zdarzały się już na samym początku pandemii, nie można więc mówić, że coś się zmieniło na gorsze. Jednak znacznie częstsze są kompletnie inne reakcje. Serce rośnie, kiedy patrzy się na akcje szycia maseczek dla lekarzy i zaopatrywania ich w środki ochrony osobistej – opowiada Rafał Hałubicki, rzecznik Naczelnej Izby Lekarskiej.

Właśnie do Izby Lekarskiej często dzwonią ludzie, oferując bezpłatnie swoje mieszkanie lekarzom, którzy nie chcą po pracy w szpitalu zakaźnym wracać do swojego domu. Oni sami pracują zdalnie i wyjechali z dużych miast do domów na wsi.

Z podobnymi sytuacjami zetknął się też dr Grzegorz Krzyżanowski. – Zgłaszają się ci, którzy wyjechali za granicę i ich polskie mieszkania stoją puste. To fantastyczny gest, choć oczywiście ze względów praktycznych lepiej jest, gdy lekarze ze szpitali jednoimiennych mieszkają w wydzielonych hotelach – mówi.

Podkreśla, że nieprzyjemne incydenty są marginalnym zjawiskiem i nie należy im przydawać zbyt dużego znaczenia.

Inaczej myśli jednak dr Bartosz Fijałek z Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Lekarzy, który wystosował apel do ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry i Komendy Głównej Policji. Chce, by powołano specjalną komórkę w prokuraturze do zwalczania hejtu wobec personelu medycznego, na wzór tej, która bada błędy lekarskie. – Lepiej reagować ostro od razu, by nie było tak, jak w przysłowiu o Polaku mądrym po szkodzie – mówi mi dr Fijałek.

Kiedy pytam go, jak wiele wypadków hejtu zgłoszono do związku zawodowego lekarzy, mówi, że około 35. Wlicza w to historie z Wrocławia i Gliwic.

– Są jednak lekarze, którzy nie będą takich incydentów zgłaszać, bo czują się zwyczajnie zażenowani. Wiadomo, że spotkała ich przykra sytuacja, ale nie chcą o tym mówić. A inni mogą zgłaszać sprawy, których tak naprawdę nie było – przyznaje.

Ten drugi przypadek rzeczywiście czasem się zdarza, gdy chodzi o tzw. zbrodnie nienawiści. W publikacjach psychologów zachodnich opisano sytuacje, gdy ludzie – z narcystycznej potrzeby atencji czy też uważając, że służą w ten sposób słusznej sprawie – nieprawdziwie zgłaszają, że padli ofiarą takich przestępstw.

> Sprawcy wszelkich przestępstw i wykroczeń skierowanych przeciw lekarzom powinni być bardzo surowo karani. Na podobnych zasadach jak surowo karani są ci, którzy łamią zasady kwarantanny

Trudno sobie jednak wyobrazić powołanie takiej komisji z prostego powodu – polskie prokuratury badają rocznie niemal 7 tys. zgłoszeń dotyczących błędów lekarskich, większość spraw związana jest ze śmiercią pacjenta. Powoływanie specjalnej komórki do kilkudziesięciu przykrych incydentów, związanych najczęściej z rozlepieniem karteczek, wydaje się problematyczne.

Nie ulega jednak wątpliwości, że sprawcy wszelkich przestępstw i wykroczeń skierowanych przeciw lekarzom powinni być karani bardzo surowo. Na podobnej zasadzie jak surowo karani są ci, którzy łamią zasady kwarantanny.

HEJT JAK NÓŻ

Hejt zabija zupełnie dosłownie. Tak uważa rodzina prof. Wojciecha Rokity, znanego kieleckiego ginekologa, który w samych początkach pandemii w Polsce popełnił samobójstwo. Nie mógł znieść niechęci i nienawistnych komentarzy, jakie pojawiały się na forach internetowych, kiedy się okazało, że jest zakażony koronawirusem.

– To 200 stron wydruków w formacie A4, pełnych insynuacji, a nawet gróźb typu „dopadniemy ciebie i twoją rodzinę". Są teraz materiałem dowodowym – opowiada mi mec. Sławomir Gierada, reprezentujący córkę profesora.

Jak mówi, profesor był człowiekiem starej daty, bardzo sumiennym. Dlatego po powrocie ze Szwajcarii, zanim jeszcze stawił się klinice, której był ordynatorem, poprosił o wykonanie testu na koronawirusa. Na zasadzie, że Szwajcaria graniczy z Włochami, więc lepiej się upewnić. Kiedy okazało się, że wynik jest pozytywny, zgłosił się do szpitala zakaźnego.

Nieoczekiwanie na lokalnym portalu pojawił się tekst o lekarzu, który jest zakażony. To był w ogóle pierwszy przypadek

Autopromocja

eprasa.pl 2c36a7c6d2

koronawirusa w Kielcach, więc budził olbrzymie emocje. Nazwisko profesora nie padło, były jednak wskazówki, które pomagały czytelnikom go zidentyfikować. Ściśle rzecz biorąc, w kręgu podejrzeń znalazł się jeszcze inny lekarz, który jednak publicznie oświadczył, że nie jest zakażony. Internetowi tropiciele dotarli szybko do profesora, którego oskarżano, że zakaził swoje pacjentki.

Siedząc w swej izolatce, czytał wszystko, co o nim pisano. Apelował do znajomych, by spowodowali wyłączenie komentarzy. Wyłączono je wieczorem we wtorek 17 marca. Ale następnego dnia rano okazało się, że profesor nie żyje, popełnił samobójstwo.

– Bardzo źle znosił całą sytuację. Czuł się bezradny, szarpano jego reputację. Skarżył się też rodzinie, że w szpitalu traktuje się go jak trędowatego, zostawia mu się posiłki na progu pokoju – opowiada mec. Gierada.

Zostawianie posiłków na progu akurat nie powinno profesora dziwić, nawet zakażonemu koronawirusem premierowi Wielkiej Brytanii Borisowi Johnsonowi zostawiano tacę z jedzeniem na progu jego pokoju przy Downing Street.

Pozostaje jednak pytanie, czy hejt był rzeczywistą przyczyną samobójstwa ginekologa.

„Wyłączną przyczyną śmierci profesora była fala hejtu" – tak pisały media, powołując się na mec. Gieradę. Jednak w rozmowie ze mną adwokat nie jest tak kategoryczny. Jak podkreśla, nie znamy wszystkich motywów profesora, można jednak przypuszczać, że nienawistne komentarze i groźby były zasadniczym powodem, dla którego się zabił.

– Bez wątpienia jeśli ktoś posługuje się tak nienawistnym hejetem, jak w tym wypadku, to tak jakby sięgał po nóż w bójce – mówi mec. Gierada.

Sprawą śmierci prof. Rokity i hejtu zajęła się kielecka prokuratura, nie czekała na wniosek rodziny, wszczęła postępowanie z urzędu. Internetowym prześladowcom postanowił też nie darować inny kielecki lekarz, doktor M., którego oskarżano, że na swoim oddziale ulokował chorą na koronawirusa córkę. W rzeczywistości córka miała ropną anginę.

Artykuł pojawił się w tym samym portalu, w którym ukazał się tekst o prof. Rokicie.

Jest jeszcze inny niepokojący wspólny mianownik – nie ulega wątpliwości, że w obu wypadkach źródłem przecieku, który zapoczątkował nagonkę, był ktoś z personelu medycznego.

> Do Izby Lekarskiej często dzwonią ludzie, oferując bezpłatnie swoje mieszkanie lekarzom, którzy nie chcą po pracy w szpitalu zakaźnym wracać do swojego domu. Oni sami pracują zdalnie i wyjechali z dużych miast do domów na wsi

KTO JEST KIM

– Pandemia pokazała, kto jest kim. Są tacy, którzy z odwagą i pasją, nie zważając na ryzyko, pomagają chorym. I ci, którzy zdezerterowali, uciekli na zwolnienia. Okazało się też, że w trudnych sytuacjach liczą się dziedziny medycyny, które nie są popłatne i zwykle się o nich nie mówi, a efektowna medycyna estetyczna to nie wszystko – mówi dr Lidia Stopyra, specjalistka chorób zakaźnych.

Kiedy skończy się pandemia, być może media, zwłaszcza telewizje śniadaniowe, przestaną spijać słowa z ust gwiazd medycyny estetycznej, poprawiających urodę celebrytkom, i pokażą ofiarnych lekarzy, którzy okazali się najważniejsi i którym zawdzięczamy tak wiele. Blichtr i konsumpcja okazały się przecież w czasach zarazy tak mało istotne. I może tę lekcję zapamiętamy na dłużej.

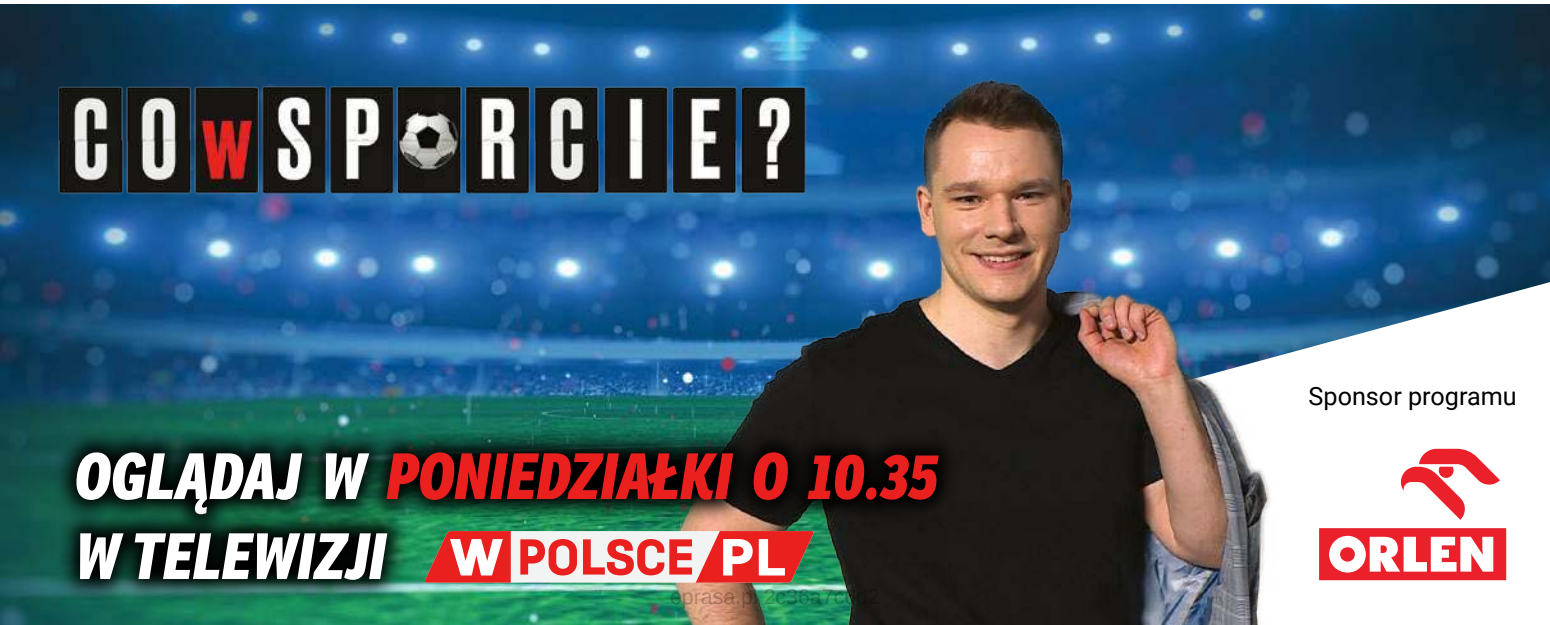

Wszyscy mieliśmy kontakt z wirusem

Widać, że w krajach, gdzie były obowiązkowe szczepienia przeciw gruźlicy, ludzie chorują lżej na COVID-19

Z dr Krzysztof Tyburczy, specjalistą medycyny ratunkowej, chirurgiem, rozmawia Dorota Łosiewicz

Czy lekarz, który otarł się o śmierć, jest bardziej wrażliwy na cierpienie innych?

Krzysztof Tyburczy: Stare chirurgiczne porzekadło mówi, że dobry chirurg to taki, który sam był kiedyś operowany. Pewnie bardziej rozumiem ludzi chorych, a już najłatwiej wczuć mi się w sytuację „udarowca". Gdy mówią, co czują, co się z nimi dzieje, ja też czasem opowiadam, co działo się ze mną. To buduje zaufanie. Bliskość śmierci sprawia, że człowiek nieco inaczej zaczyna patrzeć na życie.

Jak pan na nie patrzył w 2015 r.? W roku, gdy zdarzył się panu udar.

Miałem wtedy wszystko. Spłacone długi w banku, skończoną specjalizację, trójkę dzieci, na koncie ukończonego Ironmana. I nagle: trach, w jednej chwili wszystko się zmieniło. To było podczas urlopu w Austrii. Zjeżdżałem na nartach i nagle urwał mi się film. Kiedy się obudziłem po utracie przytomności, zobaczyłem swoją córkę i synów. Spytałem, co mi się stało. Diana mówiła, że byłem nieprzytomny. Zapytałem, jakie mam źrenice i czy coś mi cieknie z uszu. Wtedy Diana z przerażeniem spojrzała i powiedziała: „Tata, ale ty już o to pytałeś". Przewieziono mnie do szpitala. Po wykonaniu RTG czaszki i tomografii głowy położono mnie na oddział. Okazało się, że miałem 12-milimetrowego krwiaka. Myślałem, że gorzej być nie może, ale jednak było gorzej. Po dwóch godzinach leżenia w szpitalu straciłem władzę w prawej ręce i nodze. Nie potrafiłem ruszyć ręką, ramieniem, kolanem ani stopą. Kolejne badania i diagnoza: samoistne krwawienie wewnątrzczaszkowe o nieznanej etiologii.

Ale to nie był koniec...

To był początek. Tak zaczęło się nowe życie. Przewieziono mnie do Innsbrucka. Tam przeszedłem operację. Wiedziałem, że mój stan jest poważny. 60–70 proc. osób w takim stanie umiera, a z tych, którzy z tego wyjdą, tylko kilka procent wraca do pracy. Śmierć była przy moim łóżku. Dwie rzeczy pamiętam z tamtego czasu dość wyraźnie. Płacz moich dzieci przy łóżku, gdy tamtejsi lekarze zasugerowali, że rodzina powinna się ze mną pożegnać, oraz spowiedź z całego życia u księdza Polaka, który pojawił tam „przypadkiem". Ale wiemy, nie ma przypadków, jest tylko działanie Ducha Świętego. Ksiądz pomógł mi zmówić pokutę, ponieważ plątał mi się język, miałem problem z mówieniem. Przyjąłem też komunię. I poczułem irracjonalny spokój. Zacząłem się modlić. Za siebie, za kolegów z sali. Później zacząłem się modlić o dwie rzeczy: albo żeby mnie Bóg zabrał, albo niech mnie uzdrowi. Bałem się, że zabierze mi mowę, że będę tylko leżał, że nie będę miał żadnego kontaktu z moją rodziną, że będę dla nich wielkim ciężarem. Stało się to drugie. Jednak wcześniej była operacja. Kiedy się z niej wybudziłem, mogłem zrobić tylko ruch kciukiem. Leżąc na plecach, nie potrafiłem się przerzucić na prawy bok ani na lewy. Nie potrafiłem pójść do ubikacji. Nie potrafiłem się wykąpać, umyć zębów. Jednak operacja się udała, zaczęła się rehabilitacja. Cały czas modliłem się na różańcu, to najlepszy lek uspokajający. Podczas różańca kilka razy ruszyłem ręką. Po tygodniu przewieziono mnie do Polski. Byłem intensywnie rehabilitowany. Po trzech tygodniach od operacji odrzuciłem wózek. Poszedłem do kościoła na własnych nogach. A po trzech miesiącach wróciłem do pracy. Moi koledzy do tej pory w to nie wierzą.

Czy te przeżycia wracają w szpitalu?

Kiedyś na moim oddziale pojawiła się kobieta, rocznik 1972, z udarem krwotocznym. Przy jej łóżku płakały dwie córki. To mi przypomniało moje dzieci płaczące przy moim łóżku. Rozkleiłem się. To było psychicznie bardzo ciężkie przeżycie.

Kiedy bał się pan o rodzinę bardziej – wtedy czy teraz podczas epidemii?

Jak każdy rodzic chciałem wychować swoje dzieci. Bałem się, że nie będę mógł tego zrobić. Jeśli chodzi o epidemię koronawirusa, to dzieci, statystycznie są mniej narażone na zachorowanie i śmierć niż dorośli.

eprasa.pl 2c36a7c6d2

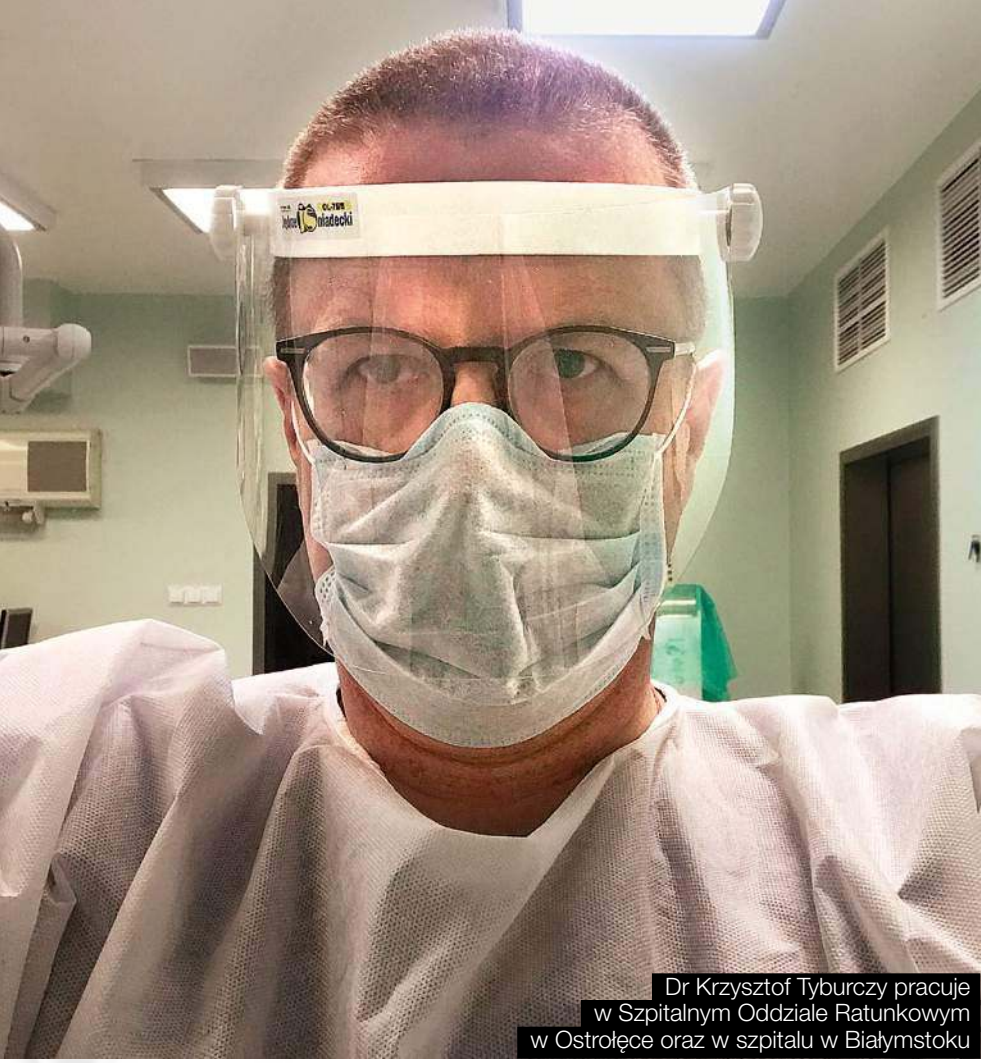

Dr Krzysztof Tyburczy pracuje w Szpitalnym Oddziale Ratunkowym w Ostrołęce oraz w szpitalu w Białymstoku

Mieszkam w wielopokoleniowym domu, gdzie są i dzieci, i teściowa. Teraz bardziej boję się o żonę i jej mamę, która ma problemy z płucami. Nawet na dwa i pół tygodnia wyprowadziłem się z domu. Z epidemicznego punktu widzenia były dwa momenty poważnego zagrożenia: ferie zimowe i powroty Polaków do kraju. W północnych Włoszech była masa Polaków, w tym lekarzy. Bałem się, że jakiś czas po feriach epidemia wybuchnie z taką siłą, że będziemy mieli powtórkę z Włoch. Stąd moja decyzja o wyprowadzce. Ale gdy okazało się, że nie jest tak źle, wróciłem do domu.

Epidemia już się kończy?

Tego nikt nie może powiedzieć odpowiedzialnie i z całą pewnością. Na pewno na razie w Polsce przebieg epidemii jest inny niż na południu Europy i w USA. Jeśli chodzi o dalszy ciąg, to boję się, żeby nie było tak jak z Izrealitami, którzy szli za Mojżeszem. Już prawie widzieli Ziemię Obiecaną, ale Bóg zesłał węże. Z niepokojem patrzę na Włochy, które weszły w fazę rozliczeń. Nie wiem, jak będzie u nas. Wiem od prawników, że już teraz jest sporo spraw związanych z COVID-19. Gdy epidemia przygaśnie, dla służby zdrowia może się zacząć epidemia spraw sądowych. Może się też zacząć wysyp innych chorób. Teraz ludzie unikają szpitali, ale przecież nie chorują mniej. Widzimy, że na SOR jest mniej pacjentów, bo nie pojawiają się ze strachu. Ale choroby przewlekłe się kumulują i boję się, że jak zacznie wygasać epidemia, a pacjenci z nowotworami zaczną trafiać do szpitali, to będą w takim stanie, że niewiele będzie można dla nich zrobić.

Jak się zmieniła praca na SOR?

Na pewno dłużej diagnozuje się pacjentów. To oczywiście zależy od szpitala. Jednak przeważnie najpierw robi się pacjentowi (np. z grupy ryzyka lub jeśli jest podejrzenie) test na COVID-19, zanim udzieli mu się pomocy. Ubolewam, że nie powstają oddziały przejściowe, czyli po decyzji, że pacjent potrzebuje hospitalizacji, wdrażałoby się leczenie, nim pojawi się wynik testu genetycznego. To by w dużej mierze usprawniło udzielanie pomocy. Miałem ostatnio taki przypadek, że do szpitala trafił młody chłopak, który jeździł skuterem po nocy. Przeziębił się od tej nocnej jazdy, ale miał też wypadek. Wywrócił się. Trafił do szpitala z urazem barku i gorączką. Wszyscy bali się udzielić mu pomocy, bo z powodu gorączki od razu było podejrzenie COVID-19. Robi się nam sytuacja jak w Chinach. Widzieliśmy takie obrazki, że człowiek padał na ulicy, np. na zawał, i nikt nie chciał mu udzielić pomocy, żeby się nie zarazić wirusem.

A pan czego się boi w kontekście epidemii?

Boję się triażu. Że kiedyś będę musiał decydować, kogo ratować, a kogo nie. Kogo podłączyć do respiratora, bo rokuje, a kogo nie. Oczywiście na oddziale ratunkowym zawsze poniekąd trzeba dokonywać wyboru, gdy naraz pojawia się 10 pacjentów. Wtedy ustawia się przypadki od najpilniejszego do najmniej pilnego. To jednak nie jest wybór w kategorii: kto ma żyć. Boję się sytuacji, że będę miał dwa respiratory i trzy osoby, które ich potrzebują. Obym nigdy nie musiał dokonywać wyboru. Nie wiem, czy bym potrafił. Każde życie ratuje się z takim samym zaangażowaniem. Ale prawda jest taka, że sytuacja w szpitalach nie jest dobra. Ciężko było i przed pandemią. A teraz jest gorzej. Sporo ludzi uciekło na zwolnienia. Wojewodowie wystawiają nakazy pracy, ale to się nie do końca sprawdza. A już straszenie ludzi karą, w ogóle zamrozi służbę zdrowia.

Czy oficjalne dane o zakażonych w Polsce koronawirusem (gdy rozmawiamy, jest to ponad 15 tys. osób) są pana zdaniem realne?

Zupełnie nie. Mam głębokie przekonanie, że absolutnie wszyscy mieliśmy już kontakt z tym wirusem. On jest w Polsce na tyle długo i tak szybko się rozprzestrzenia, że nie może być inaczej. Statystyki mówią, że 30 proc. osób, które miały styczność z wirusem, jest całkiem bezobjawowa, 56 proc.

Fot. archiwum prywatne

eprasa.pl 3c36a7c6d2

przechodzi COVID-19 bardzo lekko: kilka dni kaszlu, katar i po wszystkim. Kilkanaście procent potrzebuje hospitalizacji, a 4 proc. ląduje na intensywnej terapii. Może to jednak dobrze, że oficjalne dane są takie. Nie mamy wybuchu paniki. Zobaczymy, co będzie po majówce, po lekkim poluzowaniu restrykcji.

Od czego zależy to, jak organizm reaguje na SARS-CoV-2?

Na pewno od naszej indywidualnej odporności. To jest egzamin ze zdrowia, z tego, jak o siebie dbamy. Dlaczego w USA choruje tak wielu młodych, silnych, wysportowanych mężczyzn i kobiet? Okazuje się, że chorowali ci, którzy brali anaboliki. Inna korelacja ma związek ze szczepionką przeciw gruźlicy. Mieszkańcy byłego NRD przechodzą chorobę lżej niż mieszkańcy byłego RFN. Japonia i Tajwan mają obowiązkowe szczepienia przeciw gruźlicy, podobnie jak Polska. W Chinach i USA tej szczepionki nie było. We Włoszech i Hiszpanii też nie. Jeśli chodzi o południe Europy, to tam jeszcze ważną rolę gra kultura. Tam są rodziny wielopokoleniowe, więc starsi ludzie byli bardziej narażeni. Poza tym Włosi są bardzo towarzyscy, życie kwitnie w barach, na ulicach, więc wszystko szybko się rozniosło. Lekarze mówią też o meczu Atalanta–Valencia w Lidze Mistrzów, który mógł być jedną z przyczyn wybuchu epidemii koronawirusa w Bergamo. Na stadionie było wówczas 40 tys. osób.

Jest też teoria, że starsi Włosi masowo szczepili się przeciw grypie i może to ich osłabiło.

Nie jestem wrogiem szczepionek, wręcz przeciwnie. Zakaźnicy mówią, że ludzie, którzy co roku szczepią się przeciw grypie, lżej przechodzą COVID-19. Jeśli chodzi o Włochów, to raczej dopatrywałbym się problemu w charakterze narodowym niż w szczepionkach. Wracając jednak do powodów różnej siły przejścia choroby, jest wreszcie trzecia teoria, która głosi, że lżej przechodzą COVID-19 osoby, które miały wcześniej styczność z innymi koronawirusami (bo tych jest całkiem sporo), czyli np. mają psy lub dzieci, które często przynoszą różne infekcje. Te teorie się wzajemnie nie wykluczają, ale pokazują, dlaczego tak różnie przechodzimy COVID-19.

SARS-CoV-2 to broń biologiczna, ewolucja wirusa czy zemsta matki Ziemi? W którą wersję pojawienia się wirusa pan wierzy?

Nie wiem, która jest prawdziwa i raczej się tym nie zajmuję. Moim celem jest ratowanie ludzkiego życia. Jednocześnie widzę, że wiele dobrego w tym czasie pandemii się stało. Ale jak już przejdzie epidemia, to będzie czas, żeby się na ten temat doktoryzować, pisać prace magisterskie czy profesury. Na pewno jednak tego wirusa nie można bagatelizować. Koleżanka ze Szwajcarii opowiadała mi, jak bardzo źle u nich było. Mówiła, co widziała. To jest wirus zabójczy, który atakuje także ludzi młodych. A lęk przed zarażeniem dodatkowo osłabia organizm i paradoksalnie czyni go bardziej podatnym na chorobę, rujnuje nam odporność. Czasem oddanie wszystkiego Bogu przynosi człowiekowi spokój. Starszym pacjentom czasem zapisuję leki uspokajające, ale wierzącym zalecam różaniec. To przynosi takie ukojenie, że idzie za tym poprawa stanu zdrowia. Łatwiej leczy się człowieka, który się nie boi.

> Lęk przed zarażeniem dodatkowo osłabia organizm i paradoksalnie czyni go bardziej podatnym na chorobę, rujnuje nam odporność

Będzie kolejne uderzenie epidemii?

Życzyłbym sobie, żeby tak nie było i żebyśmy już do tej wspomnianej Ziemi Obiecanej weszli. Jednak hiszpanka miała 100 lat temu trzy uderzenia, podobnie cholera 200 lat temu i dżuma 300 lat temu. Do dziś leku na cholerę nie ma i dlatego np. sanepid nie wydaje zgody na budowę w miejscach, gdzie są cmentarze. Druga faza epidemii to na pewno będzie faza rozliczeń.

Rzeczywiście dopiero szczepionka zamknie sprawę definitywnie?

Na pewno szczepienia uwolniły nas od wielu chorób, o których już zapomnieliśmy. Np. od wspomnianej już gruźlicy. Ta choroba pojawiła się niedawno w Polsce z powodu wojny na Ukrainie i ucieczki do Polski Ukraińców, którzy nie byli szczepieni. Wielu lekarzy otwierało oczy ze zdziwienia, że coś takiego w ogóle jest. Ja i moja rodzina szczepimy się przeciw grypie i przeciw odkleszczowemu zapaleniu opon mózgowych. Pytanie, czy szczepionka przeciw COVID-19 będzie bezpieczna i czy wyszczepienie będzie trwałe? A może ta szczepionka była już przed epidemią i ktoś na niej nieźle zarobi? A może ktoś przypadkiem trafi na lek? Przykładowo viagra była stworzona do leczenia nadciśnienia tętnicy płucnej. Okazało się, że efekt uboczny jest tak atrakcyjny, że firma skoncentrowała się na efekcie ubocznym, ale nadciśnienie płucne wciąż leczy się viagrą. Są cztery leki wspomagające w leczeniu COVID-19, ale one też mają poważne skutki uboczne.

Wiele osób teraz zachwyca się drogą, którą w walce z epidemią poszła Szwecja, czyli izolowania osób starszych, ale niewprowadzania ograniczeń dla ogółu społeczeństwa. Pana zdaniem, która ścieżka jest lepsza: polska czy szwedzka?

Polska strategia to kopia tego, co podczas epidemii hiszpanki zrobiono w USA w St. Louis, a z czym spóźniono się w Filadelfii. Podczas gdy w Filadelfii tygodniowo na hiszpankę umierało 257 osób na każde 100 tys. mieszkańców, w St. Louis było to 31 osób. W okresach szczytu zachorowań umierało 719 mieszkańców Filadelfii na każde 100 tys., a w St. Louis – 347. Na ten moment strategia Polski jest lepsza niż Szwecji.

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Trzeba dobrze rozłożyć siły

Nie biegniemy dzisiaj sprintem 100 m, to bieg na 3 tys. m z przeszkodami. Musimy umiejętnie rozłożyć siły – mówi dr Marcin Kędzierski z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, współautor modelu zarządzania restrykcjami w czasach pandemii koronawirusa, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Wróciły galerie handlowe, wracać mają ogródki restauracyjne, z drugiej strony pandemia też nie ustępuje. Jak oszacować to, na ile możemy sobie pozwolić?

Dr Marcin Kędzierski: Aby podjąć właściwe decyzje dotyczące łagodzenia lub zaostrzania restrykcji, potrzebny jest zestaw precyzyjnych i przejrzystych kryteriów, opartych na konkretnych i aktualnych danych oraz wskaźnikach. Niestety z ust premiera słyszymy tylko decyzje oparte na kryteriach epidemicznych, a jestem przekonany, że decydenci biorą pod uwagę także kryteria społeczne i gospodarcze. Nie są one jednak jasne dla opinii publicznej.

Zacznijmy od kryterium epidemicznego. Chodzi o liczbę zakażeń dziennie? O liczbę dostępnych miejsc w szpitalach?

W modelu, który powstał w zespole pod kierownictwem dr. Michała Możdżenia, przyjmujemy w uproszczeniu, że wskaźnik opisujący sytuację epidemiczną można przedstawić jako kombinację dwóch elementów. Pierwszy to tzw. współczynnik R, mówiący o dynamice epidemii, drugi to szacunkowa liczba wszystkich zarażonych. Dodatkowo model bierze pod uwagę skuteczność testowania. Oczywiście tak obliczony wskaźnik musi być zestawiony z krytycznym potencjałem służby zdrowia – opierając się na dostępnych danych, możemy bowiem założyć, jaki odsetek chorych będzie wymagać hospitalizacji. Warto dodać, że na podstawie obecnie dostępnych danych sytuację epidemiczną można określić jako względnie stabilną.

Dobrze, czyli na dziś mamy to względnie pod kontrolą. Jakie dane gospodarcze wrzucacie do swojego modelu?

Jeśli chodzi o kryterium ekonomiczne, bierzemy pod uwagę sytuację na rynku pracy, kondycję przedsiębiorstw i stan finansów publicznych. Odpowiednio – w modelu uwzględniamy dane dotyczące m.in. bezrobocia i prognoz w tym zakresie, zmiany wysokości wynagrodzeń, wskaźnika koniunktury, liczby zamykanych lub zawieszanych działalności gospodarczych czy rentowności polskich obligacji. Wszystko to uzupełniamy o dodatkowy wymiar analityczny w postaci oceny sytuacji międzynarodowej, czyli weryfikacji tego, co dzieje się u naszych sąsiadów. To istotne choćby ze względu na decyzję co do ewentualnego otwarcia granic dla pracowników z Ukrainy.

A nastroje społeczne?

Tu interesuje nas społeczna emocja – zniecierpliwienie, zmęczenie restrykcjami. To dobrze pokazuje analiza zasięgów i sentymentu w internecie, ale także inne wskaźniki nastrojów i społecznej dyscypliny.

No dobrze, mamy dane. Co dalej?

Musimy zapytać o cel. Nie do końca wiemy, co jest dziś celem wprowadzenia restrykcji: całkowite wygaszenie epidemii czy jednak jakaś forma współistnienia z koronawirusem.

Chodzi o kontrolę, inaczej musielibyśmy zamknąć się w domach na miesiąc z zapasem żywności. Nierealne.

Tak, ale kiedy spojrzymy na państwa UE, to w wielu krajach epidemia przekroczyła już ten szczyt, wierzchołek, a Polska, obok Szwecji, Rumunii, Bułgarii czy Wielkiej Brytanii, wciąż jest przed szczytem. Nie wiemy, kiedy on nastąpi, to zresztą bardzo trudne do przewidzenia, ale pokazuje też, że restrykcje wprowadzane w Polsce...

eprasa.pl 2c36a7c6d2

...zadziałały? Paradoksalnie taki płaski przebieg epidemii może pokazać, że restrykcje spełniły swoje zadanie.

Tak, ale w specyficzny sposób. W większości państw UE zahamowały wzrost i doprowadziły do spadku zachorowań. U nas spadku wciąż nie widać.

Na chłopski rozum: dzięki restrykcjom nie mamy scenariusza Włoch, ale siłą rzeczy człapiemy, jeśli chodzi o rozwój skali zakażeń.

Na pierwszym etapie epidemii – w lutym czy marcu – gdy mało kto wiedział, jak rozwiną się sprawy, rozsądne było wprowadzanie ostrych restrykcji, nawet trochę na oślep. Kupiliśmy tym samym sporo czasu. Ale dziś trochę marnujemy kolejne tygodnie, gdyż wciąż nie znamy mechanizmu decyzyjnego, na podstawie którego dochodzi do łagodzenia restrykcji. To sprawia także, że problemem staje się komunikowanie tych decyzji społeczeństwu.

Mechanizmu nie znamy, ale przecież to nie są decyzje na chybił trafił. Analizy, raporty, dokumenty – wszystko to trawione jest choćby na posiedzeniach zespołów kryzysowych.

Nie wiem, jak ten proces decyzyjny wygląda. Zakładam, że jest oparty na licznych ekspertyzach. Z zewnątrz można jednak odnieść wrażenie, że kolejne decyzje co do luzowania restrykcji były podejmowane bardziej na podstawie wyczucia, a czasem – wpływu kolejnych grup interesów. Jak choćby ta o otwarciu galerii handlowych. Nie potrafię w sposób racjonalny wyjaśnić, na podstawie jakich kryteriów podjęto decyzję o otwarciu galerii, zwłaszcza że np. nie zdecydowano się na podobny krok w przypadku usług świadczonych poza nimi.

Na coś trzeba się zdecydować.

To prawda, nie neguję roli intuicji w polityce, zwłaszcza kiedy wciąż mamy tak niewiele danych. Trzeba mieć jednak świadomość, że efekty takich decyzji mogą być niepożądane.

Jakie?

Po początkowym dość karnym zachowaniu Polaków w przestrzeganiu restrykcji, po dwóch miesiącach są one traktowane w sposób coraz mniej poważny. Niestety niespójne oraz nielogiczne komunikaty władz odegrały tu swoją rolę. Dlatego nawet jeśli premier mówi dziś, że jest możliwe przywrócenie restrykcji, to Polacy niekoniecznie muszą przystać tak ochoczo jak w marcu na ponowne wejście w rzeczywistość z przykręcaniem śruby.

To co proponujecie?

Nasz model składa się z trzech elementów. Pierwszy to model diagnostyczny, opisujący sytuację, w jakiej się znajdujemy: pod kątem epidemicznym, społecznym, gospodarczym, i wskazujący kierunkowe decyzję co do łagodzenia lub zaostrzania restrykcji. Drugi to zbiór wszystkich możliwych restrykcji, którego celem jest próba wskazania rozwiązań najbardziej adekwatnych do obecnej sytuacji. Wreszcie trzeci element to model decyzyjny, mający w założeniu być wsparciem dla rządu.

Czy z waszych wyliczeń i badań wynika, które sektory można otworzyć szerzej, a które trzymać krótko?

Trudno wskazać precyzyjnie takie sektory gospodarki, które należy szybko otworzyć. Z naszych badań wynika jednak, zwłaszcza mając na uwadze wiele miesięcy walki z epidemią, które są przed nami, że na dziś nie powinniśmy dokonywać szybkiego luzowania restrykcji. Można się zastanowić nad otwarciem szkół – wśród zagranicznych ekspertów wzmacnia się przekonanie, że zamykanie szkół nie jest aż tak ważne, jak wydawało się jeszcze kilka tygodni temu. Powód jest prosty – działanie takie nie ma wielkiego wpływu na epidemię, a blokuje ono pracowników, którzy muszą pozostać w domu i zajmować się dziećmi. Oczywiście trzeba pamiętać, że Polska ze swoją specyficzną sytuacją mieszkaniową – znaczna część dzieci mieszka wciąż ze swoimi dziadkami – niekoniecznie musi się wpisywać w te wyniki międzynarodowych badań.

Czyli bardziej szkoły niż galerie. Co jeszcze?

Wiemy, że należy spodziewać się falowania epidemii. To jednak oznacza, że musimy spodziewać się okresowego łagodzenia restrykcji i ich zaostrzania. Musimy mieć zatem na stole precyzyjne i przejrzyste kryteria, kiedy luzujemy, a kiedy musimy dokręcić śrubę. Ten system musi być w miarę prosty, a przy tym zrozumiały, by ludzie go nie obchodzili, nie testowali skuteczności władz w tym zakresie. A z tym niestety zaczynamy mieć do czynienia.

Mówi pan o scenariuszu, w którym jako społeczeństwo uznajemy, że epidemia w sumie nie jest takim problemem, jak się wydawało.

Dlatego być może lepiej odsunąć zniesienie poszczególnych restrykcji o kilka tygodni i lepiej przygotować się do tego komunikacyjnie. Zwłaszcza że dodatkowe koszty społeczne czy gospodarcze mogą być niczym w porównaniu z kosztami spowodowanymi zbyt wczesnym poluzowaniem restrykcji. Nagły wzrost zachorowań zostanie potraktowany jako porażka rządu, co spowoduje podkopanie zaufania do władz i osłabi skuteczność polityki w przyszłości. Musimy pamiętać, że walka z epidemią to nie sprint na 100 m, ale raczej bieg na 3 tys. m z przeszkodami.

A są już jakieś oznaki spadku zaufania do władz?

Jeszcze tego nie wiemy, ale badania pokazują, że mniej więcej od 20 kwietnia, czyli po ogłoszeniu założeń czteroetapowego programu łagodzenia obostrzeń, kolejne komunikaty spotykały się z coraz mniejszym społecznym zainteresowaniem. Może jest tak, że po pierwszym sygnale od rządu, że będziemy gospodarkę otwierać, mogliśmy uznać jako społeczeństwo, że będzie tylko lepiej i łatwiej. A przecież tak być może, ale nie musi.

Sam tak uznałem. Ale może nie da się inaczej, może taki jest mechanizm psychologiczny.

Być może. Ale to dla rządzących ważny argument, że Polacy mogli stracić zainteresowanie tym, po co są restrykcje, i przeszli na tryb, że sami sobie ustalimy, co nam wolno, a czego nie. I nawet jeśli rząd będzie komunikował dalsze znoszenie lub

eprasa.pl 2c36a7c6d2

zaostrzanie restrykcji, to efekt może być znikomy, bo Polacy przyjęli, że idziemy ku luzowaniu i tyle.

Na ile dane, na których się opieracie: te dotyczące imprez masowych, transportu publicznego czy otwarcia się na spotkania w rodzinach czy ze znajomymi – są pewne? Modele matematyczne pokazywały, że pewne rzeczy są niewiadomą.

Absolutnie nie mamy dziś wiedzy co do skuteczności określonych restrykcji. Mamy dopiero pierwsze badania dotyczące szkół, które – jak powiedziałem – w polskich warunkach mogą się nie potwierdzić. Mamy różne modele zachowań społecznych, uwarunkowań kulturowych, gęstości zaludnienia itd. Nie da się więc porównać Szwecji i Polski. W naszym modelu badamy bardziej, jak sytuacja epidemiczna, społeczna czy wreszcie sytuacja rynku pracy, w sektorze przedsiębiorstw czy finansach publicznych, powinny się przekładać na politykę zarządzania restrykcjami.

I co wam wychodzi? Macie jakieś rekomendacje?

Dzisiaj, biorąc pod uwagę wszystkie dostępne dane, widzimy, że nie ma przestrzeni do wyraźnego luzowania restrykcji. Wiadomo jednak, że model jest uproszczeniem rzeczywistości. Dlatego też uwzględniamy w modelu informacje sygnalne – to, co nie wypływa wprost z danych, ale co możemy uznać za dobre lub złe rozwiązanie. Weźmy przykład otwarcia szkół – z modelu może wynikać, że szkoły można otworzyć, ale wiemy, że jest problem z dziećmi mieszkającymi na co dzień z osobami starszymi, dlatego szkoły zostają zamknięte. Ale trzeba to wszystko precyzyjnie komunikować.

Czy koniec końców nie jesteśmy skazani na wyczucie? Czy mamy inne narzędzia?

Musimy do jakiegoś stopnia polegać na intuicji, ale to byłoby optymalne, gdyby kryzys był krótkookresowy. Natomiast ten kryzys będzie trwał długo: ostateczny wynik wojny z epidemią, który poznamy pewnie dopiero za dwa lata, będzie sumą małych potyczek. Jeśli wygramy dziś mały bój, ale za kwartał poniesiemy sromotną klęskę, bo np. stracimy zaufanie społeczeństwa do władzy w zakresie restrykcji, to w dłuższej perspektywie będzie to zbyt kosztowne.

Krótko mówiąc: otwieramy ogródki piwne, ale dochodzi do dużego wzrostu liczby zakażeń, więc znów je zamykamy, a Polacy mówią: „Hola, hola! Miały być otwarte!".

Albo mówią: „Okej, zamykamy", ale gdy na nowo państwo je otworzy, to w to nie uwierzą i zostaną w domach. Zaufanie społeczne bardzo łatwo stracić.

No, ale inni wracają! Bundesliga ma grać za chwilę, to dlaczego polska Ekstraklasa nie?

Rozumiem, że to tylko przykład.

Ale bliski mojemu sercu.

Abstrahując od piłki nożnej: porównując się do innych krajów, musimy wziąć pod uwagę etap epidemii.

Fot. arch. prywatne

I to, że Lewandowski w Bayernie już trenuje, nie oznacza, że Legia też już może.

Dokładnie. I na odwrót.

Wspominacie w raporcie także o komunikacji ze strony władz.

Nie ma pewnie potrzeby codziennej konferencji prasowej, ale przekaz musi być spójny. Rząd musi unikać wrażenia, że ten proces jest chaotyczny. Nie do końca zrozumiałe zamykanie i szybkie otwieranie lasów już sprawiło, że społeczeństwo nie ma pełnego przekonania, że rząd wie, co robi. Trzeba spróbować odzyskać zaufanie Polaków, że leci z nami pilot. Wszystko po to, by społeczeństwo nie przeszło dzisiaj na model działania, w którym samo poustala sobie, co jest bezpieczne, a co nie.

Może te wszystkie czynniki, o których rozmawiamy, są na stole przy podejmowaniu decyzji przez zespoły zarządzania kryzysowego?

Mam głęboką nadzieję, że tak jest. Ale ten model decyzyjny nie jest dziś przejrzysty i komunikowalny.

Czego by pan oczekiwał?

Tego, że rządzący precyzyjnie powiedzą: jeśli w zakresie epidemii i gospodarki stanie się A, to podejmiemy decyzję X, a jeśli wydarzy się B, to zrobimy jakieś Y. Dzisiaj słyszymy o analizach i decyzjach, ale nie wychodzi to poza zamknięte gremia rządowe. A jeśli coś nie jest przejrzyste i weryfikowalne, to może budzić nieufność, że ta decyzja nie jest przemyślana.

No dobrze, a ten wasz model – kto was o to poprosił? Ktoś będzie te dane brał pod uwagę?

Opis proponowanego modelu przekazaliśmy kilka tygodni temu Ministerstwu Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Po zakończeniu prac – będzie publiczny, ale już teraz chętnie odpowiadamy na pytania. Czas bowiem ucieka.

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Nowy wspaniały świat Xi Jinpinga

Chiński aparat propagandowy pracuje na zdwojonych obrotach. Pisze historię pandemii koronawirusa na nowo, w czasie rzeczywistym. Robi to na miejscu w Chinach, ale tę samą propagandę usiłuje narzucić nam. Dominuje odgórnie nakazana amnezja – mówi w rozmowie z Aleksandrą Rybińską ***Kai Strittmatter***, wieloletni korespondent monachijskiego dziennika „Süddeutsche Zeitung" w Chinach, autor książki „Chiny 5.0. Jak powstaje cyfrowa dyktatura" (wydawnictwo W.A.B.)

Fot. Anton-Turovinin/Piper-Verlag

Partia Komunistyczna Chin wykorzystuje pandemię koronawirusa do tego, by zwiększyć nadzór nad obywatelami?

Kai Strittmatter: Chińczycy byli pierwszymi, którzy stworzyli aplikację z kodem informującym o zdrowiu użytkownika. W lutym tego roku. Aplikacja instalowana na smartfonach oznacza zarejestrowanych użytkowników specjalnymi flagami w kolorach zielonym, żółtym lub czerwonym. Zielony kod umożliwia swobodne poruszanie się. Osoba z kodem żółtym może zostać poproszona o pozostanie w domu przez siedem dni. Kolor czerwony oznacza dwutygodniową kwarantannę. Kody są sprawdzane m.in. w centrach handlowych, sklepach, na stacjach metra czy w innych środkach transportu publicznego. Ten system jest powoli wdrażany w całym kraju. Aplikacja jest efektem współpracy władz z platformą Art Financial, należącą do koncernu Alibaba. Bez tej aplikacji nie można się w zasadzie już w ogóle poruszać. Problem polega na tym, że nikt nie wie, jak ten algorytm dokładnie działa. Prawdopodobnie system czerpie z akt medycznych zarejestrowanych użytkowników i zbiera dane na temat ich profilu ruchowego.

Można by uznać to za praktyczne rozwiązanie, zresztą o ile wiem, wiele zachodnich krajów przygotowuje podobne systemy.

Możliwe, tyle że w Chinach nie ma czegoś takiego jak ochrona danych osobowych. Dziennik „New York Times" zbadał aplikację i odkrył, że system nie tylko decyduje w czasie rzeczywistym o stanie zdrowia użytkownika, lecz również zdaje się dzielić tymi informacjami z policją. Może to być jedna z pierwszych form zautomatyzowanej kontroli społecznej, która będzie wykorzystywana nie tylko w trakcie epidemii. To tak naprawdę aplikacja szpiegująca. W mojej książce piszę także o kamerach monitorujących na ulicach, wyposażonych w sztuczną inteligencję, czyli system rozpoznawania twarzy. Te kamery funkcjonują w Chinach od kilku miesięcy i są cały czas rozwijane. Rozpoznawanie twarzy to był początek, teraz te kamery rozpoznają także chód człowieka. Każdy z nas ma unikatowy sposób chodzenia. Gdy połączy się więc twarz z chodem, to trafność systemu się znacznie zwiększa. Identyfikacja staje się lepsza. W marcu, uzasadniając to pandemią, chińskie władze zamontowały te ulepszone kamery w Pekinie, Szanghaju i innych dużych miastach. Chińskie start-upy z dziedziny sztucznej inteligencji przerobiły je w ciągu zaledwie 10 dni, wbudowując w nie także termowizję.

Mimo to mało kto na Zachodzie zdaje się bić z tego powodu na alarm. Chiny już takie są, zdają się wszyscy mówić, demokracji i tak tam nigdy nie będzie, co nas to obchodzi. Współpraca z Państwem Środka daje przecież tyle możliwości, otwiera nowe perspektywy.

To nie do końca prawda. W ciągu ostatnich dwóch–trzech lat, co najmniej na Zachodzie, nastąpiło pewne rozczarowanie Chinami. Zachwyt Państwem Środka panował od połowy lat 90. do może pierwszej dekady lat 2000. Przejęcie władzy przez Xi Jinpinga w 2012 r. było pewną cezurą. Wtedy wróciłem do Chin, po dłuższym pobycie w Turcji, i zauważyłem, że nawet w kręgach gospodarczych zaczęło panować pewne otrzeźwienie. Ludzie się zorientowali, że coś się zmieniło. Ślepy entuzjazm, oparty na sporej dawce naiwności, zniknął. Oczywiście naiwność to tylko jeden element układanki, drugim był ogromny sukces gospodarczy Chin oraz przekonanie, że zbliżają się one coraz bardziej do Zachodu. Któryś z analityków

eprasa.pl 2c36a7c6d2

nazwał to „chińską fantazją". Chiny się zmieniają, stają się coraz bardziej takie jak my, musimy z nimi współpracować, handlować. To w naszym interesie.

W Niemczech ukuto w tym celu nawet hasło „Zmiana przez handel". Przyjedziemy tam z naszym kapitalizmem, a Chińczycy ulegną pokusie Zachodu. Stanie się to jakby automatycznie. Z systemem politycznym włącznie, zdemokratyzują się w końcu. Chiny zresztą już od ponad 30 lat nie przypominają komunistycznego kraju, którym oficjalnie pozostają. Nierówności są tam dziś większe niż w większości państw świata. Większe nawet niż w USA. To kraj ogromnych kontrastów, który zbija ludzi z tropu. Przez lata ignorowano więc to, co w Chinach mniej przyjemne, czyli łamanie praw człowieka, brak wolności.

Co spowodowało, że spojrzenie na Chiny się zmieniło?

Wraz z nastaniem rządów Xi Jinpinga stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Chiny jakby zaczęły się cofać do przeszłości. Przez te ostatnie 30 lat pojawiło się tam coś, co można nazwać społeczeństwem obywatelskim. Intelektualiści, artyści, poeci, ekolodzy, feministki. Było miejsce na krytykę władz i większość ludzi wierzyła w lepszą przyszłość. Panował optymizm. Przez cztery lata, po 2008 r., ludzie mieli możliwość otwartej dyskusji w mediach społecznościowych, mieli też dostęp do informacji o korupcji, która osiągnęła ogromne rozmiary. Rodzina ówczesnego premiera Chin zgromadziła 2,4 mld dol. majątku. Nietrudno sobie wyobrazić, że nie spotkało się to z aprobatą. Ludzie zaczęli wręcz polować na skorumpowanych działaczy KPCh. Moja chińska asystentka powiedziała mi wtedy, że godzina na portalu Weibo wystarczy na tydzień depresji. A nagle przyszedł Xi Jinping i cofnął wszystkie te wolności wynikające z trzech dekad reform i otwierania się na świat. System znów stał się represyjny.

Bo społeczeństwo zaczęło się wymykać spod kontroli?

Tak. Xi Jinping przejął kraj w 2012 r. głęboko skorumpowany, w którym społeczeństwo całkowicie straciło zaufanie do władz. Zaufanie zawsze jest problemem w krajach autorytarnych, ale szczególnie w Chinach, ze względu na rewolucję kulturalną. Do tego KPCh była w rozsypce, bo gdzieś po drodze zgubiła także ideologię. Pozostało tylko dążenie do bogacenia się. Nikt nie wierzył już w Marksa i Lenina. KPCh to było stowarzyszenie kleptokratów. Nic więcej.

Prawie wszystko, co robi od tego czasu Xi Jinping, to odpowiedź na sytuację, którą wtedy zastał. Próbuje uratować władzę partii. Liberałowie w KPCh mówili wtedy, że potrzeba reform – może nie od razu demokratycznych, ale co najmniej podziału władz, czyli niezależnych mediów i sądownictwa, by móc ścigać skorumpowanych działaczy. Mieli nadzieję, że Xi Jinping pójdzie w tym kierunku. Ale on wybrał zupełnie inną drogę, składającą się z dwóch części: represji i totalnego nadzoru. Wzmocnił klasyczne narzędzia dyktatury, przywracając KPCh kontrolę nad krajem. Znikają adwokaci, obrońcy praw człowieka, ekolodzy, lub są zastraszani i uciszani. Bo nie może być już żadnej organizacji poza KPCh. Wszystko musi się dziać, jak za czasów Mao, wewnątrz partii. Poza nią nie może być niczego, bo wtedy rzuca jej wyzwanie. To powrót do lat 50. Czasów gdy socjalizm był czysty i dobry.

Świat przeżył oczywiście wiele socjalistycznych reżimów w stylu lat 50., nie są one zbyt trwałe. Ale Xi Jinping drugą nogą stoi mocno w XXI w. Korzysta z narzędzi, które dają mu nowe technologie, zwłaszcza sztuczna inteligencja. Big data. Żaden inny rząd na świecie nie inwestuje tyle w nowe technologie. Algorytmy mają uczynić chiński system odpornym na kryzysy.

Ale system jest chyba wciąż niedoskonały, nie udało się bowiem zatuszować wybuchu epidemii w Wuhan. Do sieci trafiły choćby nagrania z miejscowych szpitali, zaprzeczające oficjalnej propagandzie.

To prawda, jeśli chodzi o pierwsze tygodnie po wybuchu epidemii. Jest to dowód na to, że cenzura i propaganda nigdy nie są idealne. W czasach normalnych nie robi to zresztą żadnej różnicy. Wtedy cenzura i propaganda nie muszą być wcale idealne, by były skuteczne. Ludzie są zadowoleni, a tych kilku dysydentów z łatwością da się uciszyć. Zresztą cenzura i propaganda służą nie tylko do nadzoru obywateli, lecz także do handlu i konsumpcji. Chiny to nie tylko „1984" George'a Orwella, ale także „Nowy wspaniały świat" Aldousa Huxleya, który opisywał przede wszystkim wypaczenia kapitalizmu. Konsumpcja jako opium dla ludu. Chiny robią jedno i drugie, co prowadzi do tego, że społeczeństwo jest odurzane dobrobytem. KPCh mówi Chińczykom, że mogą się bogacić, byleby tylko trzymali gęby na kłódkę. Jest to deal, który władze zawarły z Chińczykami po masakrze na Tiananmen w 1989 r.

Wytworzyła się klasa średnia, która jest największym sojusznikiem partii, bo najbardziej na tym dealu korzysta.

Fot. 360b/Shutterstock.com

Xi Jinping, prezydent Chin

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Jesteśmy blisko Ciebie

Dbamy o bezpieczeństwo energetyczne Polaków

Zapewniamy niskie ceny gazu dla gospodarstw domowych

PGNiG | DOBRA ENERGIA TANI GAZ

Kenrasa.pl 2c36a7c6d2

Taki był kontrakt społeczny: wy dacie nam dobrobyt i bezpieczeństwo, a my się całkowicie podporządkujemy. To funkcjonuje znakomicie tak długo, jak władza dostarcza to, co ludziom obiecała. System zaczyna mieć rysy wtedy, gdy przychodzi kryzys i cały układ przestaje funkcjonować. Tak jest właśnie w przypadku pandemii koronawirusa.

To, co się działo w Wuhan, zszokowało Chińczyków. Wszystkie te kłamstwa, próby zatuszowania epidemii, a przede wszystkim bezradność partyjnych władz. Do tego brutalne uciszanie tych, którzy próbowali ostrzec ludzi przed zarazą, jak lekarz Li Wenliang, który potem umarł na COVID-19. Złość ludzi była tak ogromna, że zaczęli kręcić po kryjomu filmy w Wuhan i wrzucać je do sieci, łamiąc barierę państwowej cenzury. System na chwilę stracił kontrolę nad krajem.

Tak się składa, że każde pokolenie Chińczyków doświadczyło wielkich kryzysów. Ostatnim była masakra na placu Tiananmen, a jeszcze wcześniej rewolucja kulturalna. Ci, którzy doświadczyli obu kryzysów i wciąż żyją, są najbardziej krytycznie nastawieni do obecnego systemu, bo wiedzą, do czego on jest zdolny. Najbardziej zadowoleni byli do niedawna młodzi Chińczycy, ale teraz uderzył w nich kryzys spowodowany epidemią. I przeżywają ogromny szok i bolesne przebudzenie. Nie wiadomo, czym to się skończy, ale wielu dotąd obojętnych młodych Chińczyków się upolityczniło. Nie jest im już wszystko jedno.

Jednak chińskie władze już odzyskały kontrolę nad sytuacją. Mało tego, przedstawiają się jako zbawiciel świata, wysyłając dotkniętym przez pandemię krajom maski ochronne i sprzęt medyczny. Kampania wizerunkowa trwa w najlepsze.

To prawda. Represje wróciły, i to ze zdwojoną siłą. Ci, którzy wrzucali filmiki z Wuhan, znikają. Bez śladu. Adwokaci, blogerzy, dziennikarze. Aresztowano także tych, którzy usiłowali przeciwdziałać cenzurze, tworząc archiwum wykasowanych przez cenzorów artykułów. Jednocześnie aparat propagandowy pracuje na zdwojonych obrotach. Pisze historię epidemii na nowo, w czasie rzeczywistym. Dominuje kolektywna amnezja, odgórnie nakazana. Robi to u siebie, tak jak robił zawsze. Skutecznie. Ale teraz wykracza poza Chiny.

Ponieważ zmienia się światowy ład, a Państwo Środka coraz bardziej agresywnie pozycjonuje się w jego centrum, staliśmy się po raz pierwszy przedmiotem chińskiej propagandy. Ta cała maseczkowa dyplomacja, czyli artykuły chińskich ambasadorów w czołowych europejskich gazetach w zamian za dostawy ubrań ochronnych i sprzętu medycznego, to jest właśnie to.

Ta gra jest oczywiście o wiele trudniejsza niż w Chinach, bo zachodnie społeczeństwa są pluralistyczne, ale mimo tego próbują z całych sił wcisnąć nam swoją wersję wydarzeń. Szukają także innych dróg wejścia, poprzez różne grupy interesów, think tanki, uniwersytety czy media. Wiele się u nas pisze i mówi o rosyjskiej dezinformacji, ale zdecydowanie za mało o chińskiej. To Pekin chce decydować o własnym wizerunku, o tym jak świat widzi Chiny. Przy okazji kryzysu epidemiologicznego mieliśmy więc okazję zobaczyć chińską kampanię dezinformacyjną w rosyjskim stylu. Na Twitterze, Facebooku tysiące botów miało za zadanie rozmyć pochodzenie wirusa. W wypowiedziach chińskich polityków, którzy próbowali winę zrzucić na USA czy Francję, oskarżając krytycznych polityków o rasizm. Wcześniej chińskie działania były o wiele bardziej subtelne, toczyły się jakby w tle. Choć były nie mniej groźne, bo Chiny mają o wiele większe zasoby niż Rosja i działają na szerszym froncie. Wchodzą do naszych uczelni, finansując profesury, jak choćby w niemieckiej Getyndze. W Czechach przekupili wielu polityków oraz kupili wpływowy dom medialny. W szwajcarskiej gazecie „Weltwoche" chiński ambasador od dawna ma stałą cotygodniową kolumnę, gdzie szerzy propagandę, a redakcja nie widzi w tym niczego zdrożnego. W końcu w zamian dostaje reklamy od chińskich koncernów, które załatwia jej chińska ambasada.

Czyli pytanie podstawowe: czy nastawienie do Chin zmieni się po tej pandemii?

Jestem ostrożnie optymistyczny. W ostatnich latach wielu ludzi na Zachodzie przejrzało na oczy. Natura reżimu chińskiego stała się widoczna. Nie da się jej ignorować. To nie oznacza oczywiście, że nie mamy prowadzić handlu z Chinami lub zamrozić z nimi relacje. Bynajmniej. Ale musimy być mniej naiwni i mieć świadomość, z kim mamy do czynienia. Jak działa ta leninowska dyktatura, kiedy kłamie i kiedy nas oszukuje.

Paradoksalnie ta fala propagandy, którą teraz widzimy, wywołała spore oburzenie, więc nie wszystko jest jeszcze stracone. Musimy się po prostu nauczyć mówić Chinom „nie". Nie tak jak Komisja Europejska, która ze strachu przed pogorszeniem relacji handlowych z Państwem Środka – i pod naciskiem Pekinu – złagodziła swój raport o chińskiej i rosyjskiej dezinformacji w trakcie pandemii. „Dezinformacja" w przypadku Państwa Środka została zmieniona na „agresywną narrację". Doszło już do tego, że Chiny współredagują w Brukseli raporty o sobie.

W sumie nie jestem zdziwiony, bo nie ma obecnie w Brukseli think tanku, w którym nie siedzieliby ludzie pod bezpośrednim wpływem Chin, lansujących ich narrację: że Chiny już są w zasadzie hegemonem, zaraz pokonają USA, a wzrostowi ich potęgi nie da się zapobiec, więc należy się od razu podporządkować. Oczywiście ci ludzie nie są koniecznie opłacani przez Chiny. Wystarczy prosty szantaż: odmowa wizy. Dla eksperta lub naukowca zajmującego się zawodowo Chinami dożywotni zakaz wjazdu do Państwa Środka oznaczałby koniec kariery. To często wystarcza, by taki ekspert sam mówił i pisał, co Pekin chce usłyszeć, a co najmniej tak, by móc jeszcze pojechać do Chin.

Mówił pan, że jest ostrożnym optymistą.

Jestem, bo Chiny jeszcze nie wygrały. Ale żeby się tak nie stało, musimy otworzyć oczy i mieć mocny kręgosłup. 20 lat mieszkałem w Chinach i wiem, że nie są one niezniszczalne ani nie mają lepszego systemu niż my. Nie rozumiem tego zmęczenia demokracją u nas. Nasz system wciąż jest lepszy, nie tylko bardziej ludzki, ale i bardziej efektywny.

Reklama | 48/0420/F

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Instrukcja obsługi Rosji

Cud nad Wisłą, wbrew chwytliwej nazwie, nie wziął się znikąd. Nieprzypadkowo zwycięstwo 1920 r. wyszło z polskiego kręgu kulturowego. Myśl powstrzymania i rozbicia imperium – wcześniej rosyjskiego, carskiego – została rzucona już w przeszłości, nawet w 1733 r. I to właśnie o szerszym okresie zmagań z tym jednym z największych państw świata opowiada najnowsza książka prof. Andrzeja Nowaka

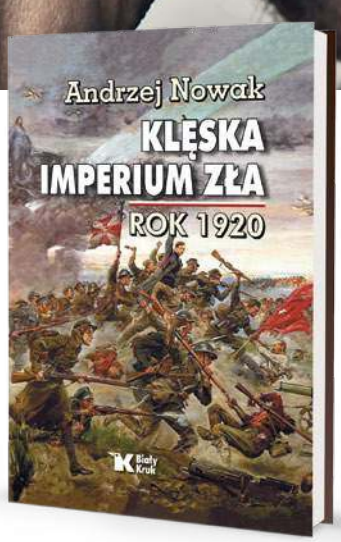

Aktywność prof. Andrzeja Nowaka – naukowa, prelekcyjna, publicystyczna – jest tak imponująca, że można by podejrzewać historyka o posiadanie sobowtóra, z którym dzieli się obowiązkami. Prawdopodobieństwa tej tezie dodaje niepozorne wydarzenie z 18 grudnia 2018 r., gdy prof. Andrzej Nowak brał udział w debacie z dr. Jackiem Bartosiakiem o 19.30 w Krakowie, przy czym tego

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

samego dnia o godzinie 16.30 profesor miał spotkanie w Polskiej Akademii Nauk... w Warszawie – i na obu spotkaniach był obecny, a zapis dyskusji z dr. Bartosiakiem jest nawet dostępny w internecie. Zapytany o dar bilokacji lub posiadanie sobowtóra, prof. Nowak zbył mnie tajemniczym uśmiechem, ale do tezy o niemożebności połączenia tylu

eprasa.pl 2c36a7c6d2

aktywności należy dodać kolejne przykłady. Zajęcia (wraz z całą papierologią) na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, praca w Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, serie wykładów i spotkań w różnych częściach kraju, naukowe wyjazdy zagraniczne, do tego kolejne artykuły i konferencje naukowe, publicystyka m.in. na portalu wPolityce.pl i w tygodniku „Sieci", audycje radiowe z redaktor Dorotą Truszczak, udzielanie wywiadów innym mediom i do tego średnio dwie książki rocznie, w tym tak monumentalne i nowatorskie jak kolejne tomy „Dziejów Polski", wszystko zaś docenione zarówno przez czytelników, jak i recenzentów, skłania do wniosku, że musi istnieć jakaś formuła takiej produktywności.

WIELKI ROK 1920

Pozostawiając na przyszłość odpowiedź na tę zagadkę, wypada nam odnotować ostatnią, 370-stronicową pracę o wojnie polsko-bolszewickiej, zatytułowaną „Klęska imperium zła. Rok 1920". Czteroczęściowa książka w połowie poświęcona jest samej wojnie z Rosją Sowiecką, przy czym nie jest to historia militarna – choć oczywiście autor opisuje zmagania wojskowe – ale raczej przedstawienie zmagań dwóch mechanizmów polityczno-kulturowych.

Kierownictwo bolszewickiej machiny dochodzi do wniosku, że nie może sprawnie funkcjonować, mając za swoją zachodnią granicą „zwartą barierę małych państw". Prof. Nowak przytacza fragment referatu jednego z oficerów Sztabu Polowego, Borisa Szaposznikowa, który właśnie Polskę widział jako zwornik bałtycko-czarnomorskiego pomostu. „Największą terytorialnie i najsilniejszą duchem odradzającego się narodu (...) jest Polska" – pisał Rosjanin w raporcie. Polska „z przyrodzonym »honorem« i rozwijającym się szowinizmem (...) najwidoczniej z wielką ochotą weźmie na siebie rolę »mesjasza« na Wschodzie" – analizował rolę naszego kraju Szaposznikow. Nakreślenie znaczenia Polski na wschodnioeuropejskiej scenie jest możliwe tylko na tle reszty kontynentu – tj. bierności Ententy wobec konfliktu (w innej książce profesor nazywa tę postawę „pierwszą zdradą Zachodu"), agresywności Kremla, ale także pewnej anomii społecznej, która umożliwiła bolszewikom zwycięstwa w Rosji, na Ukrainie i Białorusi. Dlatego historyk formułuje wniosek, który tak bardzo przeszkadza „postępowym" badaczom, że „setki tysięcy polskich chłopów (...) zdały egzamin z polskości. To nie byli już tylko »tutejsi«, to byli Polacy, świadomi wspólnoty losu z tymi, którzy ramię w ramię z nimi stali twardo pod Warszawą, Nasielskiem czy Włocławkiem – z ochotnikami z szeregów polskiej inteligencji, gimnazjalistami, studentami, z robotnikami".

Opisanie wojny 1919–1921 z uwzględnieniem potencjału kulturowego obu stron to dziś rzecz niesłychanie rzadka, ale bardzo wymowna. Świadomych swojej polskości żołnierzy można zestawić z ochotnikami Polskiej Armii Czerwonej,

Fot. Andrzej Wiktor

REKLAMA

52/0420/F

REKLAMA

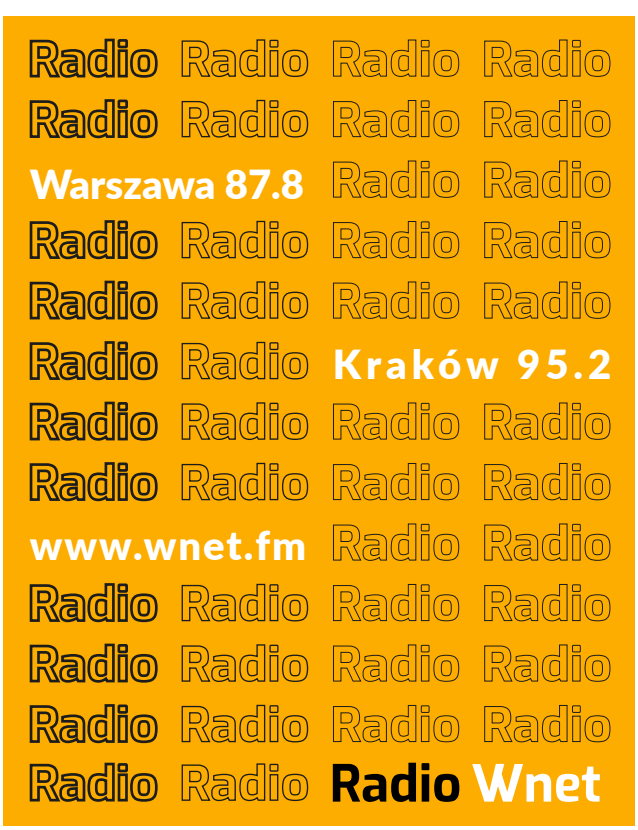

53/0420/F

eprasa.pl 2c36a7c6d2

którzy wycofując się do Mińska, stawili się przed obliczem polskich komunistów w liczbie... 35. Nic dziwnego, że rozbrajanie polskiej tożsamości narodowej stało się główną metodą pacyfikowania Rzeczypospolitej, skoro z takim kapitałem społecznym nasz kraj okazuje się niesłychanie trudny do podbicia.

WBREW GŁADKIM MITOM

Prof. Nowak rozbraja też w swojej książce mity publicystyczne na temat traktatu ryskiego czy postawy Piłsudskiego wobec wojny domowej w Rosji.

Wspomina o przekonaniu wielu komentatorów, jakoby w Rydze wydarzyła się zdrada polegająca na dobrowolnym oddaniu przez endecję Mińska czy innych rubieży bolszewikom. Tymczasem nie ma żadnego dowodu „na temat ewentualnego sprzeciwu Piłsudskiego wobec decyzji terytorialnej podejmowanej w Rydze”, dyplomaci polscy zaś „przeforsowali nie tyle wyrzeczenie się, ale raczej zamianę Mińska za strategiczny korytarz oddzielający Rosję Sowiecką od Litwy (...)”. Tylko ten „korytarz” umożliwił utrzymanie Rosji z dala od Litwy i od Niemiec, a więc geopolityczne marginalizowanie Kremla.

Inna bajka głosi, że należało sprzymierzyć się z białymi Rosjanami, by pokonać czerwonych. Przy czym Piłsudski miał, zdaniem prof. Nowaka, plany większe, Rzeczpospolita miała bowiem zastąpić w relacjach z Zachodem Rosję, miała się stać partnerem dla stolic Europy jako depozytariusz spraw tej części kontynentu – ze zwycięskimi białymi już z zasady – znając ich aspiracje, a także uznanie w zachodnich salonach – nie dałoby się tego zrealizować. Zresztą to biały gen. Denikin był problemem, skoro „do końca nie był gotów uznać własnej ślepoty politycznej, wykluczającej jakiekolwiek ustępstwa terytorialne na rzecz Polski”.

WSTECZ

O ile Henryk Łowmiański był jednym z ważniejszych autorów, którzy wyznaczyli rok 1480 (koniec zwierzchnictwa tatarskiego nad Moskwą) jako ten, w którym skończyła się polska czy szerzej – jagiellońska szansa na trwałą dominację nad Rosją, o tyle prof. Andrzej Nowak szuka innego przełomu – momentu, w którym Polacy zdali sobie sprawę, że Rosję trzeba po prostu rozpruć, najlepiej wzdłuż szwów narodowościowych. Początek tej idei, nazwanej później prometejską, autor wskazuje w tym samym czasie, kiedy po raz pierwszy w polskiej publicystyce pojawiło się słowo „niepodległość” – rok 1733. Te dwie wielkie idee narodziły się po śmierci Augusta II, gdy szlachta wybrała na króla Stanisława Leszczyńskiego, ale caryca Anna (a raczej jej ministrowie) postawili na Augusta III, za którym wstawiło się rosyjskie wojsko. Wtedy po raz pierwszy na tron Rzeczypospolitej monarcha wprowadzany jest pod lufami rosyjskich karabinów i wtedy po raz pierwszy szlachta zdaje sobie sprawę, że bez pozyskania peryferii Imperium Rosyjskiego sama sobie z Moskwą nie poradzi. „Ukraina, czyli peryferia, może być nazwana pierwszą świadomą peryferią rosyjskiego imperium: świadomą swej odrębności i gotową – przynajmniej w koncepcjach wąskiej części swych elit – do politycznego przeciwstawienia się rosyjskiemu centrum” – pisze prof. Nowak.

I właśnie wielką wartością dodaną tej pracy, będącej syntezą prometeizmu ze wskazaniem roku 1920 jako punktu kulminacyjnego tych zmagań, jest prześledzenie koncepcji politycznej zakładającej rozbicie „imperium zła”. Śledząc poczynania konfederatów barskich, myśl Maurycego Mochnackiego czy politykę Wielkiej Emigracji, widzimy ciągłość tej idei, o której nieprecyzyjnie, ale z pewną dozą trafności pisał Szaposznikow, jako o polskim mesjanizmie na Wschodzie. Tyle że na kartach prac prof. Nowaka nie jest to szaleństwo mesjanizmu, lecz przemyślana strategia pozyskiwania sprzymierzeńców nie tyle wśród rywali Moskwy, takich jak wielkie mocarstwa Zachodu, ile u jej ofiar – nad Morzem Czarnym, na Kaukazie i dalej.

> Wielką wartością dodaną tej pracy, będącej syntezą prometeizmu ze wskazaniem roku 1920 jako punktu kulminacyjnego tych zmagań, jest prześledzenie koncepcji politycznej zakładającej rozbicie „imperium zła”

WPRZÓD

W kontekście prowadzonej przez Rosję wojny informacyjnej z Zachodem, a także w dużej mierze z Polską, i osobistym atakiem Władimira Putina na historię II RP, szczególnie cenne wydadzą się ostatnie rozdziały „Klęski imperium zła”. Prof. Nowak analizuje w nich kłamstwa – tak to trzeba nazwać – rosyjskich historyków, publicystów i polityków. Pisze o dosadnych manipulacjach o polskiej rzekomej „rozpasanej rusofobii”, historykach rosyjskich fałszujących przeszłość, czy tzw. polskich realistach, czyli m.in. wpływowych autorach czasów rządów Donalda Tuska, którzy przejmując politykę historyczną w kraju, oddali pole rosyjskiej dezinformacji.

Prof. Nowak przypomina o wydanej przez PISM w 2010 r. księdze o relacjach polsko-rosyjskich albo o zakłamanej pracy historyka Michaiła Mieltjuchowa, który de facto stwierdza, że w 1920 r. Armia Czerwona przegrała... sama z sobą.

Nawet jeśli część tekstów z „Klęski imperium zła” była publikowana już wcześniej, to zebranie ich według klucza rosyjskiego, jako pakietu sowietologicznego, czy – jak z przymrużeniem oka komentuje prof. Nowak – imperiologicznego, dało wyczerpującą instrukcję obsługi polskiego prometeizmu i podsumowało kierunki działania wobec jednego z największych państw świata. W nadchodzących niebezpiecznych czasach ta instrukcja może się okazać szczególnie przydatna.

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Opaski życia od PZU

Innowacyjne na światową skalę rozwiązanie ma szansę pomóc w opiece nad zakażonymi koronawirusem. Dzięki PZU do szpitali trafi prawie tysiąc nowoczesnych urządzeń monitorujących zdrowie chorych

Inwestycja w zdrowie to inwestycja w przyszłość. W ten sposób PZU anonsował jesienią zeszłego roku realizowany we współpracy z Ministerstwem Zdrowia projekt „Opaska życia". Hasło było prorocze. W okresie pandemii tzw. opaski życia skutecznie wspierają personel medyczny w opiece nad pacjentami zarażonymi koronawirusem.

– Sięgamy po najnowocześniejsze technologicznie rozwiązania, żeby chronić zdrowie i życie zarażonych. Opaski życia pozwalają skuteczniej monitorować stan zdrowia chorych i umożliwiają szybką reakcję w krytycznych sytuacjach – mówi prezes PZU Beata Kozłowska-Chyła.

TECHNOLOGIE W SŁUŻBIE ZDROWIU

Opaska życia to zakładane na rękę urządzenie, które dokonuje pomiarów pulsu i temperatury ciała pacjenta, a także saturacji, czyli nasycenia krwi tlenem. Analizuje wyniki i natychmiast – sygnałem dźwiękowym i komunikatem na ekranie komputera – alarmuje personel medyczny, gdy parametry życiowe chorego spadną do krytycznych poziomów.

Opaska życia, certyfikowana medycznie, miała swoją premierę w październiku zeszłego roku podczas ekonomicznego Kongresu 590 w Jasionce pod Rzeszowem. – Technologie wspomagają organizację systemu ochrony zdrowia. Przy dobrym wykorzystaniu technologii telemedycznych jeden lekarz czy pielęgniarka są w stanie monitorować liczną rzeszę pacjentów – chwalił wówczas pomysł PZU minister zdrowia Łukasz Szumowski.

Wtórował mu doktor Mariusz Mioduski z Mazowieckiego Szpitala Wojewódzkiego w Siedlcach: – W sytuacji kiedy dochodzi do zagrożenia życia i zdrowia pacjenta, będziemy w stanie reagować szybciej. Liczy się każda sekunda – mówił. Właśnie siedlecki szpital zaczął wykorzystywać opaski życia jako pierwszy, wtedy jeszcze w ramach pilotażowego projektu.

WYJĄTKOWA SZANSA

Urządzenia zdały egzamin. – Teraz powinny się sprawdzić w trudnym momencie, gdy są najbardziej potrzebne – mówi członek zarządu PZU Życie Dorota Macieja. Gdy jeszcze w marcu, w imieniu PZU, zaproponowała Ministerstwu Zdrowia wykorzystanie opasek życia do opieki nad zakażonymi koronawirusem, reakcja była błyskawiczna: – Mamy wyjątkową szansę przetestować nowe rozwiązania w ochronie zdrowia – odpowiedział wiceminister zdrowia Janusz Cieszyński.

PZU w błyskawicznym czasie zorganizował produkcję nowych opasek skalibrowanych do potrzeb związanych z monitorowaniem zdrowia zakażonych koronawirusem. W efekcie prawie tysiąc urządzeń o wartości miliona złotych ma trafić do tzw. jednoimiennych szpitali zakaźnych, które opiekują się ofiarami pandemii. Pokryte gumą urządzenia łatwo dezynfekować, a więc mogą służyć kolejnym pacjentom bez ryzyka, że ulegną oni zakażeniu.

POLSKI WYNALAZEK

Opaski nie potrzebują częstego ładowania, co pozwala ograniczyć bezpośrednie kontakty personelu medycznego z chorymi. – Mają nie tylko wspomagać pracowników szpitali w sprawnej opiece nad pacjentami, lecz również chronić ich samych. Zdalne monitorowanie stanu zdrowia chorych zmniejsza ryzyko zakażenia się wirusem przez lekarzy i pielęgniarki, którzy z poświęceniem walczą z pandemią – mówi prezes PZU Życie Aleksandra Agatowska.

Podobną funkcję pełni jeszcze jedno wspierane przez Grupę PZU innowacyjne rozwiązanie. To wykonane z przezroczystej folii tzw. namioty barierowe dla zakażonych koronawirusem. Wynalazek polskiego lekarza zapobiega rozprzestrzenianiu się wirusa. – Separuje pacjenta od otoczenia, zapobiegając wydostawaniu się wirusów, które krążą w wydychanym przez chorego powietrzu – wyjaśnia pomysłodawca doktor Marcin Kaczor, kierownik Centrum Symulacji Medycznych Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Zbiórkę pieniędzy na zakup namiotów barierowych prowadzą pracownicy wszystkich spółek z Grupy PZU, w tym PZU, PZU Życie, Banku Pekao, Alior Banku i Link4. Do każdej zebranej przez pracowników złotówki spółki dołożą drugą. – Pomaganie należy do najważniejszych wartości, którymi się kierujemy – każdego dnia, nie tylko w czasie pandemii. Niesiemy pomoc jako spółki. Robią to też prywatnie nasi pracownicy. W okresie pandemii szyją maseczki, robią zakupy starszym osobom, drukują przyłbice w 3D, przekazują datki. Jako zarządy Grupy PZU chcemy pomóc pomagającym. Podwoimy zebraną przez pracowników kwotę, dzięki czemu do szpitali trafi dwa razy więcej namiotów barierowych – podkreśla prezes Agatowska.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 4/0520/F

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Ostatni wielki wódz

Pod Monte Cassino symbolicznie zamknęła się pewna epoka w dziejach Polski: wielkich zwycięstw w bitwach na otwartym polu z podniesioną przyłbicą

GRZEGORZ GÓRNY

Dokładnie pół wieku temu, 12 maja 1970 r., zmarł w Londynie gen. Władysław Anders. Miał wówczas 78 lat. Biografowie dzielą jego życie na trzy części. W pierwszym okresie zasłynął jako znakomity jeździec, kawalerzysta, porucznik szwadronu dragonów, zwycięzca wielu zawodów hippicznych, dowódca brygady kawalerii. Jeszcze po wielu latach – gdy już dawno porzucił konie dla wozów pancernych – wyobrażano go sobie wjeżdżającego do Polski na grzbiecie wierzchowca. W odróżnieniu od Piłsudskiego, przedstawianego zazwyczaj na kasztance, jego odmalowywano zawsze na białym koniu. Barwa nie była przypadkowa. W chrześcijańskiej ikonografii na białym rumaku przedstawiano najczęściej św. Jakuba – patrona Hiszpanii, wzywającego do walki z Maurami, oraz św. Jerzego – pogromcę smoka. Wielu Polaków miało nadzieję, że to właśnie Anders wypędzi z kraju czerwoną bestię.

Wspomniane oczekiwania związane były z trzecim okresem w życiu generała, spędzonym na emigracji w Londynie. Pełnił w tym czasie różne funkcje, m.in. generalnego inspektora sił zbrojnych czy naczelnego wodza armii polskiej, jednak znaczenie tych urzędów było bardziej symboliczne niż realne, ponieważ pozostawał generałem bez wojska. Jedyną szansą na powrót do ojczyzny był wybuch wojny między Zachodem a Sowietami, jednak ta nadzieja ulatniała się z każdym dniem. Nigdy nie wrócił do Polski, gdzie już w 1946 r. władze odebrały mu obywatelstwo (przywrócone dopiero pośmiertnie w 1989 r.). Przez ćwierć wieku był niewątpliwie najwybitniejszą postacią polskiej emigracji.

NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

Najważniejszym okresem w życiu Andersa okazała się jednak II wojna światowa, a zwłaszcza lata 1941–1945 związane z epopeją 2 Korpusu. Gdy Niemcy napadli na Rzeczpospolitą, był dowódcą Nowogródzkiej Brygady Kawalerii. Miał już za sobą bogate doświadczenie frontowe: podczas I wojny światowej jako oficer rosyjskiej armii był trzykrotnie ranny, brał udział w tworzeniu 1 Korpusu Polskiego gen. Dowbora-Muśnickiego, był szefem sztabu Armii Wielkopolskiej podczas powstania wielkopolskiego, w końcu dowodził pułkiem ułanów w wojnie polsko-bolszewickiej, odnosząc rany w bitwie nad Berezyną. W II RP stale awansował w hierarchii wojskowej. Nie przeszkodziło temu nawet to, że

eprasa.pl 2c36a7c6d2

podczas zamachu majowego w 1926 r. sprzeciwił się Piłsudskiemu.

Jerzy Giedroyc wspominał: „Był to jedyny oficer, do którego, chociaż opowiedział się po stronie prezydenta Wojciechowskiego, Piłsudski odniósł się bardzo pozytywnie i którego nawet awansował; uważał, że Anders zachował się z klasą, działając zgodnie z dyscypliną wojskową, ale bez żadnych kombinacji politycznych".

W 1939 r. walczył w kampanii wrześniowej, dwukrotnie był ranny, dostał się do niewoli sowieckiej. Przez 22 miesiące przetrzymywano go w ciężkich więzieniach (Brygidki we Lwowie, Łubianka i Butyrki w Moskwie), gdzie był okrutnie przesłuchiwany i nakłaniany do wstąpienia do Armii Czerwonej. Nie ugiął się.

Sytuacja zmieniła się po 22 czerwca 1941 r. i napaści Trzeciej Rzeszy na Związek Sowiecki. Z dnia na dzień Stalin, najlepszy sojusznik Hitlera, stał się członkiem koalicji antyhitlerowskiej. W lipcu podpisany został układ Sikorski-Majski, na mocy którego zaczęto tworzyć na terenie ZSRS polską armię dowodzoną przez Andersa i złożoną z obywateli RP, którzy po 1939 r. znaleźli się pod okupacją sowiecką. Wielu z nich trafiło do łagrów i dzięki nowej konfiguracji geopolitycznej odzyskało wolność.

W nowo tworzonym wojsku brakowało jednak ponad 20 tys. oficerów, o których wiadomo było, że w 1939 r. trafili do niewoli sowieckiej, lecz wszelki ślad po nich zaginął. W rozmowie z polską delegacją Stalin bezradnie rozkładał ręce, mówiąc, że nic nie wie o ich losie, wyrażając zarazem przypuszczenie, że być może uciekli do Mandżurii. Dał jednak Andersowi wolną rękę, by ten poszukiwał przepadłych bez wieści jeńców. Generał powierzył to zadanie Józefowi Czapskiemu, który po latach wspominał, że Anders nie bał się wchodzić w ostre starcia z najwyższymi dygnitarzami Gułagu, byle dowiedzieć się czegoś o zaginionych kolegach, choć powodowało to nieustanne zadrażnienia z władzami sowieckimi. Gdy zbliżał się czas wyjścia z ZSRS, a przepadłych bez śladu nie udało się odnaleźć, Anders powiedział Czapskiemu: „Wiesz, ja już od dawna traktuję ich jako ludzi, co zginęli w wielkiej bitwie o Polsce".

Mówił tak, ponieważ zbyt dobrze znał Rosję i komunizm. Nie ufał Stalinowi w odróżnieniu od wielu polityków zachodnich, a nawet niektórych polskich. Gdy nadarzyła się pierwsza okazja, by wyprowadzić armię z ZSRS i przyłączyć ją do zachodnich aliantów, skorzystał z tego bez wahania. Ewa Berberyusz, autorka biografii generała, stwierdzała: „Zagrał swoją rolę: najpierw »uwiódł«, a potem »wykołował« Stalina. Wykorzystał do tego koniunkturę polityczną, bardzo krótką zresztą. W świetle dokumentów można powiedzieć, że gdyby nie on, nikt by z Rosji nie uszedł".

Ewa Berberyusz, autorka biografii generała, stwierdzała: „Zagrał swoją rolę: najpierw »uwiódł«, a potem »wykołował« Stalina. Wykorzystał do tego koniunkturę polityczną, bardzo krótką zresztą. W świetle dokumentów można powiedzieć, że gdyby nie on, nikt by z Rosji nie uszedł"

RZECZPOSPOLITA W MINIATURZE

Wyprowadził stamtąd coś więcej niż tylko wojsko, a mianowicie liczącą 120 tys. osób społeczność, będącą Rzecząpospolitą w miniaturze. Jak pisał Józef Czapski: „W czasie, kiedy w Polsce nie było ani jednego uniwersytetu, ani jednej jawnej szkoły średniej, ani jednego wydawnictwa; kiedy panowała maksymalna segregacja narodowa z wytępieniem fizycznym całego narodu żydowskiego na naszej ziemi – próba generała Andersa stworzenia, w ramach wojska na obczyźnie struktury społecznej żywej, mocnej i giętkiej zarazem, w tradycji liberalnej, społeczności wielonarodowej – powinna pozostać w naszej pamięci jako testament na przyszłość".

Sam Anders był spadkobiercą wieloetnicznej i wieloreligijnej Rzeczypospolitej. Wywodził się z rodziny luterańskiej o korzeniach niemieckich, szwedzkich i węgierskich. Stworzony przez niego Korpus był taką właśnie Rzecząpospolitą w mikroskali, skupiającą robotników, chłopów i ziemian; endeków, chadeków, ludowców i socjalistów, Polaków, Żydów, Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Ormian i Tatarów, rzymskich i greckich katolików, prawosławnych, protestantów, wyznawców judaizmu, a nawet islamu. Generał łamał rozporządzenia Sowietów, którzy zakazywali mu przyjmowania do wojska przedstawicieli mniejszości narodowych. Stalin uważał, że są oni obywatelami ZSRS, Anders – że obywatelami RP. To generał postawił na swoim.

W Jerozolimie poznałem rabina 2 Korpusu Pinchasa Rosengartena, który opowiadał mi, jak osobiście zarekomendował Andersowi przyjęcie do swojej armii innego więźnia sowieckich łagrów Mieczysława Bieguna, później znanego bardziej jako Menachem Begin – premier Izraela i laureat Pokojowej Nagrody Nobla.

Rosengarten wspominał, że gdy płynął przez Morze Kaspijskie statkiem, którym rzucały olbrzymie fale, rozmyślał o historii opisanej w Księdze Wyjścia. Podobnie jak inni pasażerowie czuł się wówczas niczym Izraelici uciekający z niewoli egipskiej przed okrutnym faraonem. Podobnie jak oni trafił też do Ziemi Obiecanej – znalazł się w Palestynie. Dla niego, łagiernika z Peczory i Workuty, Anders stanowił jakby współczesny odpowiednik Mojżesza.

WIELKA EPOPEJA

Epopeja 2 Korpusu Polskiego obejmuje kilka kontynentów. Ci, którzy przebyli ten szlak w całości, przemierzyli łącznie 12,5 tys. km w ciągu 1334 dni. Aż dziw bierze, że jedyną dotychczas monografię armii Andersa napisał

eprasa.pl 2c36a7c6d2

całkiem niedawno Norman Davies, który wspólnie z fotografem Januszem Rosikoniem odbył podróż do miejsc związanych z tą jedyną w swoim rodzaju XX-wieczną anabazą – od Rosji, przez Iran i Izrael, do Włoch i Wielkiej Brytanii. W efekcie powstała bogato ilustrowana książka „Szlak nadziei", licząca 600 stron i 700 fotografii, w tym bardzo wiele publikowanych po raz pierwszy.

Jak pisze brytyjski historyk: „Zupełnie czym innym jest napisać, że »generał Anders był więziony w Moskwie przez stalinowskie NKWD«, a czym innym stać przed świeżo odmalowanym budynkiem więzienia na Łubiance, widzieć honory oddawane tam Feliksowi Dzierżyńskiemu i uświadomić sobie, że dzisiejsza Rosja wcale się tak bardzo nie zmieniła". Przecież dziś można tam zostać skazanym za słowa, że w 1939 r. Trzecia Rzesza wspólnie ze Związkiem Sowieckim napadły na Polskę i dokonały rozbioru Rzeczypospolitej. Za takie właśnie stwierdzenie został niedawno ukarany grzywną 200 tys. rubli (wówczas ok. 12 tys. zł) Władimir Łuzgin, bloger z Permu na Uralu, któremu zarzucono „rehabilitację nazizmu". Po II wojnie światowej sympatycy komunizmu na Zachodzie o to samo oskarżali Andersa, gdy mówił, iż mordu w Katyniu dokonali Sowieci.

Davies twierdzi, że fenomen armii Andersa był wyjątkowy jeszcze z jednego powodu – pierwszy raz tak wielka grupa osób zdołała wydostać się z Gułagu i znalazła się na Zachodzie. Przyniosła ze sobą olbrzymią wiedzę na temat funkcjonowania sowieckiego systemu. Generał był świadom tego, dlatego jeszcze w Palestynie nakazał stworzenie muzeum 2 Korpusu, które prowadził Walerian Charkiewicz. Na jego polecenie zbierano materiały i spisywano relacje wszystkich, którzy przeszli przez sowieckie łagry. Tak powstało tzw. archiwum Andersa, przechowywane dziś w Instytucie Hoovera przy uniwersytecie Stanforda. Kiedy Aleksander Sołżenicyn, już po wydaniu „Archipelagu Gułag", zapoznał się z tymi świadectwami, był wstrząśnięty, ponieważ zawierały one bardzo wiele konkretnych informacji o łagrach, o których wcześniej nie miał pojęcia.

Sam generał zapisał się w pamięci swoich podkomendnych jako wyjątkowy dowódca. Jerzy Giedroyc wspominał: „Anders doskonale znał nazwiska ludzi, pamiętał każdego, umiał porozumieć się z żołnierzem, nawiązać z nim od razu jakąś nić sympatii. Sikorski natomiast (...) był człowiekiem zupełnie drewnianym, pozbawionym wyczucia. Toteż Anders był niesłychanie popularny w wojsku".

Według innego żołnierza 2 Korpusu, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, generał jak nikt potrafił motywować swoich ludzi. Dzięki temu szli w bój z wolą zwycięstwa, jak było pod Monte Cassino. Jak pisał autor „Innego świata": „Była to bez wątpienia bitwa wielka. Chcieliśmy jej, żyliśmy myślą o niej w Palestynie, w Iraku, w Egipcie, szkoląc się na pustyni, nasłuchując wiadomości z Polski. (...) Istnieją procesy, które raz wprawione w ruch i ciągle podsycane, nie dają się powstrzymać o krok bez spełnienia bez ryzyka duchowej kapitulacji na długie lata. Historia Armii Krajowej zmierzała od początku ku Powstaniu, jak w historię Drugiego Korpusu od początku wpisana była Bitwa".

Według Herlinga-Grudzińskiego pod Monte Cassino symbolicznie zamknęła się pewna epoka w dziejach Polski: otwartej walki zbrojnej. Potem pozostała już tylko walka skryta i konspiracyjna. Dlatego Andersa stawiać można, obok Chodkiewicza, Żółkiewskiego, Sobieskiego czy Piłsudskiego, jako ostatniego w długim szeregu wielkich wodzów polskich. Nie dane mu było dożyć wolnej ojczyzny. Spoczął ze swoimi żołnierzami pod Monte Cassino.

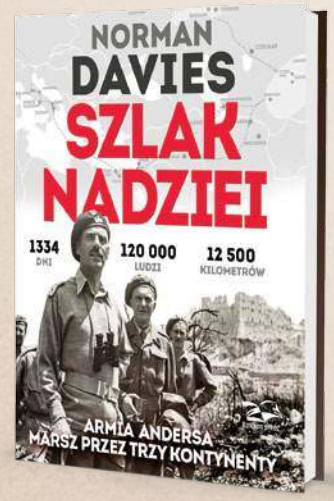

Wszystkie zdjęcia wykorzystane w tekście pochodzą z książki Normana Daviesa „Szlak nadziei" (Wyd. Rosikon-Press)

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Była Aurorą, będzie carycą

Najpierw było głośno o jej starszej siostrze. Teraz Elle Fanning wyprzedziła Dakotę o kilka filmowych długości. Od 16 maja możemy ją oglądać w komediowej produkcji HBO „Wielka", gdzie zagrała przyszłą rosyjską carycę

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl 2c36a7c6d2

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

9 kwietnia skończyła 22 lata, a od prawie dwóch dekad pojawia się na dużym ekranie. Stawała przed kamerą u boku takich sław jak Angelina Jolie, Brad Pitt, Joaquin Phoenix, Cate Blanchett, Denzel Washington, Susan Sarandon czy Scarlett Johansson. Pracowała z filmowcami o znakomitych, wielkich nazwiskach. Teraz sama może mówić o sobie: „Wielka".

NAJPIERW DAKOTA

Elle Fanning zadebiutowała w 2001 r. (w filmie „Sam") jako młodsza wersja bohaterki, w którą wcieliła się jej siostra Dakota – cudowne dziecko odkryte przez kino, pochodzące bynajmniej nie z filmowej familii.

Rodzice Hannah Dakoty i Mary Elle byli związani ze sportem – ojciec grał zawodowo w baseball, mama była tenisistką – tymczasem ich starsza córka przebojem weszła do filmowej branży.

Trafiła przed kamery jako siedmiolatka, ale wyglądała na znacznie mniej, była drobniutka, więc dłużej mogła grać małe dzieci, o wiele więcej od maluchów na planie rozumiejąc. Szybko wydeptała sobie – a potem także młodszej o cztery lata siostrze – drogę do Hollywood.

Dakocie wróżono świetlaną filmową przyszłość. Zachwycano się swobodą, z jaką zmierzyła się z rozmachem i dramatyzmem „Wojny światów" (2005) wykreowanej przez samego Stevena Spielberga, w której jej ojca grał nie kto inny jak Tom Cruise.

Jednak dziś, mimo imponującej listy filmów na koncie starszej panny Fanning, to młodsza siostra ma więcej możliwości do grania.

NADCHODZI ELLE

Na początku przydawała się na planie jako młodsza wersja Dakoty. W 2003 r. zaangażowano ją, już samodzielnie, do familijnej produkcji „Małolaty u taty", gdzie grał m.in. Eddie Murphy. Potem jako dziecko trafiła na plan filmów: „Drzwi w podłodze"(na podstawie książki Johna Irvinga z Jeffem Bridgesem i Kim Basinger), „Babel" (2006) Alejandra Gonzáleza Iñárritu czy „Ciekawy przypadek Benjamina Buttona"(2008) Davida Finchera (w obu produkcjach spotkała Brada Pitta i Cate Blanchett).

Ponieważ szybciej niż siostra zaczęła rosnąć i wyglądać na starszą (Dakota ma dziś 1,63 m, Elle 1,75 m wzrostu) Sofia Coppola, w nagrodzonej Złotym Lwem produkcji „Somewhere. Między miejscami" (2010) dała jej rolę nastoletniej córki głównego bohatera.

Cztery lata później, jako księżniczka Aurora, spotkała na planie „Czarownicy" Angelinę Jolie. W 2019 r. premierę miała druga część filmu. W tym samym roku do kin weszła produkcja Woody'ego Allena „W deszczowy dzień w Nowym Jorku", w której Elle zagrała główną rolę.

W eksperymentalnym wizualnie „Neon Demon" (2016) Nicolasa Windinga Refna grana przez nią bohaterka wchodziła w niebezpieczny świat mody. Elle mogliśmy też oglądać w roli polskiej nastolatki, która bierze udział w brytyjskiej edycji talent show. Matkę bohaterki „Mojej gwiazdy: Teen Spirit" (2018) zagrała Agnieszka Grochowska.

CZAS NA KATARZYNĘ

Rok temu 21-letnią Elle Fanning zaproszono do jury głównego konkursu festiwalu w Cannes. W wywiadach mówiła wtedy, że marzy o reżyserii, a na czerwonym dywanie zachwycała kreacjami. Dziś wrzuca na Instagram zdjęcia bez makijażu, ale zaraz obok umieszcza kadry z najnowszej produkcji. Była już na ekranie baśniową księżniczką, teraz w historycznych strojach i komediowym stylu opowie o młodości Katarzyny Wielkiej.

Dziesięcioodcinkowy serial pt. „Wielka" ma pokazać drogę, jaką pokonała przyszła caryca od „nikomu nieznanej outsiderki do najdłużej panującej kobiety w historii Rosji". Wybrane historyczne fakty posłużyły do zrealizowania, jak podkreślają twórcy, fikcyjnej i satyrycznej fabuły. Opowieści o zderzeniu marzeń i rzeczywistości. Co może zrobić romantyczna dziewczyna, która przybyła do Rosji, by wejść w zaaranżowane małżeństwo, a zamiast miłości i szczęścia odkrywa niebezpieczny i zdeprawowany świat? Może spróbować go zmienić.

Elle Fanning towarzyszy przed kamerą Nicholas Hoult jako car Piotr. Pomysłodawcą, autorem i producentem serialu jest Tony McNamara, autor scenariusza do filmu „Faworyta".

Premiera „Wielkiej" („The Great") odbędzie się 16 maja w HBO GO. Na antenę HBO serial trafi 2 czerwca.

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl 2c36a7c6d2

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Rojst" – smutek PRL

Z pandemii wszyscy wyjdziemy całkowicie online – powiedział mi kolega dziennikarz. I rzeczywiście, rozmawiam ze światem przez Skype'a. Odkryłem też Netflixa, na którego nigdy nie starczało czasu. Stąd moje cofnięcie się w niedawną przeszłość, bo dla mnie jest ona nowością.

Zrobił na mnie wrażenie serial „Rojst" sprzed dwóch lat. Dzieło Jana Holoubka, świetnego operatora, który postanowił być reżyserem. Syn pary sławnych aktorów, Gustawa Holoubka i Magdy Zawadzkiej, jest także współautorem scenariusza. Rzadko kiedy ktoś tak plastycznie poczynał sobie z polską rzeczywistością. Na dokładkę nie tą całkiem obecną, a z niedawnej przeszłości. Rzecz dzieje się w prowincjonalnym mieście w połowie lat 80.

Formalnie mamy kryminał. Dwie odrębne początkowo historie, połączone osobami dwóch dziennikarzy lokalnej gazety, którzy zajmują się nimi z przypadku. Jedna to zabójstwo miejscowego działacza młodzieżowego i sportowego oraz miejscowej prostytutki. Druga – samobójstwo zakochanej w sobie pary licealistów. Od początku czujemy, że to trochę pretekst. Chodzi o zbiorowy portret miasta.

Portret zgodny z archetypem wszelkiej prowincji. Smutnej, pełnej życiowych rozbitków marzących o wyjeździe. Tu jest on jeszcze przemnożony przez rzeczywistość tzw. Ziem Odzyskanych, gdzie nikt nie jest naprawdę stąd, a nad okolicznymi lasami wiszą tajemnice roku 1945. Ale mamy też nieźle uchwycony historyczny moment. Tak, to ten dziwny moment w dziejach PRL „normalizacji", po stanie wojennym będącej tak naprawdę beznadzieją, zapaścią.

Niewiele się tu mówi o polityce, a jednak pokazywałbym ten serial młodym pytającym, na czym polegała autorytarna natura PRL. W tym przypadku pojęcie „miejscowe układy" wiedzie nas bowiem wprost do wszechwładzy pezetpeerowskiej nomenklatury. No i te świetnie uchwycone szczegóły. Sklep Pewex jako centrum interesów i swoistego życia uczuciowego. Jedyny hotel będący równocześnie burdelem, ale i miejscem, gdzie spotyka się miejscowa śmietanka (znakomicie to sportretowano w teledysku, w którym Monika Brodka śpiewa piosenkę Izabeli Trojanowskiej z tamtych czasów).

Gdy mowa o wykonaniu, trzeba pochwalić plenery wydobywające brzydotę prowincji, te wszystkie blokowiska, zaniedbane poniemieckie domki, zaułki. No i gra aktorów. Nie poznałem Dawida Ogrodnika grającego znakomicie młodszego z dziennikarzy. Bardzo dobrze partnerują mu w swoistym trójkącie Zofia Wichłacz i Magdalena Walach. Ale serial to przede wszystkim popis starych mistrzów. Odmłodzony Andrzej Seweryn kapitalnie wywiązuje się z roli zgorzkniałego wyjadacza. Obok Zdzisław Wardejn, Piotr Fronczewski. Dziwiono się, dlaczego promocję serialu oparto na Fronczewskim, choć – jako dyrektor hotelu – pojawia się ledwie w trzech scenach. Ale jakież to pojawienia, to się nazywa aktorska charyzma.

Wynosimy z tego serialu przeraźliwy smutek – dotyczy to zwłaszcza losu pary młodych. Do beczki miodu trzeba niestety dodać łyżkę dziegciu. Serial ma niejasne, jakby ucięte zakończenie. Ma się wrażenie, że przydałby się jeszcze jeden odcinek. Ani wszystkiego się do końca nie wyjaśnia, ani nie zapowiada dalszego ciągu.

Odpowiedź jest prosta. Showmax, który firmował serial, popadł w finansowe kłopoty. Holoubek musiał kończyć przed czasem. Zamiast sześciu odcinków zostało pięć – w dyspozycji Netflixa. A jednak warto oglądać, warto się zadumać. Choć pociechy w tym serialu za wiele nie znajdziecie.

Piotr Zaremba

epraasa.pl 2e3ea7c6d2

Wojciech Stanisławski

Różne demony

W ile przebrań chronić się jeszcze będzie musiała powieść opisująca starcia idei, haseł, nieraz demagogii obecnych w Polsce drugiej dekady XXI w.?

Smakosze literatury znają powieści, w których akcja jest zaledwie sztafażem, w których mniejsze znaczenie ma ekwilibrystyka słowna: tak naprawdę idzie w nich o zderzenie racji, o pojedynek idei. „W czasie tych schadzek parzy się ledwie herbata" – można by podsumować tego rodzaju powieści (dla których niedościgłym wzorem pozostaje „Czarodziejska góra") smacznym cytatem z Szymborskiej.

Czy „Horror licealny" należy do tego rodzaju powieści? I tak, i nie. Upodobanie autora do horrorów (upodobanie, o którym wiedzą czytelnicy jego debiutanckiej „Plamy na suficie", i które on sam deklaruje na okładce) znalazło ujście. W najnowszej powieści Piotra Zaremby do głosu dochodzą siły złe i nadprzyrodzone, pojawiają się i ofiary, i zjawiska prawdziwie niesamowite, i nawet niektóre akcesoria i sceny, bez których szanujący się horror nie powinien się obejść.

Więcej: akcja tej powieści dzieje się nie w wyciętym przez scenografa z tektury karpackim zamku lub w lesie czy mieszkaniu, które mogłoby być wszędzie, bo stanowi zaledwie tło akcji. „Horror licealny" toczy się między Saską Kępą, Grochowem, Aninem a Międzylesiem, tak plastyczny, że za pół wieku będzie mógł posłużyć za źródło wiedzy o modach, samochodach i obyczajach. A skoro tak, nie może w nim również zabraknąć policji i mafii. Zło, które dojdzie do głosu, zrani szeroki krąg uczniów, nauczycieli i rodzin, pozostaje obecne przez ponad rok, dociekanie, co właściwie się stało, trwa jeszcze dłużej. Skoro zaś tak, nie mamy do czynienia z kameralnym opisem: w sprawę zaangażowane są policja i prokuratura, mafia i media, a to sprawia, że nie zabraknie w „Horrorze" ani wartkiej akcji (listy gończe, wykrywacze metalu, huk wystrzałów), ani śledztwa, groteskowego, bo inne w takim przypadku być nie może. Złemu nie sposób przecież założyć kajdanek, przekonuje się o tym nie tylko komisarz z komendy stołecznej, podtatusiały jak Colombo,

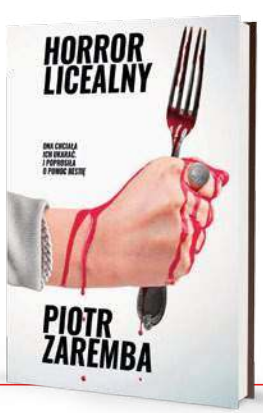

Piotr Zaremba, „Horror licealny", Wydawnictwo Warszawskie, 2020

choć bez jego uroku; kilkadziesiąt lat temu przekonali się o tym (w powieści) legendarnie sprawni moskiewscy śledczy, daremnie ścigający Wolanda i jego świtę.

Kto więc chce horroru, w którym opętanie rodzi się trochę za sprawą seansu spirytystycznego, a trochę obłędu, będzie miał horror. Kto lubi powieść sensacyjną, taką, którą czyta się w niewygodnej pozie, zapominając o czajniku zostawionym na gazie, będzie miał sensację. Ja najbardziej cieszę się na przeniesienie do książki części bodaj wielkich sporów, które dzielą Polskę ostatniej dekady.

To niby dziwne, bo na brak sporów nie sposób dziś narzekać: wszystkie media lamentują nad brutalizacją debaty, nad hejtem i pogardą (choć, jak się wydaje, żadne nie jest od nich całkiem wolne: cała różnica w tym, że jedne walą jak obuchem, inne sączą jad półgębkiem), wszyscy komentatorzy zwracają uwagę na głębię podziałów w polskim społeczeństwie. Tyle że „Horror licealny" odmalowuje (wreszcie!) te spory z perspektywy, jakiej oczekujemy od powieści: uważnie, z próbą zrozumienia racji każdej ze stron – co nie znaczy, że całkiem bezstronnie. Sympatii i antypatii Zaremby, jego niechęci do zapiekłości, do wściekłych radykalizmów (dziś częściej prezentowanych przez środowiska nowej lewicy) może domyśleć się każdy, kto zna jego analizy polityczne, jego sztuki radiowe, jego wcześniejsze powieści. Ale też każdy z czytelników Zaremby znajdzie w tej powieści to, co wydaje się stanowić wspólną cechę jego pisania na bardzo różne tematy: uważnego badania racji, uwzględniania wszystkich czynników. Bilans prywatnych zranień, tradycji środowiska, potrzeb i namiętności jest w przypadku każdego człowieka i każdej strony sporu inny i dopiero uwzględniwszy je, możemy uznać, że zbliżyliśmy się do prawdy. Oczywiście są tacy, którzy nazwą taki tryb działania dzieleniem włosa na czworo, zwanej w żartobliwej łacinie

eprasa.pl 2c36a7c6d2

tetrapilektomią. Alternatywą jednak dla takiej tetrapilektomii jest, pozwólmy sobie na kalambur, łysina: gładko wygolona łysina dresiarza, który zna tylko jedną prawdę, własną, „najmojszą" – i tylko jej jest ciekaw.

Dzięki Zarembowemu dzieleniu włosa na czworo otrzymujemy przede wszystkim portret retoryki i zachowań feminizmu nowej generacji: często agresywnego do granic absurdu, postulującego rozwiązania albo całkowicie nierealne, albo oznaczające destrukcję ładu społecznego i języka, jakie znamy. Czasem zaś zredukowanego do czystej mizoandrii, nienawiści do mężczyzn jako takich, zasługujących jedynie na fizyczną eliminację albo zredukowanie do pozycji permanentnie gorszych „potencjalnych gwałcicieli", którym należy wdrukować poprzez odpowiednie wychowanie blokady i poczucie winy.

Znamy takie postawy, ba, znamy liczne ich szydercze opisy, dokonywane przez obrońców ładu i tradycji. Tyle że Zaremba jest powieściopisarzem, nie autorem pamfletów czy felietonów, w których głównym źródłem humoru jest przekręcanie brzmienia nazwisk. Opisując więc feministyczny żar i zgiełk, potrafi też dostrzec stojące za nim racje: doświadczenie własnej lub cudzej krzywdy, „machismo", które bywa nużące nawet w niewielkich dawkach, niepewność siebie, urody, ciała, która dla podatnej na zranienie, uczącej się nowych reguł życia społecznego nastolatki naprawdę może być źródłem udręki.

Podobnie w przypadku innych relacjonowanych przezeń debat i starć późnej III RP. Dostrzega Zaremba ofensywę przeciwników Kościoła, których trudno określić mianem antyklerykałów, bo nie są przeciwni społecznej pozycji duchownych czy wpływom instytucji kościelnych, lecz Kościołowi jako takiemu: szukają więc haka na „czarnych", mnożą oskarżenia, nie pytając o racje i z zapałem węszą krew. Tak, o taką narrację w dzisiejszej Polsce przecież nietrudno i Zaremba potrafi ją odwzorować. Ale robiąc to, nie czyni ofiarami tej nagonki świętych bez zmazy, lecz ludzi niewolnych od licznych przywar, od sybarytyzmu i obłudy (nie przypadkiem szkolny spektakl „Świętoszka" staje się jednym z węzłów akcji!) po najgorszą z nich: pychę. Widzi też fechtunki dawnych zagończyków Solidarności i dawnych aparatczyków. Jedni i drudzy dobiegają dziś sześćdziesiątki, więc te fechtunki już nie na gaz, kamienie i bibułę, tylko na kombinacje polityczne albo uszczypliwości medialne. Ale chociaż trudno wątpić, po czyjej stronie leżą ostatecznie sympatie autora (było nie było, członka „pierwszego NZS" z 1981), potrafi on dostrzec grzech pychy również u dawnych kawalerów panny S: ustawionych, odbierających z procentami rentę za swoją dawną niezłomność, przekonanych, że zawsze mają rację.

Takie portretowanie Polski jest potrzebne, jeśli mamy ją lepiej zrozumieć. Poszukiwacze sensacji w pierwszej lekturze mogą te wstawki do portretu przeoczyć: mam nadzieję, że do nich wrócą. Warto.

Głóg, czułość, krzyk

Trzecia część nocy na dworcu (albo w porcie), druga połowa życia. Dwóch kumpli – kanciastych i zgranych jak duet policjantów rozumiejących się w pół słowa, ale i z rachunkiem blizn. Świetny ładunek na powieść łotrzykowską z przemijaniem w tle. Kevin Barry wykorzystał ten potencjał, ale zdołał jeszcze – w gratisie, taki jest rozrzutny – dorzucić sporo nieoczekiwanych zdań: o październiku, który jest „miesiącem krzywego piękna", o błękitnych blaskach lodowatego kwietnia, o raniącym, chudym pięknie Irlandii, o rozpalonym, tłustym, hojnym pięknie Hiszpanii. Napięcie między przekleństwami, w które obfituje ta krótka powieść – a jak niby, k...a, mają jej bohaterowie rozmawiać o wytatuowanych gościach czekających w furgonetce na dole? – a frazami o kwitnącym głogu, umieraniu, córce wytrąca z równowagi, elektryzuje, przyciąga. Od ludzi, którzy potrafią z równą łatwością rozmawiać na oba sposoby, którzy wplatają bluzg w zdanie, jakby strzelali żyletką z ust, należy stronić; pisarzy, którzy potrafią stworzyć taki język, zawiązać na kokardę kamień i powietrze, należy się trzymać.

Pierwsze sceny i frazy nas nie mylą: Charlie i Maurice to twardzi goście, inni nie mieliby szans na rynku haszu i hery. Zeszli z boiska po latach haju i chlania, po latach dygotania na strunie między Malagą a Cork, między Grenadą a Berehaven. Ale nie ściga ich, o dziwo, ani brygada antynarkotykowa, ani konkurencja – jest gorzej. Ściga ich pierwsza połowa życia – spalona i stracona.

„Nocny prom do Tangeru" to poza wszystkim innym niezły, houellebecqowski obraz Europy przełomu wieków: obraz świata, w którym przerzut narkotyków z południa na północ kontynentu nie wywołuje już grozy, nie pociąga za sobą śmierci. To zajęcie oswojone, zwalczane niejako z obowiązku; zyski z niego można lokować w nieruchomościach albo przepić, rekreacyjne dragi są dla każdego. Ale ta

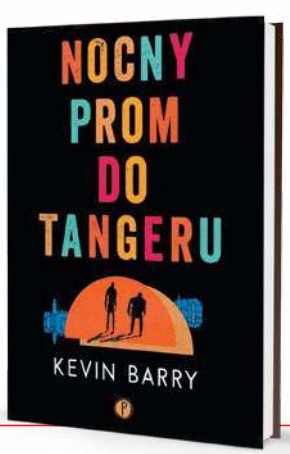

Kevin Barry, „Nocny prom do Tangeru", tłum. Łukasz Buchalski, Wydawnictwo Pauza, 2020

książka to nie powieść sensacyjna ani traktat: to przestroga, krzyk, pochwała przyjaźni (kto jeszcze by się na to odważył!), to czułe i wulgarne wyznanie miłości do Irlandii, w którym usłyszeć można echa bluźnierstw Joyce'a, wyzywającego Zieloną Wyspę od maciory pożerającej swoje potomstwo; i kto powie, że literatury narodowe nie mają swojego charakteru?

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Maksymalnie upraszczamy i digitalizujemy wszystkie procedury w banku

O skutkach epidemii w bankowości, wsparciu małych i średnich przedsiębiorstw i dobrej współpracy z Pocztą Polską z ***Robertem Kuraszkiewiczem***, prezesem Banku Pocztowego, rozmawia Anna Raciniewska

Bank Pocztowy – ta marka kojarzy się z pewnością i stałością opartą na tradycji. Tymczasem jesteście bardzo cyfrowi – to oblicze EnveloBanku, waszej bankowości mobilnej. Elektroniczny i mobilny dostęp do zarządzania wszystkimi bankowymi funkcjonalnościami uzupełniacie kolejnymi nowoczesnymi rozwiązaniami biometrycznymi i kolejnymi sposobami płatności zbliżeniowych. Jak dziś wygląda portfolio waszych usług i jak nowości przyjmują klienci?

Robert Kuraszkiewicz: Konsekwentnie realizujemy strategię Banku Pocztowego. Bank ma być bardziej biznesowy, bardziej pocztowy oraz właśnie bardziej cyfrowy. I rzeczywiście rok 2019 wiązał się dla nas z prawdziwą rewolucją technologiczną. Najważniejszymi wydarzeniami w tym obszarze działalności banku było uruchomienie bankowości mobilnej EnveloBank, która docelowo ma się stać rozbudowaną platformą umożliwiającą dostęp do szerokiego wachlarza usług finansowych, oraz wdrożenie całego spektrum płatności mobilnych – Google Pay, Apple Pay, Garmin Pay. W minionych miesiącach, dzięki współpracy z Pocztą Polską – naszym większościowym akcjonariuszem – udostępniliśmy klientom także e-Awizo i Polecony do skrzynki, czyli tradycyjne usługi pocztowe w nowym wydaniu.

2019 r. był dla Banku Pocztowego jednym z najlepszych okresów w ciągu ostatnich paru lat. Wypracowaliśmy najwyższy od czterech lat zysk netto wynoszący 18,9 mln zł, czyli aż o 170 proc. wyższy niż rok wcześniej, a suma bilansowa po raz pierwszy w 30-letniej historii banku przekroczyła 8 mld zł. Jednocześnie zdecydowanie poprawiliśmy jakość portfela kredytowego, a także zwiększyliśmy akcję kredytową. Nasza kondycja finansowa świadczy o skuteczności podejmowanych decyzji zarządczych i stanowi dobrą podstawę do poprawy wyników w nadchodzących latach. Na bieżąco dostosowujemy naszą krótkoterminową strategię do aktualnych wyzwań, a takimi bez wątpienia są: stan pandemii oraz globalne zawirowania makroekonomiczne z niej wynikające.

Cyfryzacja usług okazała się ratunkiem podczas pandemii. Klienci mogą na bieżąco zarządzać swoimi finan-

eprasa.pl 2c36a7c6d2

sami, pozostając w domu. Jakie rozwiązania wprowadziliście, aby zwiększyć bezpieczeństwo płatności kartą, które na co dzień jesteśmy zmuszeni wykonywać czy u kuriera, czy w sklepie?

Jako jeden z pierwszych podmiotów na rynku odpowiedzieliśmy na apel Komisji Nadzoru Finansowego i podwyższyliśmy limit płatności dla transakcji zbliżeniowych bez konieczności podawania PIN do 100 zł. Co więcej, od momentu wykrycia w Polsce pierwszego przypadku zakażenia koronawirusem zachęcamy klientów do rezygnacji z gotówki na rzecz płatności mobilnych, jak dostępne w naszym Banku ApplePay, GooglePay czy Garmin Pay. Wszelkie wprowadzane obecnie procedury maksymalnie upraszczamy i digitalizujemy, zachęcając przy tym do korzystania ze zdalnych kanałów komunikacji z bankiem, jak infolinia, systemy bankowości internetowej czy czaty w kanałach social media. Wszystko w duchu działań profilaktycznych, mających na celu zmniejszenie prawdopodobieństwa zakażenia wirusem. Dobry przykład to przeniesienie ciężaru obsługi klientów na call center – od tej decyzji o 120 proc., a więc o kilka tysięcy dziennie, wzrosła liczba połączeń odbieranych przez konsultantów Banku Pocztowego, co jest potwierdzeniem, że Polacy odpowiedzialnie podchodzą do obecnej sytuacji i jeżeli pojawia się taka możliwość, wybierają bezpieczne rozwiązania.

Inne usługi – jak chociażby możliwość autoryzacji w mobilnej bankowości EnveloBank za pomocą Face ID, technologii rozpoznawania twarzy dostępnej dla użytkowników urządzeń firmy Apple – wprowadziliśmy w trybie ekspresowym także w trosce o bezpieczeństwo klientów.

Nieoczekiwany kryzys gospodarczy spowodowany sytuacją epidemiczną wstrząsnął życiem wielu Polaków. Także tych, którzy spłacają kredyty. Czy pomożecie im zachować płynność finansową?

Powszechny dostęp do bankowości pocztowej poprzez 4,7 tys. placówek Banku Pocztowego i Poczty Polskiej to jeden z elementów walki z wykluczeniem ekonomicznym dla dużej grupy polskich obywateli. Zdajemy sobie sprawę, że klienci banków czują niepewność związaną z najbliższą przyszłością. Dlatego cały czas pracujemy nad rozwiązaniami, które mogą wspomóc płynność finansową polskich rodzin. Jednym z już dostępnych w banku udogodnień jest możliwość bezpłatnego zawieszenia rat kapitałowych przy spłacie kredytów i pożyczek gotówkowych oraz hipotecznych nawet na sześć miesięcy. Co ważne, wniosek o tzw. wakacje kredytowe można składać zdalnie – nie trzeba osobiście się stawiać w placówce. Co więcej, analizując sytuację ekonomiczną i biorąc pod uwagę różne scenariusze jej wpływu na gospodarkę, zdecydowaliśmy się wprowadzić do oferty – szybciej niż planowaliśmy – nowe linie kredytowe dla podmiotów, które mogą zostać dotknięte kryzysem bardziej niż inne. To między innymi linie kredytowe dla małych i średnich firm z gwarancjami de minimis od BGK na zdecydowanie lepszych warunkach. Finansujemy inwestycje związane z OZE, a za kilka tygodni planujemy uruchomienie specjalnie przygotowanej oferty dla agrobiznesu.

To trudny czas również dla polskich przedsiębiorstw. Musimy się dziś wspierać, aby razem pokonać kryzys. Finansowa pomoc rządowa skierowana do małych i średnich firm jest jednym ze sposobów na przetrwanie trudnego okresu. Jaką rolę w tarczy finansowej PFR odgrywa Bank Pocztowy?

Firmy z sektora MŚP zatrudniają ponad 10 mln Polaków i to na nich przede wszystkim opiera się ciężar polskiej gospodarki. Są to jednak w większości przedsiębiorstwa, które pierwsze zaczęły odczuwać nadciągające spowolnienie gospodarcze spowodowane pandemią, dlatego tak istotne w obecnej sytuacji jest wspieranie rodzimych przedsiębiorców. Od 29 kwietnia poprzez naszą bankowość internetową przyjmujemy wnioski od naszych klientów z sektora MŚP, firm zatrudniających od 1 do 249 pracowników, o udzielenie wsparcia w ramach tarczy finansowej PFR. Nowy program pomocowy finansowany przez Polski Fundusz Rozwoju to 100 mld zł, które docelowo ma trafić do ok. 670 tys. polskich przedsiębiorstw, które ucierpiały w wyniku pandemii. Subwencje w ramach tarczy finansowej to w mojej opinii wydajna pomoc, która pozwoli zachować miejsca pracy oraz kontynuować działalność operacyjną wielu małym i średnim firmom. Szybka realizacja takiego programu i de facto wypłata środków jest możliwa dzięki efektywnym programom uruchamianym systematycznie przez polski rząd, a także wysokiemu poziomowi informatyzacji wielu instytucji w Polsce, w tym sektora bankowego. O tym ostatnim świadczy chociażby ekspresowe tempo, w jakim dostosowaliśmy nasz system bankowości internetowej do składania wniosków o dofinansowanie w ramach tarczy PFR.

Jesteście ściśle związani z Pocztą, wspieracie się wzajemnie w cyfryzacji, współdzielicie usługi, dopełniacie się swoimi kompetencjami. Jakie owoce przynosi ta współpraca?

Ścisła współpraca z Pocztą Polską to jeden ze sposobów banku na wzrost, a z drugiej strony zaspakajanie w jednym miejscu rosnących potrzeb klientów w wielu regionach Polski, nie tylko w dużych miastach. Nasze wspólne działania przynoszą coraz lepsze efekty, które znajdują odzwierciedlenie w wynikach finansowych banku. Warto wymienić w tym miejscu takie inicjatywy jak np. konsorcjum z wiodącą rolą Banku Pocztowego w zakresie terminalizacji i rozwoju płatności bezgotówkowych w urzędach pocztowych, sprzedaż produktów bankowych przez pracowników Poczty Polskiej. To m.in. dzięki takim projektom zrealizowanym w 2019 r. minione 12 miesięcy możemy zaliczyć do jednych z najbardziej udanych w naszej historii. Jednocześnie to właśnie te dobre wyniki wypracowane przez Bank Pocztowy w ostatnim roku oraz wdrożone w trybie wyjątkowym procesy pozwolą bankowi lepiej sprostać wyzwaniu powrotu do normalności i odbudowy efektywności w kolejnych miesiącach po ustaniu sytuacji wyjątkowej wywołanej koronawirusem na świecie.

eprasa.pl 2c36a7c6d2

„Ostra narracja” pana Michała

Na szerokie wody wypływał jako oddany członek Sojuszu Lewicy Demokratycznej, współpracuje z ludźmi Platformy Obywatelskiej. Reprezentuje interesy zagranicznych koncernów, dla których jest gotowy na bardzo brutalne działania. Przeszłość i teraźniejszość Michała Kanownika każe zadać pytanie, czy powinien on, jako członek rządowej Rady ds. Cyfryzacji, współdecydować o technologicznej przyszłości Polski

PIOTR FILIPCZYK

W porównaniu z innymi, niezwykle rozległymi, projektami Michała Kanownika akcja „Nie płacę za pałace” może dziś być postrzegana jako mało ważna. Dotyczy tzw. opłaty reprograficznej, czyli podatku uiszczanego przez producentów urządzeń używanych do kopiowania treści zapisanych na rozmaitych nośnikach. Pieniądze trafiają do organizacji zbiorowego zarządzania prawami autorskimi, a potem do artystów, których te organizacje reprezentują. Środowisko od lat zabiega, by opłatą reprograficzną objęto również smartfony i tablety, na których oglądamy filmy czy słuchamy muzyki. Te zaś produkują firmy reprezentowane przez Związek Importerów i Producentów Sprzętu Elektrycznego i Elektronicznego „Cyfrowa Polska”.

Michał Kanownik od 2010 r. był dyrektorem ZIPSEE „Cyfrowa Polska”, a od 2015 r. jest prezesem tej organizacji. W interesie także zagranicznych producentów gra, nie tylko w tej sprawie rzecz jasna, twardo i na dwa sposoby. Pierwszy to oficjalne stanowiska, udział w pracach legislacyjnych i kulturalne wystąpienia w rozmaitych debatach. Drugi: brutalny atak na przeciwników w internecie.

TROLLOWANIE

– Michał to lubi, jest w tym dobry, jego ludzie potrafią przygotować ostre narracje i szybko je rozprowadzić w internecie. Są skuteczni – mówi nam jeden z byłych współpracowników Kanownika. Dziś „ostrymi narracjami” traktowany jest wicepremier Piotr Gliński, który zapowiedział możliwość wprowadzenia opłaty reprograficznej na smartfony.

„Podatek od Netfilix to nie wszystko. Rząd razem z ZAiKS pracują nad kolejnym podatkiem – 6 proc. od smartfonów. Platforma was tak nie wyr... jak wyr... was PiS” – to wpis z promującego na co dzień przekazy Konfederacji twitterowego konta o wdzięcznej nazwie „PiS-PO, jedno zło!”.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2c36a7c6d2

„Panie ministrze @PiotrGlinski. Polacy muszą wiele lat pracować na to, żeby dostać ochłap emerytalny od WAS – rządzących. A Państwo sobie tak lekką ręką rozdajecie nasze pieniądze na fundusze dla tych, którzy całe życie woleli lawirować? To są jakieś żarty?!" – to z kolei „ostra narracja" z konta STOPActa2.Operations, gdzie PiS przedstawia się jako partię, która „dała w twarz Polakom".

Te i wiele innych wpisów podaje dalej konto Nie Płacę za Pałace. To element rozpoczętej w 2014 r. akcji przeciw opłacie reprograficznej. Pozornie ma ona oddolny, społeczny charakter, jednak Michał Kanownik nie ukrywał, że stoi za nią on; przeciwnie, przedstawiał się jako jej „koordynator". W 2015 r. branżowe media informowały też, że ZIPSEE nawiązał współpracę ze znaną warszawską agencją piarowską LoveBrands Relations, która miała wówczas odpowiadać za tę „kampanię informacyjną".

NIE PŁACI NIE TYLKO ZA PAŁACE

Czy ktoś z tego środowiska także dziś płaci trollom z Nie Płacę za Pałace za atakowanie rządu? Tego nie wiemy, zwłaszcza że – co ujawniliśmy jakiś czas temu w portalu wPolityce.pl – Michał Kanownik ma problemy z terminowym rozliczaniem się ze swoimi podwykonawcami. Jak nieoficjalnie ustaliliśmy, do polityków obozu rządowego, z którymi współpracuje Michał Kanownik, trafiły skargi od kontrahentów lobbysty. I choć o tym, że Kanownik nie płaci (nie tylko „za pałace"), mówiło się w Warszawie od dawna, to ostatnio jego problemy stały się na tyle poważne, że do akcji musieli wkroczyć komornicy.

– Najpierw były anonimy, potem nieoficjalne rozmowy, w końcu mocne skargi. W niektórych przypadkach chodzi o niewielkie pieniądze, ale są też „kejsy", gdzie zaległości są potężne. Ludzie stracili nadzieję na odzyskanie należnych pieniędzy, dlatego zaczęli interweniować u ministrów, których Kanownik przedstawia „na mieście" niemal jak swoich przyjaciół – usłyszeliśmy od dobrze poinformowanego pracownika jednego z ważnych dla bezpieczeństwa państwa resortów.

Bliskie relacje Michała Kanownika z władzą pozwalają mu na sprawne prowadzenie tej grzeczniejszej, bardziej cywilizowanej części swojej kariery. Tu też jest skuteczny. Ostatnio głośno było o modyfikacji kształtu kluczowego dla budowy sieci 5G w Polsce rozporządzenia ministra cyfryzacji. Miały się w nim znaleźć zapisy przepisane m.in. właśnie z wniosku ZIPSEE, a dziennikarze sugerowali związek tych ustępów z faktem, że w zarządzie Cyfrowej Polski zasiada ważny dyrektor koreańskiego Samsunga, wieloletni znajomy Kanownika (Samsung zaprzecza, aby miał cokolwiek wspólnego z pracami nad treścią rozporządzenia). Zdaniem niektórych ekspertów wprowadzone zapisy miałyby „zabić" w kontekście 5G europejską Nokię i Ericssona.

> Żadnego lobbysty nie można obdarzać tak dużym zaufaniem. Może teraz, gdy posypały się na niego skargi, niektórzy się zastanowią, zanim po raz kolejny zasiądą z panem Michałem Kanownikiem do stołu – dodaje nasz rozmówca z PiS

PISOWIEC Z SLD

Skąd wziął się Michał Kanownik, członek doradzającej rządowi w strategicznych dla przyszłości Polski Rady ds. Cyfryzacji i jedyny przedstawiciel naszego kraju w europejskim stowarzyszeniu Digital Europe? W skrócie: z Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Wywodzący się z Pułtuska Kanownik już na studiach w Toruniu działał w eseldowskim Zrzeszeniu Studentów Polskich. Niedługo po nich rozpoczął współpracę z potężnym wówczas Wiesławem Kaczmarkiem, ministrem skarbu w rządzie Leszka Millera. Kanownik kandydował z listy Sojuszu Lewicy Demokratycznej do sejmiku województwa mazowieckiego, a w latach 2005–2007 był pracownikiem i szefem biura jednej w ówczesnych gwiazd lewicy Michała Tobera. Jeszcze w zeszłym roku nazwisko szefa ZIPSEE widniało na stronie internetowej SLD w gronie członków Rady Warszawskiej tej partii.

Michał Kanownik zna bardzo dobrze także wielu polityków Platformy Obywatelskiej. Blisko mu wedle naszych rozmówców do „frakcji imprezowej" warszawskiej PO, a ważnym sojusznikiem w legislacyjnych bojach jest dla Kanownika były minister cyfryzacji Michał Boni.

Jak to możliwe, że człowiek z taką przeszłością i teraźniejszością brylował na zeszłorocznym kongresie programowym Prawa i Sprawiedliwości „Myśląc Polska" w Katowicach, gdzie nie tylko ściskał się z czołowymi politykami partii, lecz i prowadził jeden z paneli? Czy rzeczywiście powinien on, także nieoficjalnie, doradzać rządowi w sprawie kluczowych dla bezpieczeństwa państwa regulacji dotyczących nowych technologii?

– Przede wszystkim to uroczy, towarzyski człowiek. Doskonały biesiadnik – śmieje się jeden z polityków PiS. – Wkradł się w łaski rządzących także tym, że głośno krzyczał o potrzebie zlikwidowania wyłudzeń VAT w obrocie sprzętem elektronicznym. To było zgodne z linią partii i poprawiało wizerunek branży, której przedstawiciele mieli problemy z prokuraturą czy skarbówką właśnie w związku z tym procederem. Ale uważam, że sprawy zaszły za daleko. Żadnego lobbysty nie można obdarzać tak dużym zaufaniem. Może teraz, gdy posypały się na niego skargi, niektórzy się zastanowią, zanim po raz kolejny zasiądą z panem Michałem Kanownikiem do stołu – dodaje nasz rozmówca.

Michał Kanownik nie skomentował tekstu opublikowanego w portalu wPolityce.pl, nie odpowiedział też na pytania naszego dziennikarza.

Reklama | 56/0420/F

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Tarcza Antykryzysowa

BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

Pożyczki płynnościowe
ze środków unijnych już dostępne

Wielu przedsiębiorców z powodu pandemii musiało z dnia na dzień zawiesić lub ograniczyć do minimum swoją działalność. Utrzymanie płynności finansowej stało się największą bolączką.

Bank Gospodarstwa Krajowego we współpracy z Ministerstwem Funduszy i Polityki Regionalnej uruchomił pożyczki płynnościowe z unijnego programu Inteligentny Rozwój. To kolejny element rządowej tarczy antykryzysowej, który może pomóc firmom w przetrwaniu tego trudnego czasu.

Realna pomoc w trudnym czasie

Właściciele mikro-, małych i średnich firm mogą już składać wnioski o pożyczkę płynnościową. Wraz z pożyczką przedsiębiorcy dostaną dotację, która pokryje w całości koszty oprocentowania, bez konieczności składania dodatkowych wniosków. Dzięki temu pożyczka jest nieoprocentowana, a firmy będą spłacały tylko raty kapitałowe. Pożyczki są dostępne w całej Polsce w instytucjach finansujących, które współpracują z Bankiem Gospodarstwa Krajowego. **Na pożyczki resort funduszy przeznaczył 400 mln zł,** ale jeśli zainteresowanie firm będzie duże, dostępny limit może wzrosnąć.

eprasa.pl 2c36a7c6d2

PRZEDSIĘBIORCO – JAKIE KORZYŚCI DAJE CI POŻYCZKA PŁYNNOŚCIOWA?

- **półroczna karencja w spłacie** – zapłacisz pierwszą ratę dopiero pół roku po wzięciu pożyczki.
- **wakacje kredytowe** – przez pierwsze dwa lata spłaty pożyczki skorzystasz raz w roku z dwumiesięcznych wakacji kredytowych.
- **brak wkładu własnego** – możesz zaciągnąć pożyczkę na 100 proc. kosztów, które chcesz pokryć.
- **okres spłaty do 6 lat** – dostosowujesz okres spłaty do swoich potrzeb.
- **wniosek on-line** – nie musisz przychodzić do biura pośrednika, aby złożyć dokumenty.
- **możesz skorzystać z więcej niż jednej pożyczki** – łączna ich wartość nie może przekroczyć 15 mln zł.

Na jaką wysokość pożyczki możesz liczyć?

Wysokość pożyczki to dwukrotność rocznego zestawienia płac za 2019 r. lub za ostatni rok, za który dostępne są dane. Jeśli firma działa krócej, pożyczkę oblicza się na podstawie prognozowanej wysokości albo jako 25 proc. wartości całkowitego obrotu w 2019 r. W uzasadnionych przypadkach wysokość pożyczki może wzrosnąć do kwoty, która zapewni firmie płynność finansową na kolejne 18 miesięcy.

Przedsiębiorca dzięki pożyczce może zabezpieczyć bieżące potrzeby swojej firmy, uregulować zaległe zobowiązania wymagalne i nieopłacone na dzień 1 lutego 2020 r. Ma aż 6 miesięcy na wydanie środków z pożyczki i przedstawienie zestawienia wydatków.

Na co możesz przeznaczyć pożyczkę:

- wynagrodzenie pracowników
- zakup towarów
- zakup paliwa
- raty leasingowe
- zaległe faktury od kontrahentów lub podwykonawców
- najem lokalu
- media (gaz, prąd itd.)

Jak złożyć wniosek pożyczkowy?

Wnioski o pożyczkę można składać on-line na stronie instytucji finansującej lub osobiście w punktach obsługi klienta instytucji finansujących. Ich lista znajduje się na stronie BGK i będzie na bieżąco aktualizowana, ponieważ bank planuje podpisać umowy z kolejnymi pośrednikami.

Dokąd po pożyczkę?

- Lubelska Fundacja Rozwoju oraz Stowarzyszenie „Centrum Rozwoju Ekonomicznego Pasłęka"
- Polska Fundacja Przedsiębiorczości
- Krajowe Stowarzyszenie Wspierania Przedsiębiorczości

PRZEDSIĘBIORCO, PAMIĘTAJ, ŻE INSTYTUCJA FINANSUJĄCA:

- udostępnia na swojej stronie internetowej wszystkie dokumenty niezbędne do złożenia wniosku o pożyczkę,
- odpowie na wszystkie szczegółowe pytania o: warunki pożyczki, potrzebne dokumenty, czas rozpatrywania wniosku pożyczkowego,
- w ciągu 30 dni od dnia podpisania umowy wypłaci Ci pożyczkę.

Pożyczki płynnościowe finansowane są ze środków europejskich z programu Inteligentny Rozwój i są częścią pakietu pomocowego dla firm. Sprawdź pozostałe rozwiązania przygotowane przez BGK na **www.bgk.pl/pakietpomocy**

Fundusze Europejskie Inteligentny Rozwój

Rzeczpospolita Polska

Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl 2c36a7c6d2

MAŁGORZATA MUSIEROWICZ, EMILIA KIEREŚ PISARKI

Jeżycjadowa uczta

Dla tych, którzy od lat towarzyszą bohaterom stworzonym przez Małgorzatę Musierowicz, często wspominając postaci i zdarzenia tak barwnie opisywane przez autorkę. Dla tych, którzy z równą ochotą wędrują po świecie przez nią wykreowanym, jak i odnajdują jego ślady w realu. Dla tych, którzy rozsmakowali się w jeżycjadowych historiach, nakładem wydawnictwa Egmont Polska ukazał się właśnie tom „Na Jowisza! Uzupełniam Jeżycjadę".

To szczególna pozycja, można powiedzieć – spersonalizowana; hybryda pamiętnikarsko-ilustratorsko-spacerownikowo-słownikowa. O takich książkach mówi się – artystyczne, nazywając je z angielska artbookami.

Tekst współgra tu z przeróżnej formy zdjęciami (archiwalnymi i współczesnymi), rysowanymi i malowanymi przez Małgorzatę Musierowicz portretami oraz graficznymi i ilustracyjnymi przerywnikami. Format zbliżający się do A4 wypełnia 340 stron z alfabetycznie ułożonymi hasłami, łączącymi świat bohaterów ze światem autorki.

Gabarytami książka nawiązuje do kryzysowych albumów czy raczej aspirujących do tej nazwy – a zdobywanych w latach braku wszystkiego – ksiąg pamiątkowych, wypełnianych świadectwami minionego czasu i ważnych w nim wydarzeń.

Przywołane zostają rodzinne legendy i autentyczne scenki. Jedna z nich pokazuje pięcioletnią Małgosię Barańczak, która – zobowiązana przez rodziców do zaopiekowania się bratem – znalazła czterolatkowi wyjątkowo ciekawe, zarazem absorbujące i edukujące zajęcie. Dzięki dwóm wijącym się dżdżownicom i patyczkowi przerobiła ze Stasiem cały alfabet, wprowadzając przyszłego znakomitego poetę i tłumacza w krąg liter.

Tok narracji, tak bliski czytelnikom, dopisuje konteksty i odsłania źródła inspiracji historii znanych z kart książek Małgorzaty Musierowicz. Można się w nie po uszy zanurzyć, ale album stworzony wspólnie z córką Emilią Kiereś (także autorką książek dla dzieci i młodzieży) zachęca również do realnej aktywności.

Na powitanie oferuje wypełniający rozkładówkę plan z zaznaczonymi „miejscami jeżycjadowymi". Jest tu, oczywiście, kamienica Borejków przy Roosevelta 5, ale też 29 innych znaczących punktów.

W dalszej części książki pojawia się wiele zdjęć wyłuskujących charakterystyczne elementy poznańskiej architektury. Można z tych fotografii konstruować całe gry miejskie lub spacery z zagadkami i zadaniami typu: „znajdź ten balkon", „gdzie jest ta wieżyczka?".

Po raz pierwszy też tak szczegółowo (z konkretnymi adresami i opisami lokalizacji) wpisane zostały w opowieść elementy z życia rodzin Barańczaków i Musierowiczów.

Autorki przygotowały dla czytelników prawdziwą ucztę. Znalazło się w niej miejsce także na konkretny przepis. Obudowany – nie może być inaczej – wartką historią, jak to powziąwszy w jednym czasie decyzję o przygotowaniu na gwiazdkowy prezent ulubionych smakołyków – domowego ketchupu jarzynowego i kiszonej surówki z kapusty – matka i syn, równocześnie, rozpoczęli przedziwne kulinarno-spiżarniano-kuchenne podchody. Najpierw próbowali niepostrzeżenie przemycić składniki, potem przygotować w tajemnicy ketchup/surówkę, na koniec upchnąć je do słoiczków, świątecznie zapakować i ukryć do czasu Wigilii. Ta wyborna opowiastka doprawiona została należycie – podobnie jak cała książka – najcenniejszymi ingrediencjami – humorem i miłością.

Jolanta Gajda-Zadworna

Kiszona surówka z kapusty

Do jej zrobienia potrzeba: dużej i twardej główki kapusty (poszatkowanej na wiórki), startych na tarce o grubych oczkach: kilku marchewek, pietruszki, połówki selera i dwóch jabłek. Pociętej na pasemka papryki: czerwonej, żółtej i zielonej oraz posiekanej drobno cebuli. Wszystko należy wymieszać z odrobiną soli. Jeśli pojawi się za dużo soku, odlać go, po czym dodać dwie lub trzy łyżki miodu, znów starannie wymieszać i przełożyć surówkę, mocno ją ubijając, do wyparzonych słoiczków, wypełniając je aż po brzeg.

Ze słoiczków (pozostawionych w temperaturze pokojowej) może wyciekać sok, dlatego muszą stać na tacce. Po trzech dniach przenosimy je do chłodnego miejsca, a po tygodniu surówka jest gotowa.

Pełny przepis, wraz z towarzyszącą mu historią znajduje się, oczywiście, w książce „Na Jowisza! Uzupełniam Jeżycjadę".

eprasa.pl 2c36a7c6d2

SŁODKO-SŁONY

Na zimną Zośkę

ANNA MONICKA

Jedni polują na polskie truskawki i dumnie ogłaszają, że sezon rozpoczęty, bo pierwsze owoce z cukrem i śmietanką już zjedli (plus fotka miseczki przed i po), inni czekają na rukolę czy szpinak baby, które wychodzą z ziemi nawet wtedy, gdy jeszcze łapią majowe przymrozki w okolicy trzech ogrodników i imienin Zofii (doświadczeni ogrodnicy dopiero potem wysadzają do gruntu co wrażliwsze rośliny, bo ocieplenie klimatu ociepleniem, a zimna Zośka nic sobie z tego nie robi i jest zimna jak diabli). Ja czekam na coś całkiem innego – szparagi. Dla mnie to z nimi nadchodzi prawdziwa wiosna. W sklepach są oczywiście wcześniej, sprowadzane z Włoch czy Hiszpanii, przypominające sznurówki, ale takie mnie nie kuszą. Trudno je nawet przełamać, żeby usunąć najtwardszą część przed pieczeniem.

Kto raz zjadł szparagi ścięte o świcie, prosto z pola, kto wybierał lodowate, twarde i zadziorne pędy zgrabiałymi rękami ze skrzynek – ten wie, o czym mowa. Warto się poświęcić raz na tydzień i postać w kolejce po coś, czym cieszymy się tak krótko, bo sezon trwa z sześć tygodni. Kolejka do ulubionego gospodarstwa na obrzeżach Białołęki spełniła moje oczekiwania – godzina stania w przepisowych odległościach, maskach i rękawiczkach, a na polu, na taboretach, wystawione butelki z płynem do dezynfekcji. Ludzie w dobrych humorach, zważywszy na okoliczności. Pogaduszki, partyzanckie wspominki z dawnych czasów: „Młodzi nie mają o kolejkach pojęcia, bo zawsze wszystko dostają natychmiast" – mówiła pewna siwiejąca pani. Fakt. Córka, którą zabrałam z sobą, żeby wyszła wreszcie na świeże powietrze i powygrzewała się w słońcu, była w szoku i odliczała czas, ile już stoimy. Gdy jej opowiedziałam, że ja w dzieciństwie do kolejki po mięso zabierałam składany leżak, nie mogła uwierzyć. Cóż, wszystko przed nią.

Na szczęście szparagów dla nas nie zabrakło, noc była ciepła, więc powyłaziły z ziemi. Upiekłam je – zielone i fioletowe – z kwiatami cukinii. Krótko, żeby były chrupkie. Podałam z sosem musztardowym (oliwa, musztarda, sól, pieprz, cytryna). Na ogonkach zrobiłam wywar, który popijam z rana (na oczyszczenie). Jest pyszny, można jego działanie wzmocnić pietruszką. Oczywiście bez soli.

Fot. Shutterstock x2

WILCZYM OKIEM

Długi czyściec ziemniaka

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Odkąd liczebność ludzi wzrosła, produkcja rolna stała się niezwykle ważnym, ba, nawet podstawowym aspektem wyżywienia ludzkości. Oczywiście proces ten był dwukierunkowy, ponieważ to właśnie opanowanie umiejętności uprawiania roślin sprawiło, że w miejsce wspólnot łowiecko-zbierackich pojawiły się pierwsze miasta, a liczba ludzi zaczęła rosnąć szybciej.

Sama produkcja rolna to jedno. W tym samym momencie, kiedy pojawiły się pierwsze plony, zaistniał problem ich przechowywania przez dłuższy czas – przynajmniej do kolejnych zbiorów, a czasem jeszcze dłużej, aż miną lata chude i znów nadejdą lata tłuste.

Minęły tysiąclecia, a zagadnienie przechowywania żywności wciąż jest tak samo aktualne. Wciąż się też rozwija – wraz z nowymi odmianami roślin uprawnych i różnicującym się ich wykorzystaniem. Spójrzmy na ziemniaki, jedno z najważniejszych warzyw nie tylko w naszym kraju.

Dawniej sposób był stosunkowo prosty. Ziemniaki przechowywało się w ziemiankach, które wciąż można wypatrzyć po wsiach. We wkopanych w ziemię, obudowanych kamieniami piwniczkach było chłodno i ciemno, co sprzyjało utrzymaniu przydatności do spożycia i zapobiegało kiełkowaniu. Oczywiście kluczowe jest tu określenie, że był to sposób „stosunkowo" prosty, już samo bowiem zbudowanie ziemianki o odpowiednim mikroklimacie, niepodsiąkającej wodą i zabezpieczonej przed gryzoniami, było sztuką.

Dziś ziemniaki przechowuje się w wielkich magazynach, zabezpiecza przed grzybami, najpierw osusza, a później zamgławia do odpowiedniej wilgotności itp. Po całym cyklu zabiegów zapewnia się im odpowiednią, ściśle określoną temperaturę: ziemniaki na frytki przechowuje się w 6–8°C, ziemniaki do gotowania w 4–6°C, a ziemniaki do sadzenia w 2–4°C (przy czym temperatura powinna spadać o 0,2–0,5°C na dobę). To zresztą dopiero początek długiej listy warunków, jakie należy zapewnić ziemniaczanym bulwom.

Przechowywanie żywności to zagadnienie nie tylko rolnicze. Kto umie wyprodukować i przechować żywność, zyskuje potężne narzędzie społeczne, ekonomiczne, a także polityczne, wciąż bowiem, jak za czasów faraonów i Rzymian, zmagazynowana żywność to potęga pozwalająca rządzić światem i decydować o losach nie tylko swojego narodu.

Dlatego niuanse temperatury w ziemniaczanej chłodni są tematem niezwykle doniosłym.

eprasa.pl 2c36a7c6d2

PKO BP na drodze do chmury

PKO Bank Polski przechodzi kolejny etap transformacji cyfrowej, w ramach której przygotowuje migrację swojej architektury informatycznej do Chmury Krajowej, którą powołano właśnie z inicjatywy tego banku. Odgrywa też dużą rolę w wielkiej inwestycji amerykańskiego giganta technologicznego Microsoft w Polsce, wartej miliard dolarów. Celem uczestnictwa w tym przedsięwzięciu jest zbudowanie przewagi dla samego banku i jego klientów

Konieczność ograniczenia kontaktów społecznych wywołana pandemią COVID-19 wymusza przyspieszenie procesów cyfryzacji w przedsiębiorstwach, a usługi chmurowe mogą pomóc firmom budować istotne przewagi konkurencyjne. W takich warunkach ważną rolę odgrywa szybkość procesów biznesowych, możliwość analizy i przetwarzania danych oraz elastyczność organizacji na zmiany zachowań klientów i otoczenia biznesowego. To właśnie daje chmura danych.

PKO Bank Polski realizuje cele związane z cyfryzacją przyjęte jesienią 2019 r. w strategii PKO Bank Przyszłości i przygotowuje się do migracji swojej architektury IT do Chmury Krajowej.

– Chmura Krajowa to jedno z tych przedsięwzięć, które dają szansę na długofalowy, odpowiedzialny rozwój polskiej gospodarki i budowanie realnych przewag konkurencyjnych. W zaledwie półtora roku od momentu, kiedy razem z Polskim Funduszem Rozwoju ogłosiliśmy jej utworzenie, stworzyła solidne fundamenty do głębokiej transformacji polskich przedsiębiorstw i administracji. Zbudowała własną infrastrukturę i konsekwentnie rozwija zakres świadczonych z niej usług chmurowych – powiedział Zbigniew Jagiełło, prezes PKO Banku Polskiego.

Pomysłodawcą i współzałożycielem spółki Operator Chmury Krajowej jest PKO Bank Polski. OChK w ciągu zaledwie roku od rozpoczęcia działalności operacyjnej zawarł partnerstwo strategiczne w tym zakresie z Microsoftem oraz z Google'em. Sam Microsoft ogłosił w ostatni wtorek kompleksowy plan inwestycyjny dla Polski o wartości 1 mld dol., którego celem jest przyspieszenie innowacji i cyfrowej transformacji na rzecz rozwoju Polskiej Doliny Cyfrowej. Warte odnotowania jest, że po raz pierwszy globalny gracz przeznaczy tak dużą kwotę na rozwój swoich usług w naszym kraju. Jednocześnie firmy Microsoft i Operator Chmury Krajowej podpisały porozumienie o współpracy, aby zapewnić ekspercką wiedzę z zakresu transformacji cyfrowej i szeroki dostęp do rozwiązań chmurowych wszystkim branżom i przedsiębiorstwom w Polsce.

– Dzięki partnerstwom strategicznym zawartym przez naszą spółkę Operator Chmury Krajowej zostały spełnione wszystkie warunki niezbędne do dokonania migracji bankowych systemów IT do chmury. Dysponując za pośrednictwem spółki jednoczesnym dostępem do platformy chmurowej Google oraz Microsoft Azure, możemy teraz bezpiecznie rozpocząć naszą drogę do chmury. Aktualnie przenosimy serce bankowej infrastruktury IT, system Alnova, na platformę przyjazną rozwiązaniom chmurowym. Chcemy, aby najpóźniej za trzy lata, kluczowe biznesowe systemy IT banku działały w chmurze obliczeniowej bazującej na architekturze hybrydowej – powiedział Adam Marciniak, wiceprezes zarządu PKO BP.

Fot. Andrzej Wiktor

Celem projektu jest zapewnienie dostępu do najnowocześniejszych rozwiązań biznesowych i technologicznych dostępnych tylko w chmurze obliczeniowej, zwiększenie efektywności i szybkości wdrożeń informatycznych przy jednoczesnym zachowaniu wysokiego bezpieczeństwa oraz rozwój kompetencji pracowników.

Łączenie dwóch bezpiecznych chmur pozwala uzyskać wiele korzyści, jednocześnie bez ryzyka narażania danych, a także bez naruszania prawa o ich ochronie. Pokazują to ostatnie testy ekspertów. Np. w zeszłym tygodniu inżynierowie z firmy Advatech przebadali proces łączenia chmur Microsoft Azure i Oracle OCI. Testy przeprowadzono w Amsterdamie, gdzie od początku 2020 r. dostępna jest już taka funkcjonalność. – Uzyskane wyniki pokazują, że budowanie wydajnych architektur wykorzystujących multicloud jest możliwe bez dokonywania kompromisów między funkcjonalnością a wydajnością – oceniono w raporcie Advatech.

Maksymilan Wysocki

eprasa.pl 2c36a7c6d2

WHO, WWO, WBO, czyli sponsorzy obsługiwani

Od kilku tygodni próbujemy zrozumieć, dlaczego świat stanął na głowie. Jakie decyzje są w naszych, polskich, rękach, a jakie już nie. Albo za chwilę nie.

W roku 2009 Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) zmieniła definicję pandemii z oczywistej „wielkiej liczby zgonów" na enigmatyczną „wielką liczbę zarażeń". Efekt? Całkowita zmiana ogólnoświatowej narracji o zagrożeniu. Nie decyduje już niszczycielska siła wirusa, ale liczba orzeczonych zakażeń. Z miernika realnego (śmierć) przeszliśmy na miernik wirtualny (testy). Nie fakty, ale prognozy. Także liczba zgonów przez wielu lekarzy i naukowców stawiana jest pod znakiem zapytania. Między innymi dlatego, że w USA, Włoszech, Wielkiej Brytanii i innych krajach (wszędzie?) administracje szpitali wywierają na lekarzy presję, by jak najwięcej zgonów klasyfikowali jako „ofiary COVID".

W USA trwa dyskusja (m.in. Fox News, „USA Today", „Washington Times") na temat relacji senatora z Minnesoty i lekarza dr. Scotta Jensena, który opublikował dokument, jaki otrzymał z US Departament of Health & Human Services (HHS) zawierający szczegółową instrukcję, jak lekarze mają wypełniać akty zgonu z diagnozą COVID-19 bez przeprowadzenia badania laboratoryjnego potwierdzającego, że pacjent rzeczywiście zainfekowany był koronawirusem. Powstało domniemanie potężnych rozbieżności między oficjalnymi danymi a faktyczną liczbą chorych.

Senator Jensen pisze, że chorych z grypą czy zapaleniem płuc szpitale klasyfikują jako chorych na COVID-19. Po co? Za leczenie zwykłego zapalenia płuc szpital dostaje 5 tys. dol. Za leczenie zapalenia płuc z COVID już 13 tys. dol. Za podłączenie chorego do respiratora – 39 tys. dol.

„Nie rozumiem, jak można nie dostrzegać faktu, że sztuczne zwiększenie liczby zgonów na COVID-19 oznacza dla szpitali większą sumę dolarów" – mówi dr Jensen.

Niektóre stany (np. Minnesota) uznają jedynie laboratoryjnie potwierdzone diagnozy COVID-19. Inne natomiast, jak Nowy Jork, wszystkie domniemane przypadki klasyfikują jako COVID-19, co powoduje większą wypłatę środków. Pewnie zatem ogromne różnice w liczbie zgonów między stanami są efektem innego podejścia do statystyk. A jak jest w Polsce?

Wróćmy jednak do WHO. Od lat Światowa Organizacja Zdrowia otrzymuje gigantyczne dotacje od koncernów farmaceutycznych, np. GlaxoSmithKline czy Novartis AG. Od lat angażuje się w promocję aborcji, środków poronnych, także zawartych w szczepionkach. Dziwnym trafem wytyczne WHO dla świata są niemal przepisane z ulotek reklamowych produktów tychże koncernów. Wśród głównych donatorów WHO są Bill Gates, George Soros i Michael Bloomberg, którzy konsekwentnie realizują plan przebudowy cywilizacyjnej świata, w tym: depopulacji, czyli zmniejszenia liczby ludzi (jako to nazwać w normalnym języku?), zmiany struktur społecznych, marginalizacji religii, likwidacji państw narodowych, zmiany kodeksu etycznego. Wmówienie światu, że mamy „pandemię" i niezbędna jest szczepionka oznacza dla sponsorów WHO sprzedaż na wielusetmiliardową, przez lata nawet wielobilionową skalę. A dla Gatesa to realizacja od dawna zapowiadanego planu o Vac ID, czyli „elektronicznym paszporcie szczepionkowym".

Ciężki felieton. Więc na koniec optymistycznie. Wraz ze znajomymi zamierzamy lada dzień powołać trzy organizacje:

World Wisdom Organization – Światową Organizację Mądrości. Będziemy decydować, co jest mądre, a co głupie. Każdą naszą decyzję roześlemy jako dyrektywę do wykonania na wszystkie uniwersytety świata, do wszystkich rządów i mediów. Ostrzeżemy (jak to zalecił Bill Gates na konferencji Event 201), by korzystano tylko ze sprawdzonych źródeł, poświadczonych przez Światową Organizację Mądrości.

World Honesty Organization - Światową Organizację Uczciwości. Będziemy decydować, co jest uczciwe, a co nie. Każdą naszą decyzję roześlemy jako dyrektywę do wykonania wszystkim policjom świata, sądom i kościołom. Ostrzeżemy, by korzystano tylko ze sprawdzonych źródeł, poświadczonych przez Światową Organizację Uczciwości.

World Beauty Organization – Światową Organizację Piękna. Będziemy decydować, co jest piękne, a co okropne. I kto jest piękny, a kto okropny. Każdą naszą decyzję roześlemy jako dyrektywę do wykonania wszystkim galeriom, akademiom, filharmoniom, teatrom, festiwalom, mediom. Ostrzegać będziemy, by korzystali tylko ze sprawdzonych źródeł, poświadczonych przez Światową Organizację Piękna.

We wszystkich trzech naszych światowych organizacjach sponsorzy mile widziani.

Maciej Pawlicki

eprasa.pl 2c36a7c6d2

W ŚWIECIE LUSTER

HANNA KARP

Sfrustrowana nadzwyczajna kasta

Pamięć ludzka jest zawodna, zwłaszcza gdy fakty są niewygodne. Wielu już pewnie dawno zapomniało o tym, gdy dwa dni po dramacie smoleńskim, 12 kwietnia 2010 r., na łamach „Gazety Wyborczej" ukazał się pewien zadziwiający tekst autorstwa Marcina Wojciechowskiego.

WIERNOPODDAŃCZY LIST WOBEC MOSKWY

Był to artykuł poświęcony Rosji i Rosjanom, w tym szczególnie Włodzimierzowi Putinowi, pod tytułem „Dziękujemy wam, bracia Moskale". Przyszły rzecznik MSZ w rządzie Donalda Tuska w wiernopoddańczym tekście wobec władz Kremla pisał m.in.: „To niewiarygodne, ile ciepła wobec Polski i Polaków wyzwoliła w Rosji i wśród Rosjan katastrofa prezydenckiego Tu-154. Na wszystkich szczeblach. Wzruszony prezydent Władimir Putin żegnający ciało Lecha Kaczyńskiego. Wcześniej osobiście kierujący akcją ratunkową w Smoleńsku i początkiem prac komisji wyjaśniającej przyczyny wypadku. Wspólnie z Donaldem Tuskiem oddający hołd wszystkim ofiarom katastrofy. Życzliwe są także władze lokalne. Te w Smoleńsku i w Moskwie, biorące na siebie koszty pobytu rodzin ofiar przyjeżdżających na identyfikację. To gesty bez precedensu. Tak samo jak szczere współczucie i zainteresowanie rosyjskich mediów. [...] To paradoks, ale tragedia w Smoleńsku ma szanse połączyć nasze narody, jak nic dotychczas. Bez zmuszania czy udawania, jak było często w polsko-rosyjskiej historii".

Kontynuacją zdumienia, połączonego z zażenowaniem, był pięć lat później inny moment, gdy 6 czerwca o godz. 12.00 Adam Michnik, stojąc przed pomnikiem Adama Mickiewicza w Warszawie, z okazji urodzin Aleksandra Puszkina odczytał wiersz „Do przyjaciół Moskali".

AKCJA: ŚWIECZKI NA GROBACH

Już w 2010 r. wielu mogło ogarnąć zdumienie, gdy 9 maja, miesiąc po katastrofie smoleńskiej, „Gazeta Wyborcza" i środowiska z nią związane uczestniczyły w wydarzeniu pod hasłem „Zapalmy świeczki na grobach żołnierzy radzieckich". W tej zaskakującej akcji, oprócz Adama Michnika, uczestniczyli ludzie kultury, duchowni, politycy, dziennikarze: m.in. Andrzej Wajda, Seweryn Blumsztajn, ks. Adam Boniecki, Włodzimierz Cimoszewicz, Rafał Dutkiewicz, Hanna Flis-Kuczyńska, Waldemar Kuczyński, Agnieszka Holland, europoseł PO Danuta Hübner, wicenaczelny „GW" Jarosław Kurski, Kazimierz Kutz, Krystyna Janda, Tomasz Nałęcz, Stanisław Obirek (były ksiądz), Daniel Olbrychski, Daniel Passent, Wacław Radziwinowicz (dziennikarz „GW", korespondent w Moskwie), Aleksander Smolar z Fundacji im. Stefana Batorego, Kazimiera Szczuka, Jacek Żakowski i abp Józef Życiński. Tym bardziej nie dziwiło już chyba nikogo, gdy w listopadzie 2010 r. Tomasz Nałęcz w imieniu prezydenta Bronisława Komorowskiego odsłonił wzniesiony z jego inicjatywy w Ossowie pomnik żołnierzy sowieckich. Ktoś powie, po co wracać do tamtego nieszczęsnego czasu? Po co to przypominać?

Otóż po to, by uświadomić, że środowiska, które ówcześnie składały moskiewski hołd, dziś stoją w pierwszym szeregu walki z następcą Lecha Kaczyńskiego prezydentem Andrzejem Dudą. Przez tyle lat czynią to konsekwentnie i wytrwale, więc nie może tu być

eprasa.pl 2c36a7c6d2

żadnej przypadkowości. To one w roku 2020, w sytuacji blamażu i kompromitacji całej opozycji, przejęły sztandary w walce mającej na celu podważenie wszystkiego, co zdarzyło się w kraju po wyborach majowych, a potem październikowych w 2015 r.

ZŁORZECZENIE I WŚCIEKŁOŚĆ

Histeria, jakiej ulegają uczennice Andrzeja Wajdy Agnieszka Holland i Krystyna Janda, przeszła już do annałów wyborczych kampanii. Ich zaangażowanie polityczne nie zawsze było tak jawne i ostentacyjne, czasem można odnieść wrażenie, że jest to rodzaj erzacu, który wypełnia miejsce pracy twórczej. Ostatnie występy Holland w tefałenowskiej audycji u Marcina Mellera w czymś, co nazywa się „Drugie śniadanie mistrzów", z francuskiej prowincji w Bretanii, za pośrednictwem Skype'a, gdy chaotycznie, ledwie łapiąc oddech, wykrzykiwała inwektywy pod adresem Jarosława Kaczyńskiego, mogły budzić jedynie zażenowanie. Dawniej obdarzona pewną przenikliwością opisu rzeczywistości, dziś zmieniła się w smutną personę obrażoną na kraj. Podobnie Krystyna Janda wydaje się coraz mniej rozumieć, przypominając jedynie rozkapryszoną nastolatkę.

Ów rodzaj agresywnego rozczarowania Polakami charakteryzuje nie tylko filmowo-teatralnych celebrytów. Nadzwyczajna frustracja ogarnęła także tworzących „nadzwyczajną kastę" profesorów, sędziów, dziennikarzy. Rozumieją oni coraz boleśniej, że wszystko wskazuje na to, iż już nie „będzie tak, jak było". Co postulowała Holland jeszcze nie tak dawno.

Epidemia też zapewne zrobiła im na złość. Choć już mają swoje posiadłości, ogrody, samochody, koty i konta. Nie muszą codziennie rano wstawać do pracy. Nie muszą brać kredytu na mieszkanie. Ich nawoływania przypominają wiecznie zrzędzącą ciotkę, której przy kolacji nikt nie poświęca dostatecznej uwagi. Nawet już nie wiadomo, kto mógłby być ich faworytem: Biedroń, Kosiniak-Kamysz czy Kidawa-Błońska. A miało być tak mądrze i podniośle jak w edytorialu Adama Michnika. I znowu nie wyszło. Nawet już nie ma gwarancji, że zostanie ukarana staruszka, która na pasach rzuci się na ich wypasioną terenówkę bez aktualnych badań technicznych.

NIEWDZIĘCZNA MOSKWA

Pozostaje im tęsknić do czasu orła na różowych balonikch. Wspominać podrygi w różowych okularach na Krakowskim Przedmieściu podczas Święta Konstytucji 3 Maja, gdy prezydent Bronisław Komorowski wraz z małżonką zapowiadał specjalny ptasi narodowy deser z białej czekolady. Deser ostatecznie spleśniał na korytarzach radiowej Trójki. A jej dawna szefowa razem z „Wojtkiem" wierzyli, że jeśli ich tam zabraknie, cała Myśliwiecka zatrzęsie się w posadach i obróci w gruzy. Tymczasem rozgłośnia nadaje i świat dalej się kręci. Razem z Kuczyńskim, Nurowską czy Żakowskim i Lisem mogą złorzeczyć obojętnemu światu i niewdzięcznej Moskwie.

> Rodzaj agresywnego rozczarowania Polakami charakteryzuje nie tylko filmowo-teatralnych celebrytów. Frustracja ogarnęła także tworzących „nadzwyczajną kastę" profesorów, sędziów, dziennikarzy. Rozumieją oni coraz boleśniej, że wszystko wskazuje na to, iż już nie „będzie tak, jak było"

POST SCRIPTUM

Koronawirus wciąż sieje spustoszenie. Ofiar coraz więcej, w tym Agora. Wydawnictwo uzgodniło ze związkami zawodowymi obniżki pensji o 20 proc. wynagrodzeń dla większości pracowników przez pół roku. Spółka zależna Goldenline zwolniła 26 osób, czyli 80 proc. całej obsady. Zamknięto też takie tytuły jak „Logo" i „Avanti", zwolniono kilkunastu pracowników.

Białą flagę wywieszają także inne giganty, jak niemiecki Bauer i szwajcarsko-niemiecki Ringier Axel Springer. Wydawcy zamykają swoje tytuły i zwalniają ludzi. Bauer ogłosił, że w Polsce zamyka 34 tytuły prasowe, w tym m.in. „Barwy Życia", „Historie o Duchach", „Kalejdoskop Losów", „Szczypta Magii", „Życie i Nadzieja", „Sukcesy i Porażki", „100 Rad", „Śledztwo". Obniżono pensje dla współpracowników redakcji „Chwila dla Ciebie". Pożegnano się z dziennikarzami takich pism jak: „CD Action" i „PC Format" – wręczono wymówienie 27 pracownikom, choć jeszcze nie zdecydowano o zamknięciu redakcji.

Ringier Axel Springer zapowiedział zwolnienia grupowe (ok. 6 proc. całej obsady). Spółka zatrudnia ok. 2 tys. pracowników i wydaje m.in. takie tytuły, jak „Fakt", „Newsweek", „Forbes", „Przegląd Sportowy", „Komputer Świat", „Auto Świat" oraz opiniotwórcze serwisy i portale internetowe, w tym Onet.pl, vod.pl, Business Insider Polska, Sympatia i serwisy tytułów prasowych.

Inny niemiecki koncern, Burda Media Polska, zwolnił mailowo ok. 50 osób m.in. z biura reklamy, projektów specjalnych, fotoedytorów, osoby z redakcji „Gala", „Elle" czy „Glamour". Obniżki pensji o 20 proc. już nastąpiły w kolejnym niemieckim koncernie Polska Press Group. Przypomnijmy, to wydawca niemal całej krajowej prasy regionalnej. Przestoje ekonomiczne wiążą się tu z 50-procentową obniżką pensji. Także szwajcarski koncern Edipresse Polska poinformował, że rozwiązał umowy z 31 osobami. Na początku maja obniżył wszystkim swoim pracownikom i współpracownikom pensje o 20 proc.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Chwalcie łąki umajone...

Alina Czerniakowska

Dyskusja, spory przedstawiane w mediach na temat wyborów prezydenckich są tak męczące, głupie, bezsensownie zacięte, że czasami wydają się gorsze nawet od koronawirusa. Każdy spokojnie, rozsądnie myślący widzi, o co chodzi wszystkim wrogom obecnego rządu. Nazwali się totalną opozycją – i słusznie, bo dla nich nic nie jest ważne. Dobro Polski to fikcja, zrobić wszystko, by chociaż w części przejąć władzę, wzmocnić własne układy, zapewnić sobie bezkarność, a tym samym utrudnić naprawę gospodarki i wszystkich innych dziedzin życia, tak bardzo zniszczonych przez lata rządów Tuska, Komorowskiego i wspólników. Zrobią wszystko, oplują, ośmieszą, posłużą się najgorszym fałszem, kłamstwem, naskarżą i naślą obcych. Nie ma dla nich granic, których nie wolno przekraczać, gdy jest się wybranym przez naród, by służyć Ojczyźnie, o czym jasno pisał Piotr Skarga.

Niedawno śpiewaliśmy „Wiwat maj, trzeci maj", świętowaliśmy uchwalenie ustawy z 1791 r. regulującej ustrój prawny Rzeczypospolitej Obojga Narodów, która była pierwszą w Europie i drugą na świecie (po amerykańskiej) nowoczesną spisaną konstytucją. Obserwując dzisiaj scenę polityczną, warto poczytać o warunkach, w jakich została uchwalona, kto bronił interesów Ojczyzny, a kto wsparł Targowicę. Dzisiaj oprócz jawnych targowiczan nie brakuje też w obozie władzy różnych „koni trojańskich". Czy uda się to wszystko przezwyciężyć, przetrzymać i wyprowadzić kraj na prostą? Usłyszałam nawet ostatnio od znanego naukowca, badacza historii nauki polskiej, prof. Bolesława Orłowskiego, że Jarosław Kaczyński powinien dostać Gwiazdę Wytrwałości – jest to historyczne polskie odznaczenie honorowe z 1831 r., ustanowione uchwałą Sejmu Królestwa Polskiego na wniosek Joachima Lelewela „dla tych, co za sprawę narodową walczyli i wytrwali do końca pod jej sztandarami", a co wyrażała uwidoczniona na odznaczeniu dewiza łacińska „Usque ad finem".

Mądrzy rozsądni ludzie mówią prosto, że wybory powinny się odbyć w normalnym terminie, bez zasłaniania się koronawirusem, bo jak twierdzą doświadczeni lekarze, musimy nauczyć się żyć w świecie zagrożonym kolejnymi wirusami, ich mutacjami, stawiając na odporność, higienę i odpowiedni styl życia. A poza tym nad wszystkim ludzie silni wiarą stawiają opiekę Wszechmocnego Boga.

Teraz zostawmy męczący dyskurs polityczno-wirusowy, bo przecież jest maj, „Wiosna, wiosna, ach to ty", wszędzie świeża zieleń, żółte mlecze, kolorowe tulipany, kwitnące najróżniejsze drzewa, krzewy, czeremchy, głogi, bzy, kasztany, już przy drogach nie widać kurzu i brudu. Nawet te najbardziej zniszczone przez człowieka miejsca, zaśmiecone lasy, ratują się, jak mogą, przykrywają wszystko świeżymi listkami, polnymi kwiatami, pomagają w tym ptaki: radosne, głośne, krzyczące wieloma głosami nie do podrobienia, jakby chciały uleczyć przerażonego, zapędzonego współczesnego człowieka. Przyroda, jej piękno, światło dłuższego dnia, zapach ziemi po wiosennym deszczu i niebo nagle w pasach kolorowej tęczy, zatrzymują nawet najbardziej zajętych sobą, obojętnych i odpornych na wzruszenia. Wtedy przychodzą refleksje nad sensem własnego życia, łagodnieją obyczaje, rodzi się pokora, świadomość granic, których człowiek nie może przekroczyć, a przede wszystkim musi się wyzbyć kłamstwa. Poczucie bezradności, małości, strachu nie umniejsza naszemu człowieczeństwu, nie jest niczym złym, uczy nas cieszyć się każdą dobrą chwilą. Jan Paweł II pisał na początku trzeciego tysiąclecia: „Przyroda jest dana człowiekowi jako wielkie zwierciadło świata, odbija się w nim Przymierze Stwórcy ze swoim stworzeniem, którego centrum od początku znajduje się w człowieku, stworzonym wprost na obraz swego Stwórcy". A na zakończenie rozważań pytał: „Dlaczego tak wielki, nieporównywalny z żadną przedtem epoką historii, postęp ludzkości w zakresie techniki, nauki, postęp w opanowaniu przez człowieka materii, obraca się przeciw człowiekowi. Setki tysięcy ludzi żyją w skrajnej nędzy, wręcz umierają z głodu, gdy równocześnie zawrotne sumy idą na produkcję broni nuklearnej, której arsenały już w chwili obecnej zdolne są doprowadzić do samozniszczenia ludzkości. Czy ten stan rzeczy jest odwracalny?". Dzisiaj, gdy doszły sprawy gender, in vitro i ciągle tajemniczy koronawirus, te treści i pytania Wielkiego Papieża Polaka brzmią jeszcze bardziej dramatycznie. Może trzeba wzorem naszych przodków wrócić pod maryjne figurki rozsiane wśród polskich pól, odświeżyć po zimie, przybrać kwiatami i rozradować się wiosennym „Ave Maryja", powtarzając za wielkim rodakiem „Totus Tuus, Maryjo!".

Pamiętam, jak babcia stroiła mnie w ładną sukienkę, szykowała bukiet z kwiatami, których w dużym pięknym ogrodzie nie brakowało, i prowadziła do figurki na rozstaju polnych dróg. A wcześniej uczyła pieśni, która zawsze mnie wzrusza i zatrzymuje w biegu: „Chwalcie łąki umajone/góry doliny zielone, Chwalcie cieniste gaiki/źródła i kręte strumyki/Chwalcie z nami Panią świata/Jej dłoń nasza wieniec splata". Właśnie te odwieczne pieśni dają trudną do pojęcia wewnętrzną siłę, której nikt nigdy nie pokona.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Reklama | 9/0120/F

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Krajobraz po koronawirusie

Lech Makowiecki

Piszę teraz rotacyjnie (co dwa tygodnie), sygnalizuję więc tylko skrótowo, w punktach, najważniejsze problemy.

1. Nieważne, czy mamy do czynienia z pandemią, czy tylko „pandemią" – jeśli całe zamieszanie z koronawirusem potrwa jeszcze chwilę, skończy się to całkiem realnym kryzysem gospodarczym o światowym zasięgu. Gdy system przestaje działać, bo jedni nie płacą drugim za towar i usługi, następuje lawina bankructw. Poszerza się zakres biedy (nędzy?), a bogaci – wykupując za bezcen dobra bankrutów – stają się jeszcze bogatsi.

2. Utraciliśmy (en masse) zdrowy rozsądek naszych przodków i ich umiejętności przetrwania. W chwilach próby (wojna, kataklizm, plaga) dekalogowe wspólnoty rodzinno-narodowe radzą sobie znacznie lepiej niż korporacyjni egoiści czy singlowe samoluby. To kara za wybór „mieć" zamiast „być".

3. Pytanie na wagę przeżycia: kto dziś potrafiłby utrzymać/wyżywić/obronić swą rodzinę, gdyby nagle bankomaty przestały wypłacać pieniądze, ktoś znienacka wyłączyłby nam prąd, gaz i wodę, a po osiedlach zaczęły grasować watahy brutalnych rabusiów? W czasie wojny potrafiliśmy się sami zorganizować w sprawne państwo podziemne, zjednoczyć we wspólnych ideach i wierze, wspierać w potrzebie. Iluż to Żydów ocalało dzięki pomocy Kościoła. Komu to przeszkadzało?

4. Doceniam kapitalną rolę internetu w kryzysowej komunikacji między ludźmi, stworzeniu możliwości podejmowania zdalnej pracy, realizacji domowej edukacji dzieci i młodzieży, zaopatrywaniu nas w produkty żywnościowe i inne. Przerażają mnie rosnące (dzięki tej samej sieci!) możliwości inwigilacji i ubezwłasnowolnienia człowieka.

5. Jestem pełen szacunku dla ofiarnej pracy służby zdrowia. Podziwiam tych fantastycznych lekarzy, wiernych przysiędze Hipokratesa. Ale poczuję się jak hodowlany brojler, gdy ktoś będzie mnie zmuszał do pospiesznego przyjęcia niesprawdzonej szczepionki (do czego namawia gorąco Bill Gates, znany „depopulator" Ziemi).

REKLAMA

Czas na zmiany?
Pożyczka Zaratka!

0 zł prowizji

RRSO: **7,23%**
Rata **25 zł** miesięcznie za każdy pożyczony **1000 zł**

Weź pożyczkę bez wychodzenia z domu!
- Zadzwoń do placówki lub pod nr **801 600 100** (koszt wg taryfy operatora)
- Złóż wniosek na **www.kasastefczyka.pl**

KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Klientów nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

Przykład reprezentatywny z dnia 10.04.2020 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 7%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 7,23%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 23,95 zł oraz ostatnia, 48. rata: 23,87 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1149,52 zł, w tym odsetki: 149,52 zł.

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Oskarżenie i przestroga

Czekam na emisję tego dokumentu w TVP z nadzieją, że publiczny nadawca zadba o szeroką promocję i dobry czas antenowy

JAN POSPIESZALSKI

Zdjęcia z kamery przemysłowej z 10 kwietnia 2010 r., przedstawiające ostatnie minuty przed startem samolotu Tu-154M do Smoleńska, kojarzyły się dotychczas niemal wyłącznie z ordynarnymi kłamstwami stacji TVN. Przywołując zapis monitoringu, redaktorzy z Wiertniczej próbowali udowodnić tezę o kłótni gen. Andrzeja Błasika z pilotem Arkadiuszem Protasiukiem.

Film „Stan zagrożenia", najnowsze dzieło Ewy Stankiewicz (piszę „dzieło" z pełną świadomością znaczenia tego słowa), zaczyna się właśnie scenami, które zarejestrowały kamery przemysłowe przed tragicznym lotem. Jednak jakże inaczej ten materiał został wykorzystany. Techniczny, poklatkowy obraz autorka traktuje z ogromną czułością. Z umieszczonych pod sufitem kamer widzimy wnętrze poczekalni. Rozpoznajemy wspartą na kuli Annę Walentynowicz, a wokół niej wianuszek osób i gesty powitania. Zmiana ujęcia. Andrzej Zakrzeński, wygodnie, w nieco teatralnej, swobodnej pozie usiadł za stołem. Za nim, przez środek sali przechodzi lekko przygarbiony Janusz Krupski. Gdzieś mignęła charakterystyczna siwizna senator Janiny Fetlińskiej. Tomek Merta z Maciejem Płażyńskim zdecydowanym krokiem kierują się do wyjścia. Kamera uchwyciła też czuły gest Andrzeja Zakrzeńskiego, który wysoko podnosi rękę, by ojcowskim gestem przytulić Władysława Stasiaka. Wyróżnia się amarantowa piuska biskupa, a dalej wyprostowani wojskowi stoją osobno, prowadząc ożywioną rozmowę... To wszystko ogląda się ze ściśniętym gardłem. Widzimy ich ostatni raz.

Ale „Stan zagrożenia" to nie są wyłącznie emocje. Istotą pracy autorki – ale i siłą filmu – jest suche, dla wielu widzów może nazbyt techniczne, relacjonowanie ustaleń różnych instytucji polskiego państwa, od lat zajmujących się badaniem tragedii z 10 kwietnia 2010 r. Ustalenia te pozwalają z niezbitą pewnością stwierdzić, że konkluzja tzw. raportu MAK jest kłamstwem. „To, co przyszło z Rosji, to zbiór absolutnych fałszerstw" – podkreśla w filmie prof. Piotr Witakowski, twórca Konferencji Smoleńskich. Nie jest to stwierdzenie gołosłowne. Film, krok po kroku, pozwala nam poznać kolejne dowody, wśród nich analizy międzynarodowego grona wybitnych naukowców. Na podstawie żmudnych badań 30 tys. zdjęć, ilustrujących ułożenie szczątków samolotu, w tym salonki VIP i kuchni, udało się np. ustalić promień rozrzutu fragmentów konstrukcji i przedmiotów pochodzących z tej części tupolewa. Odległości i pewna prawidłowość rozproszenia tych elementów na wrakowisku ukazują ogromną siłę, której źródłem może być tylko eksplozja. Według ekspertów, którzy wielokrotnie badali wraki rozbitych samolotów, także odkształcenia metalowych elementów kadłuba – zawinięte, zrolowane „wąsy" stanowią niejako „podpis" silnego wybuchu, jaki nastąpił przed zetknięciem się maszyny z ziemią. Film z reporterskim zacięciem towarzyszy badaniom bliźniaczego tupolewa, m.in. analizę kluczowych elementów konstrukcji, dostępnych tylko z wnętrza baku paliwowego. Sposób rozerwania najmocniejszego, nośnego fragmentu ramy spajającej korpus ze skrzydłem wskazuje, gdzie było epicentrum wybuchu.

W filmie jest też sporo na temat kontekstu historycznego i politycznego organizacji wizyty. I choć osobom śledzącym sprawę wiele z tych faktów było znanych, dobrze, że autorka zbiera tę wiedzę, ponieważ w ten sposób „Stan zagrożenia" jest cennym kompendium dla widowni również spoza Polski. Nie zapominajmy też, że po 2010 r. wyrosło nowe pokolenie Polaków, dla których tragedia z 10 kwietnia to prehistoria.

Czekam na emisję dokumentu w TVP z nadzieją, że publiczny nadawca zadba o szeroką promocję i dobry czas antenowy. Odnosząc się do zbrodni katyńskiej, zdolność powiedzenia prawdy o tym, kto zabił polskich oficerów, śp. prezydent Lech Kaczyński uważał za fundament naszej suwerenności.

Dziś, mając tak kompetentny, profesjonalny, a jednocześnie poruszający film, powinniśmy zadbać o szeroką popularyzację wiedzy o okolicznościach śmierci polskiej delegacji. Jesteśmy to winni nie tylko tym, którzy od 10 lat poświęcili wszystko, by odkryć prawdę. Mamy zobowiązanie przede wszystkim wobec ofiar.

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Michał Korsun prezentuje: Krokodyle łzy

Wycinki z przeszłości

Majowy numer pisma „Plon" z 1938 r. aż skrzy od porad dla rolników, bo wiosna na wsi to czas wielu zadań. Ale znaleźliśmy tam też przepis na konfitury z truskawek, który i współcześnie warto zastosować. A może współcześnie szczególnie, bo będzie to przysmak na pewno zdrowy, bez chemii.

A robi się to tak: „Z truskawek smaży się śliczna konfitura, najpiękniejsza z białych ananasowych lub czerwonych o kształcie okrągłym. Należy użyć truskawki rwane w suchą, słoneczną pogodę. Obrać starannie z ogonków, odrzucić owoce pogniecione, a dla oczyszczenia z piasku najlepiej maczać każdą truskawkę osobno w rumie lub czystym spirytusie. Na 1 kg truskawek brać 1 i ¼ kg cukru. Przygotować syrop bardzo gęsty, tak żeby dobrze się ciągnął, i na wrzący syrop wrzucić truskawki. Zagotować na silnym ogniu, odstawić i zeszumować; powtórzyć tę czynność trzy razy. Następnie dosmażać na wolnym ogniu, potrząsając rondlem, żeby się równo smażyły. Szumowiny, których truskawki tworzą dużo, zbierać ostrożnie łyżką, by nie pognieść owocu. Gdy syrop zgęstnieje, odstawić, a po chwili zlać na salaterkę dla ostudzenia, a na drugi dzień złożyć do słoików".

Smacznego!

(mk)

A to liryka...
(której nie tyka polityka)

Piękna, ale i trudna, poplątana biografia. Takoż i twórczość. Niestety, alkohol, usługi ideologiczne po linii „tamtego czasu". Ale też jedna z najpiękniejszych kart liryki polskiej. Bierzmy to, co najlepsze. Mało kto wie, prawie nikt nie czyta, a jakże jest piękna, czysta Broniewskiego liryka...

Leszek Długosz

Władysław Broniewski 1897–1962

Na odjezdne

Żadne wiersze tu nie pomogą,
alkohol ani łzy:
pójdziemy inną drogą –
ja i ty.

Ale wiersz się sączy i sączy,
jak krew,
kazirodczo w sercu się łączy
tkliwość i gniew,

ale alkohol płynie:
strumyczek krwi.
Ja już wiem, co mnie nie ominie.
Drwij.

Ale łzy, prawdziwe łzy, rzewne,
płyną i gdzież ich kres?
Powiesz na pewno:
„Szkoda łez".

Odjedziesz, zapomnisz, lekkomyślna, czarowna,
i tyle.
Powiedz, czy jest jakiś sens
w łaskawości twych rzęs,
żem był jak pochodnia
przez chwilę.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 2c36a7c6d2

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Leczenie przyczynowe

Obecny kryzys odsłonił jakąś poważną chorobę dzisiejszej ludzkiej cywilizacji. Tydzień temu wyraziliśmy obawę, że podejście do problemów społecznych przypomina obecną walkę z koronawirusem. Leczymy tylko objawowo. Łagodzimy skutki kryzysów, nie sięgając do ich przyczyn. O ile w przypadku COVID-19 nie mamy lepszego wyjścia, gdyż nie znamy jeszcze natury tego wirusa, to przecież z cywilizacją powinno być ciut inaczej.

PUŁAPKA OPTYMALIZACJI

Wprawdzie o świecie ludzkim nie wiemy wszystkiego, bo jak dotąd natura ludzka w pełni zgłębić się nie dała, ale mamy sporo teorii opisujących funkcjonowanie różnego typu zbiorowości. Nie brak pogłębionych analiz zachowania człowieka, dynamiki grupowej i mechanizmów kontroli społecznej. Psychologia nawet czasem próbuje rozumieć, na czym zagubienie współczesnego człowieka polega.

Cywilizacja kroczy drogą wyznaczoną przez oświecenie, uparcie racjonalizując i optymalizując. Na szkodliwość optymalizacji wszystkiego – procesów produkcyjnych, rynku pracy, usług, zarządzania otoczeniem, postaw życiowych – niedawno zwróciła uwagę prof. zarządzania Monika Kostera. W rozmowie z Grzegorzem Sroczyńskim wskazała, że nakierowana na optymalizację „edukacja ekonomiczno-zarządzaniowa obniża skutecznie standardy etyczne, osłabia empatię, upośledza wrażliwość".

Nie dziwi zatem, że choć nasza cywilizacja weszła na poziom technologii, które wyręczają nas z wielu uciążliwych zadań, to wcale nie zbliżyliśmy się do ery powszechnego spokoju. Nawet najwspanialsze aplikacje dopasowujące się do naszych unikatowych osobowości w efekcie jedynie mnożą iluzje. Kult postępu nieco znieczula coś, co potocznie nazywamy bólem istnienia, ale zarazem odciąga uwagę od przyczyn tego bólu.

Świat ludzki nie poradzi sobie z kolejnymi kryzysami, jeśli nie dokona przeglądu fundamentów, na których stoi

SIĘGANIE DO SEDNA

Świat ludzki nie poradzi sobie z kolejnymi kryzysami, jeśli nie dokona przeglądu fundamentów, na których stoi. Nie mają one charakteru materialnego. Tworzy je kultura symboliczna, archetypy, religia.

W co wierzy współczesny człowiek? Co jest dla niego podstawową wartością? Jakimi zasadami się kieruje? Jest sobie panem... Naprawdę?

Psychoterapeuta dr Zenon W. Dudek, korzystający z inspiracji myślą Carla Junga, w książce „Archetypy, mity, symbole. Refleksje jungowskie o psyche" (2019) pisze: „Współczesny człowiek, ufając sobie bezgranicznie, myśli, że przejął panowanie nad swoim życiem i losem. Naiwnie wierzy, że szczęście można wygrać na loterii. Gry losowe i gry komputerowe zastępują wielu ludziom tradycyjną modlitwę do Boga, który ongiś był postrzegany jako opoka na trudne czasy i zabezpieczenie na przyszłość. W efekcie współczesny człowiek nie zdaje się już na boską opiekę. Nie rozwija sztuki przewidywania porażek i rozpoznawania ograniczeń w sobie".

POZA NAMIASTKI

Oświeceniowa wiara w potęgę rozumu człowieka przede wszystkim pominęła to, że człowiek wcale nie jest bytem skończonym. Człowiek nie jest skończonym „dziełem". Naturalny stan dla ludzkości to nieustanne „stawanie się". Sedno człowieczeństwa to nie zbiór statycznych cech. To ciągły proces. Może nawet wykraczający poza narodziny i umieranie?

Takie miejsca krańcowe na kontinuum ludzkiego życia jak narodziny i śmierć wcale nie są krańcowe, bo my do końca ich nie rozumiemy. Nie byłoby tylu sporów o aborcję i eutanazję, gdyby nie transcendentny wymiar chwil, gdy rodzi się życie i gdy następuje śmierć. Mimo zaawansowanej nauki i technologii, nie mamy wglądu w żaden z tych stanów. Za to oświeceniowy humanizm otworzył niebezpieczną otchłań dla tożsamości alternatywnych wobec tradycyjnych płci i w ogóle dla nurtu zwanego transhumanizmem.

Doktor Dudek wskazuje: „W mitologii greckiej, poprzedzającej kulturę chrześcijańską, są ważne treści, które legły u podstaw europejskiego ducha i europejskiej duszy. Robiąc wielki skok cywilizacyjny i zapominając o korzeniach, stajemy się dziećmi bez rodziców. Fascynujemy się powierzchowną warstwą doznań, ale ich głęboko ukryta istota ma wymiar ponadczasowy. Na drodze do tej esencjonalnej prawdy zadowalamy się substytutami, bo psychika i kultura nie znoszą pustki".

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 2c36a7c6d2

ZAMÓW PRENUMERATĘ TYGODNIKA SIECI

- jest bezpiecznie zafoliowany
- trafia prosto do skrzynki
- do 30% taniej!

ZAMÓW PRENUMERATĘ W 2 PROSTYCH KROKACH:

1 wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75,00 zł	139,00 zł	245,00 zł
SIECI + W SIECI HISTORII	-	158,00 zł	280,00 zł

2 zamów i opłać

- przez stronę **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**
- lub wpłacając odpowiednią kwotę na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290 (Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia), wpisując w tytule wpłaty adres do wysyłki prenumeraty

W RAZIE PYTAŃ: • napisz: prenumerata@fratria.pl • zadzwoń: **22 616 70 15** od poniedziałku do piątku w godz. 10.00–16.00

Polecenie przelewu / Wpłata gotówkowa

nazwa odbiorcy: FRATRIA sp. z o.o. 81-472 GDYNIA

nazwa odbiorcy cd.: UL. LEGIONÓW 126-128

nr rachunku odbiorcy: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

waluta: WP PLN

kwota za wybraną prenumeratę

kwota słownie lub nr rachunku zleceniodawcy

imię i nazwisko zleceniodawcy oraz adres do wysyłki prenumeraty

adres do wysyłki prenumeraty cd.

tytułem: PRENUMERATA PAPIEROWA

liczba miesięcy prenumeraty i tytuł („Sieci" lub pakiet „Sieci" + „W Sieci Historii")

odcinek dla zleceniodawcy

Opłata

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

eprasa.pl 2c36a7c6d2

Zostajemy w domu z tygodnikiem

SIECI

Zamów e-prenumeratę SIECI

NAWET 50% TANIEJ!

WEJDŹ NA: **www.SiecPrzyjaciol.pl**

eprasa.pl 2c36a7c6d2